tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 4 (1359)
19-25.01.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZYDENT
I KIBOLSKIE SZWADRONY

MARIA PAKULNIS
ŻYJĘ Z POKORĄ I JESTEM SZCZĘŚLIWA

BOHDAN PIĘTKA
NACJONALIZACJA JAKO ODBUDOWA POLSKI

PROF. STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI
MEDIA PUBLICZNE: JAK NAS OGRALI POLITYCY

Ambasador USA i Elon Musk chwalą



WETO NAWROCKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 96af58f7bc



eprasa.pl 96af58f7bc



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Milioner w Budapeszcie

Chciał być szeryfem i zastąpić prezesa Kaczyńskiego. Przez osiem lat Ziobro zbudował w Ministerstwie Sprawiedliwości i prokuraturze system, który miał być dla niego trampoliną do awansu i zapewnić mu jeszcze większą władzę. Jego celem były pełna kontrola nad wymiarem sprawiedliwości, lojalne i posłuszne kadry oraz własne, silne zaplecze finansowe. Szedł do tego po trupach. Dosłownie, bo do dziś nieosądzona jest tragiczna śmierć Barbary Blidy. Ziobro i jego najbliżsi współpracownicy są w tej sprawie kluczowi do wyjaśnienia wszystkich podejrzanych okoliczności. Takich aresztowań o szóstej rano, z kamerami szczujni Kurskiego, było potem bardzo wiele.

Odszkodowania dla ofiar tego bezprawia ekipy Ziobry idą w miliony złotych. A oskarżenie go o przestępstwa kryminalne i kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą to tylko wierzchołek tego, gdzie zostawił ślady. Sam niczego jednak nie podpisywał. Robili to ludzie, których wyciągnął z niskich stanowisk. Mało kompetentni i, jak widać z publicznych wypowiedzi, nad wyraz skromnie inteligentni. Łatwo ich rozpoznać, bo nikt gorliwiej nie broni ministra. Wiedzą, że oni także są o krok od więzienia. Ktoś musi przecież odpowiedzieć za te wszystkie defraudacje publicznych pieniędzy. Za lewe przetargi. Za piramidy fikcyjnych firm zakładanych tylko po to, by pompować kasę do układów partyjnych i towarzyskich.

Ziobro głosi w Budapeszcie, że żyje skromnie. Jak zwykły Polak. Mówi to multimilioner. Człowiek, dzięki któremu żona i brat zarobili wiele milionów złotych. Za ich mizerne kwalifikacje płacono krocie. Oczywiście sprawiedliwie w pojęciu Ziobry.

Kasta ziobrystów to wyjątkowo zdegenerowana grupa ludzi. Kluczą, kombinują i kłamią. Ziobro w tych swoich aktorskich występach kłamie, nawet jak milczy. Patologiczny łobuz. Każdym kolejnym ruchem podtapia PiS, które tak bardzo chce wrócić do władzy. Z Ziobrą w Budapeszcie prędzej trafią na ławy oskarżonych niż do rządu.

DZIĘKUJEMY!

Zaczynamy nowy, już 26. rok wydawania „Przeglądu” i kolejnych książek. Ponad 60 tytułów to spora biblioteka. Dla naszego bardzo małego zespołu to ogromny wysiłek. Ale też wielka satysfakcja z reakcji Czytelników. Z tego, co do nas piszecie. I z tego, co o nas mówicie. Cieszą wszystkie Wasze gesty, życzliwość i przyjaźń są dla nas motorem napędowym.

Serdecznie dziękuję za tę szczególną więź, za wspieranie darowiznami naszej fundacji. Apeluję o prenumerowanie „Przeglądu” poprzez InPost. A przede wszystkim o śmielsze korzystanie z naszych e-wydań i e-booków.

Życzę dobrego roku!
Z serdecznością

BĄKOWSKI



eprasa.pl 96af58f7bc

W NUMERZE

KRAJ
8 **Komu służy weto?**
– rozmowa z Krzysztofem Gawkowskim
10 **Ambasador USA i Elon Musk chwalą weto Nawrockiego**
Hejt i przestępczość w sieci będą kwitły
18 **Oddziały szturmowe Prezydenta RP**
„Dragon", „Sledziu" i inni kumple

MEDIA
14 **Media publiczne**
– rozmowa z prof. Stanisławem Jędrzejewskim

OPINIE
21 **Piotr Kimla**
Czy nadworny narcyz świata wysadzi nas w powietrze?
23 **Stefan Niesiołowski**
Zaślepienie
25 **Robert Traba**
O potrzebie debaty

ZAGRANICA
26 **Gdy ropa staje się czymś więcej niż tylko ropą**
Co zmieni operacja USA w Wenezueli
30 **Początki końców**
Czy Kuba będzie następnym celem?
34 **Najbardziej antytrumpowski głos w Europie**
Co chce ugrać Pedro Sánchez
54 **Być albo nie być 51. stanem USA**
Czego chcą sami Grenlandczycy
58 **Zmierzch budapeszteńskich term?**
Orbán skąpi na nie pieniędzy

HISTORIA
36 **Nacjonalizacja, czyli modernizacja**
80 lat od nacjonalizacji przemysłu w Polsce

KULTURA
40 **Wybierałam wolność**
– rozmowa z Marią Pakulnis
44 **Tao światła i koloru**
Gierowski kieruje nas ku przyszłości
57 **Qulturalia**
66 **Anny Grzymały „Raport z Krainy Szczęśliwości"**

ZDROWIE
46 **Zdrowie zaczyna się od jelit**
– rozmowa z prof. Piotrem Albrechtem
50 **Pożegnanie z „silną wolą"**
Nowe podejście do leczenia otyłości

SPORT
60 **Polskie Porto i piłkarscy koloniści**
Mieć znów trzech muszkieterów…

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Milioner w Budapeszcie
13 **Jan Widacki**
Ządamy Bornholmu
29 **Andrzej Romanowski**
Pani Profesor
33 **Roman Kurkiewicz**
Ziobroseja w Uciekistanie
43 **Tomasz Jastrun**
Gnicie mózgu
53 **Wojciech Kuczok**
Dymy nad kalderą



30
ZAGRANICA

POCZĄTKI KOŃCÓW
Czy Kuba będzie następnym celem?

40
KULTURA



WYBIERAŁAM WOLNOŚĆ
– rozmowa z Marią Pakulnis



54
ZAGRANICA

BYĆ ALBO NIE BYĆ 51. STANEM USA
Czego chcą sami Grenlandczycy



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOT.BRITTA PEDERSEN / POOL / AFP/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, BRIAN CAHN/ZUMA PRESS WIRE/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 96af58f7bc

Kartka na nowy rok

W notatniku w zapisie mojej pierwszej „tygodniowej kartki życia” w nowym roku zaznaczyłem, że rozpoczynam go z dużym pesymizmem, żeby nie powiedzieć z obawą, czy zapiszę kolejne kartki bez wiadomości o wojnie na świecie.

Przeżyłem 80 lat w ojczyźnie bez wojny. Chociaż pewne podobne stany były wprowadzane w kraju i na świecie. Wprowadzano je, aby powstrzymać próby radykalnego rozwiązania sporów społeczno-politycznych. W sposób prawnie uzasadniony lub bezprawnie. Historia potwierdza, że nauka poszła w las. (…)

W mojej ocenie w naszym kraju wypaczono prawie wszystko: PRL uznano za komunę, z lewicą, która zniszczyła kraj; Solidarność była inicjatywą klasy robotniczej i kierunkiem przemian społecznych, które jednak pogrzebały klasę robotniczą; pojęcia sprawiedliwość i prawo zostały wykorzystane przez partię; „szacunek dla historii Polski” – obecnie preferowany przez IPN. Przed wyborami pretendenci do rządzenia podnosili hasła likwidacji tej bardzo kosztownej instytucji, ciągle wspieranej przy braku środków na służbę zdrowia i oświatę (…).

Szanuję urząd Prezydenta RP – oceniam, że każdy, nawet pełniący ten urząd, powinien go szanować. Według mnie krzyki prezydenta na zlocie kibiców na Jasnej Górze były nie na miejscu. Chwalił się on, ile to już stanowisk państwowych zajmował, wykorzystując formę powitań z instytucji państwowych do innych celów. (…)

W mojej opinii dziś dopełnia się procedura i działanie twórców sprawiedliwości i prawa w naszym kraju na azylu węgierskim.

Zbigniew Olszewski, sierota po PRL


TRUMP
JEST WYNATURZENIEM
I NIE PRZETRWA
Amerykański eksperyment ma się dobrze

Trump jest wynaturzeniem i nie przetrwa

Nareszcie ktoś to wyartykułował: „Frustracja i rozczarowanie dotyczą nie tego, że czujemy się biedni, ale tego, że inni mają lepiej”. Dlatego im więcej Trzaskowski pokazywał, że świetnie rządzi Warszawą, która rozwija się wspaniale, tym chętniej jego przeciwnicy głosowali na Nawrockiego. Istnieje z pewnością psychologia zazdrości.

Anna Zawadzka

Wojna w rzymskim metrze


Wojna w rzymskim metrze

Po raz pierwszy od lat pojechałam ostatnio do Mediolanu. Dotąd wydawało mi się, że w Berlinie i innych niemieckich miastach zrobiło się nieciekawie, ale to, co zobaczyłam w stolicy Lombardii, naprawdę mnie przeraziło. To miasto zostało właściwie przejęte przez gangi. Strach poruszać się tam w biały dzień, a normalne niegdyś wieczorne wyjścia to już niemal sport ekstremalny. (…) Nie mam pojęcia, jak można było dopuścić do czegoś takiego w Europie, w cywilizowanych krajach, w takich pięknych miastach. Włos się jeży na głowie. I do tego ta omerta mainstreamu, omijającego jak najszerszym łukiem istotę rzeczy. Jakieś gangi, jacyś tajemniczy kieszonkowcy, jakieś – jak to się zgrabnie ujmuje w niemieckich mediach – „grupy agresywnych młodych mężczyzn”, których nagle jakimś cudem namnożyło się w europejskich metropoliach…

Nie wiadomo kto, nie wiadomo co, nie wiadomo skąd, co to za jedni, skąd ich tylu, jak to się stało, że tu się znaleźli. Czy to był jakiś desant, czy może Europejczycy nagle rozmiłowali się nadmiernie w złodziejstwie, napadach, gwałtach, wymachiwaniu nożami i maczetami? Tysiąc pytań, żadnych sensownych odpowiedzi. Niby człowiek widzi na własne oczy, ale boi się nazwać rzecz po imieniu, by nie dostać od razu po głowie pałką poprawności politycznej.

Eva-Maria Golos

ZDJĘCIE TYGODNIA



Plakaty upamiętniające Renee Good rozklejone w Minneapolis. 11 stycznia 2026 r. 37-letnia Amerykanka została zastrzelona 7 stycznia przez funkcjonariusza ICE. Jej śmierć wywołała protesty i zamieszki w całych Stanach Zjednoczonych.

FOT. CHRISTOPHER KATSAROV/THE CANADIAN PRESS /AP/EAST NEWS

eprasa.pl 96af58f7bc

Ponad **541 tys. osób pobiera w Polsce emeryturę niższą od minimalnej.** Emerytury w kwocie do 500 zł wypłacono ponad 44 tys. seniorów w Polsce.

•

Tragiczny jest bilans wypadków drogowych w 2025 r. W 21 tys. wypadków **zginęło 1651 osób**. Kierowców, których złapano na przekroczeniu prędkości, było ponad 2,5 mln.

•

W plebiscycie **„Przeglądu Sportowego"** zwyciężyła **Klaudia Zwolińska,** kajakarka górska, która podczas mistrzostw świata w Australii zdobyła trzy medale, w tym dwa złote. Wyprzedziła **Igę Świątek, Wilfreda Leóna, Bartosza Zmarzlika i Roberta Kubicę.** Trenerem roku został **Tomasz Dylak** (boks).

•

Wręczono **Paszporty „Polityki" 2025.** W kategorii film otrzymała go **Emi Buchwald,** w kategorii scena – **Katarzyna Minkowska,** książka – **Stanisław Łubieński**, sztuki wizualne – **Ant Łakomsk**, muzyka poważna – **Aleksandra Słyż,** muzyka popularna – **Sw@da x Niczos** (Nika Jurczuk i Wiktor Szczygieł), kultura cyfrowa – **Tomasz Kisielewicz** z 11 bit studios. Paszport Czytelników otrzymał **Yehuda Prokopowicz.** Nagrodę specjalną wręczono **Tomaszowi Lipińskiemu.**

•

17 stycznia 1945 r. do zniszczonej w 80% Warszawy, w której zostało ok. 1 tys. mieszkańców, wkroczyli żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego oraz 47. i 61. Armii 1. Frontu Białoruskiego. **Stolica była wolna.** I tego żaden IPN nie wymaże z kart historii.

•

Zapowiada się wyjątkowy rok w wydatkach samorządów na inwestycje. Plan Warszawy to 3,955 mld zł, Krakowa – 1,704 mld, Poznania – 1,476 mld, Wrocławia – 1,339 mld, Gdańska –1,282 mld. Największe inwestycje w przeliczeniu na mieszkańca zaplanowano w Katowicach (ponad 3 tys. zł).

•

Za obrazę uczuć religijnych w latach 2020-2024 17 osób zostało skazanych na karę pozbawienia wolności, a pięć tymczasowo aresztowanych. Najwyższa pora, by przepis umożliwiający takie kary zniknął z kodeksu. A najlepiej, by do niechlubnej historii przeszedł cały art. 212.

•

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie unieważnił uchwałę KRRiT uzależniającą przekazywanie rozgłośniom regionalnym pieniędzy z abonamentu od sprawozdawczości. Decyzję o blokowaniu pieniędzy podjął Maciej Świrski, ówczesny przewodniczący, który o sobie mówił „talib PiS".

•

Reprezentacja Polski po raz pierwszy wygrała nieoficjalne drużynowe mistrzostwa świata, czyli turniej United Cup. W Sydney komplet punktów zdobyli para Katarzyna Kawa i Jan Zieliński oraz Hubert Hurkacz.

•

Bezrobocie w USA wynosiło w grudniu 4,6%, inflacja doszła do 2,7%. Rośnie przepaść między najbogatszymi a resztą. 10% najbogatszych odpowiada za 49% wszystkich wydatków konsumenckich. Dolne 60% za mniej niż 20% tych wydatków.

•

Mamy już **1894,5 km autostrad i 3571,2 km dróg ekspresowych.** Więcej bezkolizyjnych tras mają tylko Hiszpania, Niemcy, Francja i Włochy.

PRZEBŁYSKI



Szczepkowska na ringu z Nawrockim

Jak z samego rana zepsuć humor Zbigniewowi Boguckiemu i Marcinowi Przydaczowi, bulterierom z kancelarii Nawrockiego? Wystarczy powiedzieć, co Joanna Szczepkowska napisała na Facebooku o ich pryncypale. Popularna aktorka stała się biczem albo gwoździem w bucie bardzo z siebie zadowolonego prezydenta. Tak bezlitośnie obnażała bufonadę Nawrockiego, że jego świetnie opłacany dwór zaczął z nią walczyć. Nikomu nieznani z twarzy i nazwiska urzędnicy zaczęli mówić o Szczepkowskiej, że właściwie to o niej nikt już nie pamięta. I że nieznane są jej osiągnięcia aktorskie. Mówcie tak dalej, a przybędzie ludzi czytających wpisy Szczepkowskiej (www.facebook.com/joanna.szczepkowska53/).

To, że samozwańczy król prawicy jest nagi, wiedzą miliony Polaków. Dzięki Szczepkowskiej wiedzą, że nie są sami.



Rozbrat na bogato

Sprzedana przez Grzegorza Napieralskiego siedziba SLD przy Rozbrat 44 staje się miejscem coraz bardziej ekskluzywnym. Kamienica, hotel i pawilon poszły za skromne 35 mln zł, a kupiła je firma Radius Projekt poprzez swoją spółkę celową. O powiązaniach tej firmy z kapitałem zza wschodniej granicy napisano wiele tekstów. I nie bez powodu było w tej grupie wiele zmian właścicielskich. W końcu te trzy gmachy przejęła grupa deweloperska Dekada.

W 2023 r. zburzono siedzibę SLD i wybudowano apartamentowiec. Mimo przedwojennego rodowodu budynku konserwator zabytków nie protestował. Do rejestru zabytków wpisano za to pawilon klubokawiarni Syreni Śpiew. Zobaczymy, jaki będzie jego los. Czy nie zostanie wyburzony tak jak hotel, w miejsce którego Dekada chce postawić ośmiopiętrowy apartamentowiec z 30 lokalami mieszkaniowymi. Wszystko na bogato! I wszystko za te 35 mln zł wynegocjowane za rządów Napieralskiego.

Sławna jak Studzionka



Dość niespodziewanie światową sławą zaczęła się cieszyć płaskorzeźba Maryi z 1820 r. ulokowana na froncie cokołu krzyża Bożej Męki w Studzionce (woj. śląskie). Do 2024 r. nie był to zabytek jakiejś szczególnej wartości. I tak by sobie płaskorzeźba wisiała ku radości wiernych, gdyby nie renowacja, jaką jej zafundowano. Nie pożałowano połyskliwej farby. I mamy kicz, o którym piszą „Daily Mail", „The Sun" i „Bild". Niby mała rzecz, a wstyd wielki.

Jak zaczynał Duda

Andrzej Duda kończy tak, jak zaczął. O tym, co było na początku, mówił już w grudniu 2020 r. („Polityka") Tomasz Krawczyk, były doradca Lecha Kaczyńskiego. Właśnie w jego kancelarii pracował z Dudą. Nie miał złudzeń co do kadr PiS: „Wiadomo, jak to w PiS, ławka nie tyle jest nawet krótka, co w ogóle jej nie ma". Co do Dudy też nie miał złudzeń: „Kiedy pozwolili mu powiedzieć, że jest uczniem i wykonawcą spuścizny Lecha Kaczyńskiego, dla mnie to był zgrzyt. Zbyt dobrze pamiętałem jego relacje z prezydentem".

Bardzo wielu pamięta tamte czasy. Może więc staną w prawdzie.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, KONSERWATOR ZABYTKÓW/EXEGI MONUMENTUM, JA FRYTA/WIKIPEDIA

eprasa.pl 96af58f7bc

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czym się różni kibic od kibola?

DR HAB. MIROSŁAW PĘCZAK,
kulturoznawca, dziennikarz, UW

Kibic, kibol – to pojęcia umowne i nacechowane, odnoszące się do szeroko rozumianej subkultury kibicowskiej, która przez dekady wykształciła własną specyfikę. Współczesne środowiska kibolskie wyewoluowały z publiczności stadionowej w struktury w dużej mierze autonomiczne. W wielu przypadkach przejęły realną kontrolę nad klubami, mają wpływy finansowe i organizacyjne, a niekiedy funkcjonują w obrębie przestępczości zorganizowanej, spełniając kryteria gangu. Charakterystyczny jest też ich ideologiczny profil: nacjonalistyczny, faszyzujący, czasem otwarcie nazistowski, wyraźnie antydemokratyczny. Towarzyszy temu wizja społeczeństwa hierarchicznego, z podporządkowaniem kobiet mężczyznom. W Polsce dochodzi jeszcze czynnik kościelny – odwoływanie się do autorytetu Kościoła, co w połączeniu z retoryką patriotyczną tworzy pozór konserwatyzmu. Jest to jednak konserwatyzm skrajny i niebezpieczny.

GRZEGORZ LATO,
król strzelców Mistrzostw Świata 1974, rozegrał 100 meczy w reprezentacji Polski

Kibic jest z drużyną na dobre i na złe. Zawsze. Przychodzi na stadion i wspiera swoją drużynę, budując piękny klimat. Nigdy w sposób wulgarny, bo na boisku musi być kultura. Szczególnie że na mecze przychodzą też całe rodziny. Kibolskie przyśpiewki nie nadają się tymczasem dla nikogo, tym bardziej kilkuletnie dzieci nie powinny słuchać tak niecenzuralnych słów. Do tego dochodzi kwestia niesławnych ustawek. To nie ma nic wspólnego ze sportem, a tym bardziej ze wspieraniem konkretnej drużyny. Sport powinien łączyć, a nie być pretekstem do jakichkolwiek przejawów agresji.

HENRYK BUDZYŃSKI,
obecnie sporadyczny kibic Pogoni Szczecin i FC Barcelony, przewodniczący Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych

Kibice i kibole bywają postrzegani jako ta sama grupa ludzi, ponieważ łączy ich miłość do sportu i własnych zawodników. Różnica między nimi jest jednak zasadnicza. Kibic nigdy nie przekracza określonych granic. Działa zgodnie z dobrymi obyczajami i prawem. Kibol natomiast granice te regularnie narusza i nierzadko łamie prawo. Kibic szanuje drużynę przeciwną oraz jej sympatyków, okazując im elementarny respekt. O kibolu nie można powiedzieć tego samego, ponieważ jego postawę cechuje nieprzyjazny stosunek, zarówno do rywali, jak i do ich kibiców. Kibic nie uczestniczy w ustawkach z fanami innych drużyn, podczas gdy kibol właśnie w nich bierze udział, o czym wielokrotnie informowały media. Dla kibica impreza sportowa jest okazją do wspólnego, przyjemnego spędzenia czasu i do zabawy. Dla kibola staje się natomiast pretekstem do wyładowania frustracji, manifestowania wrogości wobec innych ludzi, a niekiedy agresji.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 96af58f7bc

KOMU SŁUŻY WETO?

Za brak bezpieczeństwa dzieci w internecie odpowiada dziś prezydent Nawrocki

Rozmawia Kornel Wawrzyniak



KRZYSZTOF GAWKOWSKI
– wiceprezes Rady Ministrów, minister cyfryzacji

Dlaczego potrzebujemy regulacji dotyczących usług cyfrowych?

– Potrzebujemy regulacji, które doprowadzą do bezpieczeństwa w internecie. Obecnie nie ma skutecznej walki z przestępstwami popełnianymi w sieci, bo nie mamy możliwości egzekwowania od platform cyfrowych przestrzegania prawa. Musimy wzmocnić nadzór nad tymi platformami, aby zwiększyć ochronę użytkowników. Państwo musi mieć możliwość szybkiej reakcji, kiedy pojawia się np. rosyjska dezinformacja czy zamieszczane są nielegalne treści, takie jak zdjęcia pedofilskie. Do tego mamy oszustwa internetowe związane z namawianiem do przestępstw finansowych. Aby z tym wszystkim walczyć i temu zapobiegać, potrzebujemy odpowiedniego prawa. Bez niego jesteśmy dziś dość bezbronni. I mimo że większość państw Unii Europejskiej takie prawo już wprowadziła, polski prezydent zdecydował się zawetować bezpieczeństwo w internecie.

Prezydent Nawrocki mówi, że to cenzura, przywołuje Orwella. Dlaczego ta argumentacja jest wadliwa?

– Przede wszystkim mam wrażenie, że pan prezydent może i czytał Orwella, ale na pewno nie czytał zawetowanej przez siebie ustawy. I to jest pierwszy element, który nasuwa mi się na myśl po tym, jak przeczytałem argumentację pana prezydenta odnośnie do ustawy implementującej Akt o usługach cyfrowych (DSA). Cenzura? Ta ustawa właśnie chroni wolność słowa w internecie, nakładając na platformy takie obowiązki jak wyjaśnianie przyczyn usunięcia treści, umożliwienie składania odwołań czy ujawnianie zasad moderacji.

Po drugie, w zawetowanej ustawie mieliśmy zestaw konkretnych narzędzi, które realnie wzmacniały prawa i wolności obywatelskie. Tymczasem według prezydenta egzekwowanie tych wolności implementacja DSA uniemożliwia. Po trzecie, blokowanie treści związanych z aktywnością w sieci dotyczyło ściśle określonych elementów i poważnych przestępstw, takich jak handel ludźmi, wykorzystywanie seksualne dzieci, oszustwa finansowe. Prezydent się temu sprzeciwił.

Wszystko to w imię walki z „cenzurą urzędniczą”.

– Prezydent oczekiwał, żebyśmy mieli w ustawie możliwość złożenia sprzeciwu do sądu powszechnego. I takie rozwiązanie wprowadziliśmy. Ustawa zawiera możliwość zgłoszenia sprzeciwu wobec zawieszenia

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 96af58f7bc

danej treści. Co więcej, w takim wypadku treść nie znika z internetu do czasu rozstrzygnięcia postępowania. Czy pozostanie w sieci – zależy już od decyzji sądu. Uważam, że prezydent Nawrocki uprawia grę polityczną, żerując na najniższych instynktach. Dlatego stawiam prezydentowi tak mocny akt oskarżenia. To on jest dzisiaj odpowiedzialny za to, że nie będzie bezpieczeństwa dla dzieci i osób starszych w internecie.

Kto zyskuje na utrzymaniu status quo?

– Prezydenckie weto na pewno wiele ułatwia platformom cyfrowym. Przede wszystkim nie muszą się przykładać do moderowania treści. Stawiane są niejako ponad prawem, ponieważ nikt nie może dziś ich zmusić, aby stosowały się do powszechnie obowiązujących przepisów. Ustawa o usługach cyfrowych miała sprawiać, że pedofilskie zdjęcia dzieci będą szybko usuwane. Prezydent straszy jednak, że urzędnik będzie decydował o tym, jakie treści są dopuszczalne. Pan Nawrocki jednocześnie zapomina dodać, że decyduje sąd, bo usunięto klauzulę natychmiastowej wykonalności. Zapomina też o tym, że urzędnicy przez lata decydowali m.in., czy wydać mu paszport, prawo jazdy, jak i o innych kategoriach w życiu jego i jego żony. Zresztą, co do rodziny pana prezydenta, kilka miesięcy temu na jego córkę wylał się wielki internetowy hejt. Stanąłem wtedy w jej obronie. Zażądałem od platform natychmiastowej reakcji i usunięcia tych treści. Nie wszystkie zniknęły, bo nie mamy żadnego narzędzia do egzekwowania poleceń w tego typu przypadkach.

Kilka tygodni temu w podobnej sytuacji znalazła się żona prezydenta.

– Tutaj też wystąpiłem z odpowiednim pismem, żeby platformy natychmiast zareagowały. Mamy do czynienia z głową państwa i należy się jej szacunek. Tak samo jak samemu państwu. Wielokrotnie prosiłem pana prezydenta o spotkanie w sprawie ustawy o usługach cyfrowych, ale nie było odzewu. Prosiłem, żeby tę ustawę podpisał, chociażby ze względu na to, że chroni ona też jego rodzinę.

W takim rodzinnym kontekście to weto zadziwia.

– Mam wrażenie, że prezydent Nawrocki uległ pokusie przypodobania się tym, którzy mówią, że ta ustawa jest cenzurą. Mówię oczywiście o PiS i Konfederacji. To tam prezydent zdaje się widzieć dziś największe polityczne korzyści dla siebie.

Co grozi Polsce ze strony Unii Europejskiej za niewprowadzenie regulacji dotyczących DSA?

– Regulacje dotyczące Aktu o usługach cyfrowych (DSA) przede wszystkim wprowadzały bezpieczeństwo w internecie. Polska jest prawie ostatnim państwem w Unii Europejskiej, które tego aktu nie wdrożyło. Jeśli nie zaimplementujemy tych przepisów, grożą nam kary finansowe opiewające na dziesiątki milionów euro. Podczas gdy cała Europa wdraża przepisy dobre dla obywateli, my z tym czekamy z powodu jakiejś niejasnej wizji pana prezydenta. Być może podoba mu się przybijanie piątek z kibolami, którzy z chęcią hejtowaliby w internecie wszystkich. Mnie jednak to się nie podoba, ponieważ chcę chronić swoją rodzinę i każdą inną rodzinę w Polsce.

Ta ustawa chroni wolność słowa w internecie, nakładając na platformy obowiązki.

Jakich narzędzi do walki z dezinformacją potrzebujemy?

– Instytucje państwa już walczą z dezinformacją, ale przede wszystkim musimy mieć możliwości szybkiej reakcji. Najważniejsze jednak jest zyskanie posłuchu platform cyfrowych. Te dwie rzeczy miała nam dać ustawa implementująca DSA. Dziś znowu trzeba będzie prosić platformy o reakcję. Uważam tymczasem, że platform nie powinno się prosić, tylko od nich wymagać. Szczególnie jeśli chodzi o weryfikowanie i ewentualne usuwanie dezinformacji.

Jakie działania planuje Ministerstwo Cyfryzacji w związku z wetem prezydenta?

– Rozpoczęliśmy już takie działania. Odbyły się pierwsze konsultacje. Nikt nie będzie zwlekał z żadnymi przepisami. Przygotowujemy nowe rozwiązania, które pozwolą chronić użytkowników w internecie, wierząc, że prezydent w końcu zmieni zdanie. Chodzi nie o to, żeby populizm siać, ale żeby go nie zbierać. A będziemy zbierać ten populizm i dotknie to też pana prezydenta. Właściwie to już się dzieje, bo modele językowe sztucznej inteligencji go rozbierają i po sieci krążą grafiki z prezydentem w strojach kąpielowych. To pokazuje, że każdego, bez wyjątku, może dotknąć to, że internet niekontrolowany po prostu zaczyna być ściekiem, z którym trzeba walczyć.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Z wielkim smutkiem żegnam

Mieczysława Czerniawskiego

polityka lewicy, posła PZPR i Sojuszu Lewicy Demokratycznej,
samorządowca, prezydenta Łomży,
a nade wszystko lojalnego kolegę i dobrego człowieka.

Zachowam we wdzięcznej pamięci Jego wsparcie i oddanie w kampanii prezydenckiej 1995 r., kiedy odpowiedzialnie i pracowicie zastępował mnie, pełniąc obowiązki przewodniczącego Klubu Parlamentarnego SLD.

Mietku, za wszystko dobre, co czyniłeś – dziękuję!

Aleksander Kwaśniewski

eprasa.pl 96af58f7bc

Ambasador USA i Elon Musk chwalą weto Nawrockiego

Handel ludźmi, wykorzystywanie seksualne dzieci, oszustwa finansowe. To wszystko zostaje w internecie

Kornel Wawrzyniak

Łowcy pedofilów, udając nastolatkę, wrzucili na jedną z grup w mediach społecznościowych post: „Mam 11 lat, szukam znajomych". Wystarczyło kilka chwil, aby ich komunikator zaczął się wypełniać wiadomościami ze zdjęciami penisów, prośbami o filmiki i rozbierane zdjęcia. Pedofile polują na dzieci także w popularnych grach, takich jak Roblox i Minecraft. Zboczeńcy manipulują nawet kilkuletnimi dziećmi. Często je szantażują i zmuszają do obrzydliwych rzeczy, takich jak nagrywanie filmików z masturbacją. Operatorzy platform cyfrowych uważają, że to problem rodziców, i umywają ręce. Zdaje się, że podobnego zdania jest prezydent Karol Nawrocki, który właśnie zawetował nowelizację ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną.

Skąd to weto?

9 stycznia prezydent poinformował, że zawetował ustawę, która miała zapewnić stosowanie w Polsce przepisów unijnego Aktu o usługach cyfrowych (ang. Digital Services Act, DSA). Zakładała ona możliwość blokowania treści dotyczących m.in. gróźb karalnych, namowy do popełnienia samobójstwa czy pochwalania zachowań o charakterze pedofilskim. Nawrocki w swojej argumentacji powołuje się zaś na Orwella i urzędniczą cenzurę. Problem w tym, że argumenty prezydenta zdają się wskazywać, że wcale nie przeczytał ustawy, którą zawetował.

– To weto zdecydowanie jest gestem politycznym. Argumentacja prezydenta nie ma wiele wspólnego z treścią ustawy, gruntownie przecież poprawionej przez Parlament. Zapewne dlatego, uzasadniając swoje weto, prezydent cytował Orwella, a nie krytykowany projekt! Prezydent uznał za absurdalne to, że autor treści, która narusza prawo karne – np. stanowi oszustwo albo groźbę karalną – musi wnieść sprzeciw od decyzji urzędnika, jeśli chce bronić swojej publikacji. Przypomnę, że ma na to 14 dni, a w tym czasie jego publikacja spokojnie wisi w sieci. Dla mnie to brzmi jak uczciwy proces – mówi „Przeglądowi" Katarzyna Szymielewicz, prezeska Fundacji Panoptykon zajmującej się prawami człowieka w obliczu nowych technologii.

> To weto zdecydowanie jest gestem politycznym.

Weto prezydenta Nawrockiego zastanawia w kilku aspektach. Od strony czysto technicznej Polska jako państwo należące do Unii Europejskiej ma obowiązek wprowadzić Akt o usługach cyfrowych. Według ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego jesteśmy jednym z ostatnich krajów UE, które jeszcze tego nie zrobiły. DSA wprowadza m.in. nowe ścieżki odwoławcze dla użytkowników platform, większą przejrzystość algorytmów oraz dotyczące największych firm technologicznych obowiązki w zakresie reagowania na treści nielegalne.

Inne państwa Unii, np. Hiszpania, wprowadziły DSA już dwa lata temu i demokracja w nich jakoś jeszcze nie upadła. Rząd alarmuje, że bez krajowych przepisów wykonawczych w sprawie wprowadzenia DSA Polska naraża się na wielomilionowe kary ze strony Unii, a użytkownicy pozostają bez realnej ochrony. Dziś wiele osób pada ofiarą reklam z fałszywymi inwestycjami, które obiecują szybki zysk. Reklamy z Robertem Lewandowskim gwarantującym zarobek w wysokości 4 tys. zł miesięcznie znajdziemy w mediach społecznościowych, chociażby na Facebooku.

Sam wymiar polityczny weta jest oczywisty mimo retoryki Pałacu Prezydenckiego. Na stronie Prezydenta RP widnieje apel Karola Nawrockiego o przygotowanie kolejnego projektu: „W dwa miesiące możemy mieć ustawę, która chroni dzieci i respektuje Konstytucję. Zapraszam do wspólnego przygotowania dobrego projektu Ministerstwo Cyfryzacji i organizacje, które zwróciły się w tej sprawie do Prezydenta". Człowiek z otoczenia Nawrockiego sugerował zaś na łamach Wirtualnej Polski, że Pałac Prezydencki nie zdążył jeszcze napisać odpowiedniej ustawy za rząd. Przekaz tej politycznej gry jest wręcz łopatologiczny – znowu będziemy musieli zrobić coś za rząd. Zobaczcie, drodzy wyborcy, jak ekipa Tuska nie dowozi.

Warto zadać sobie również pytanie, kto zyskuje na utrzymaniu status quo. Ambasador USA w Polsce Thomas Rose pogratulował

eprasa.pl 96af58f7bc



Ambasador USA Tom Rose z uznaniem przyjął weto prezydenta Karola Nawrockiego. Zawetowana ustawa miała zapewnić stosowanie w Polsce przepisów unijnego Aktu o usługach cyfrowych.

Nawrockiemu weta: „Prezydent Karol Nawrocki zasługuje na wielkie uznanie za zawetowanie przyjęcia przez Polskę karnej i antyamerykańskiej ustawy UE o usługach cyfrowych". Czytając takie zdanie, można odnieść wrażenie, że Polska jest 51. stanem USA albo ich ważną kolonią na terenie UE. Decyzję Nawrockiego również pochwalił na platformie X jej właściciel, Elon Musk. Biznesmen wielokrotnie krytykował DSA, nazywając go ustawą cenzorską, komunistyczną i faszystowską. Jego sprzeciw jest zrozumiały, bo im mniej regulacji, tym łatwiej cyfrowym platformom, takim jak X. A jak wiadomo, jeśli zadowoleni są cyfrowi giganci, zadowolony będzie też Donald Trump. Przypomnijmy, że w sierpniu 2025 r. prezydent USA groził nałożeniem ceł w odwecie za regulacje cyfrowe, które jego zdaniem miały uderzać w amerykańskie platformy.

– Absurdem jest, że dziś w Polsce nie mamy – i w wyniku prezydenckiego weta jeszcze długo nie będziemy mieli – szybkiej i skutecznej ścieżki odwoławczej od cenzorskich decyzji wielkich platform internetowych, takich jak TikTok, X czy YouTube. Absurdem jest, że nie możemy się poskarżyć na tak rażące naruszenia prawa jak to, że wielkie platformy masowo wpuszczają już 10-latki, a zoptymalizowane na klikalność algorytmy serwują im treści drastyczne, pornografię czy instruktaże prowadzące do samookaleczeń czy zaburzeń odżywiania – komentuje Katarzyna Szymielewicz z Panoptykonu.

Katarzyna Szymielewicz: Absurdem jest, że nie mamy w Polsce szybkiej i skutecznej ścieżki odwoławczej od cenzorskich decyzji TikToka, X czy YouTube'a.

Pamiętajmy, że Nawrocki cały czas szuka sobie na rodzimej scenie politycznej miejsca, gdzie mógłby najwygodniej się umościć. Najbliżej mu do położenia kocyka w pół drogi między trawnikami Konfederacji i PiS. To tam są również zapasy, które mogą go nasycić w kolejnych latach politycznej egzystencji. A właśnie te dwa środowiska najbardziej sprzeciwiają się jakiejkolwiek kontroli w internecie. Antysystemowcy lubują się w szerzeniu antynaukowej dezinformacji. Z kolei pisowscy piewcy wolności w internecie zdają sobie sprawę, że dzięki narzędziom, jakie zapewnia DSA, ich akcje (patrz afera hejterska) budowania znacznej bazy wyborców w sieci zostaną mocno ograniczone. Wszak motorem polityki w internecie jest dziś polaryzacja. Ta zaś działa najmocniej, gdy jest oparta na wszelkiej maści fejkach.

Prawica, USA i zaufani konfidenci

Prawica obawia się propozycji wprowadzenia zaufanych podmiotów sygnalizujących. Twierdzi, że takie instytucje będą służyły uciszaniu opozycji. Ale, jak mówi popularny idiom, „każdy mierzy swoją miarą". Zacznijmy od środowiska kibolskiego, które zdaje się wyjątkowo bliskie sercu prezydenta Nawrockiego. Sformułowanie „zaufany podmiot sygnalizujący" kojarzy się tu po prostu z konfidentem. Donosicielstwo zaś to najgorszy grzech w tym świecie. Bo ulica rządzi się swoimi prawami. Przypomnijmy ostatnie słowa Tupaca Shakura. Kiedy policjant zapytał umierającego po postrzale rapera o sprawcę, usłyszał w odpowiedzi krótkie: „F*ck you". Kilka godzin później artysta zmarł w szpitalu. I właśnie taką logikę, że „trzeba mieć zasady", rozumieją kibole.

– Prezydent krytykował pomysł publicznego finansowania tzw. zaufanych podmiotów sygnalizujących, sugerując, że mogłyby one zgłaszać do zablokowania treści, które im się „subiektywnie nie podobają", czy wręcz „nieprawomyślnych obywateli" (to cytat z oświadczenia prezydenta tłumaczącego weto). Ten zarzut nie ma nic wspólnego z treścią DSA czy polskiej ustawy. Rola „zaufanych

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl 96af58f7bc

podmiotów sygnalizujących" ogranicza się do zgłaszania treści nielegalnych, a w tej kategorii nie ma ani dezinformacji, ani krytyki władzy, ani nawet znieważania osób publicznych. Co więcej, ich zgłoszenia wcale nie są dla platform wiążące. To platformy podejmują ostateczną decyzję, czy usunąć lub zablokować dany materiał – wyjaśnia prezeska Fundacji Panoptykon.

A jakie nastawienie do podmiotów sygnalizujących ma prawa strona sceny politycznej? Można powiedzieć, że wewnętrznie sprzeczne. Niby słyszymy głosy sprzeciwu wobec donosicielstwa, popatrzmy jednak, co dzieje się w praktyce.

Część hejterskich materiałów uderzających w kilkuletnią Kasię Nawrocką nadal wisi w sieci, bo nikt nie może wymusić na platformach cyfrowych usunięcia tych treści.

Marco Rubio, szef amerykańskiej dyplomacji, zarządził anulowanie wiz obcokrajowcom, którzy „świętowali, racjonalizowali lub bagatelizowali" zabójstwo Charliego Kirka. Urzędnikowi do odmowy wydania dokumentu miał wystarczyć internetowy donos. Do akcji natychmiast wkroczył pisowski poseł Dariusz Matecki. Czołowy hejter RP zapewnił Rubia, że dostarczy amerykańskim służbom listę polskich internautów, którzy są „winni" niedochowania powagi wobec śmierci alt-prawicowego aktywisty. Donosicielstwo jest więc dopuszczalne. Problem w tym, że nawet jeśli dokładnie taką logiką kierował się prezydent, jest to działanie skrajnie niemerytoryczne.

– Różnica między zgłoszeniem od zaufanego podmiotu sygnalizującego a zgłoszeniem złożonym przez zwykłego użytkownika lub użytkowniczkę internetu sprowadza się do tego, że to pierwsze powinno być rozpatrzone szybciej. Za tym przywilejem idzie jednak odpowiedzialność: takie podmioty muszą skrupulatnie rozliczać się ze swojej pracy (m.in. publikować raporty ze swojej działalności i składać je do koordynatora usług cyfrowych) – mówi Szymielewicz. Tymczasem zadajmy sobie pytanie: czy Mateckiego ktoś rozliczy? Nie. Będą mu się jeszcze należały brawa, bo przecież zgłosił się na ochotnika niczym wzorowy amerykański skaut.

Nawrockiemu zapatrzonemu w swojego idola zza oceanu marzy się wolność słowa w wydaniu trumpowskim. Paradoksalnie Trump, który do władzy doszedł, krytykując polityczną poprawność, dziś sam ją praktykuje. Zastępuje tylko tę „lewacką", broniącą słabszych, swoją własną *cancel culture*, która zasilana jest bezpośrednio przez aparat państwowy. Echa tej nowej alt-prawicowej *cancel culture* dotarły do nas po zabójstwie Charliego Kirka. Chodzi o sprawę Jimmy'ego Kimmela z telewizji ABC, który rzekomo nabijał się z tragedii. Nominat Trumpa w Federalnej Komisji Łączności (organ podobny do naszej KRRiT) Brendan Carr natychmiast pogroził ABC palcem. Komik wyleciał. Ta medialna dykteryjka to zaledwie fragmencik alt-prawicowego polowania na czarownice. Wspomnieliśmy już o wizach. W tym samym czasie Pete Hegseth, sekretarz obrony, nakazał pracownikom Pentagonu sporządzenie listy krytykujących Kirka żołnierzy i pracowników, którzy następnie zostali zwolnieni ze służby. Wiceprezydent J.D. Vance namawiał do tego samego zwykłych obywateli. Mieli zgłaszać swoim pracodawcom, że ktoś źle pisał lub mówił o zmarłym aktywiście. Nancy Mace apelowała do ministerstwa edukacji, aby każdą uczelnię, która nie zwolni pracowników nieprzychylnych Kirkowi, pozbawiać publicznych pieniędzy. Co może więc myśleć prezydent Nawrocki przywołujący słowo „cenzura"?

Dobry cenzor nie jest zły

Od czasu weta w sprawie Aktu o usługach cyfrowych w sieci pojawiają się fotomontaże przedstawiające Karola Nawrockiego w bikini. To dowód, że bez odpowiednich regulacji każdy może paść ofiarą wrednych praktyk w internecie. Marcin Przydacz z Kancelarii Prezydenta w rozmowie z Radiem Zet zdecydowanie skrytykował przerabianie zdjęć głowy państwa. Weto prezydenta zadziwia również z tego względu, że kilka miesięcy temu w sieci hejtowano jego kilkuletnią córkę. Parę tygodni temu wylała się zaś fala hejtu na pierwszą damę. Wprowadzenie DSA chroniłoby rodzinę prezydenta przed takimi atakami i pozwalało na szybkie poradzenie sobie z problemem. Część hejterskich materiałów uderzających w kilkuletnią Kasię Nawrocką nadal wisi w sieci, ponieważ nikt nie może wymusić na cyfrowych platformach usunięcia tych treści.

Marcin Przydacz zwrócił w Radiu Zet uwagę, że kwestie naruszania dobrego imienia rodziny prezydenta powinny być oceniane przez odpowiednie organy. Szef Biura Polityki Międzynarodowej w KP albo nie zrozumiał żartu i nie wie, że obywatele są bez DSA kompletnie bezbronni, albo uważa, że mamy obywateli drugiej kategorii, którym żadna ochrona w internecie się nie należy, i obywateli kategorii pierwszej (zapewne należących do kasty rządzącej z ramienia PiS), których powinny chronić specjalne organy. Nie wydaje się to kalką opisywanej wyżej amerykańskiej rzeczywistości?

Dodając dwa do dwóch, widzimy, że wbrew twierdzeniom cenzura wcale nie przeszkadza prawicowym politykom. Denerwuje ich jedynie to, że nie oni będą nadawali jej ton. Wieczna jest też pisowska polityka wstawania z kolan i jednoczesnego klękania przed Wielkim Bratem zza oceanu. Prezydenckie weto pokazuje przy tym, że Nawrocki stawia swoją polityczną karierę ponad dobro obywateli. Pozbawił ich właśnie narzędzi do obrony przed wielkimi platformami. Przyzwolił jednocześnie na hejt, pedofilię i przemoc rówieśniczą. Wszystkie te społeczne szkody w zamian za kilka politycznych punktów i udawaną sympatię Donalda Trumpa, który mówi do prezydenta „Nauroki".

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 96af58f7bc



Z Galicji Jan Widacki

Żądamy Bornholmu

Stojąc na straży bezpieczeństwa Polski, pomni tradycji II Rzeczypospolitej, wpisując się w doktrynę Trumpa i tym samym demonstrując jedność ideową z aktualnym prezydentem Ameryki, co niewątpliwie temu ostatniemu sprawiłoby przyjemność, mamy niepowtarzalną okazję wykorzystania trudnej sytuacji Danii. Powinniśmy zażądać od niej Bornholmu!

Ten Bornholm „po prostu nam się należy", jak powiedziałaby pani ekspremier Szydło, albo, mówiąc prościej, tak jak o Grenlandii mówi prezydent Trump, „on nam po prostu jest potrzebny". Jest potrzebny z wielu powodów. Niedaleko Bornholmu zdradziecko po morskim dnie przebiega (lepiej byłoby powiedzieć przepełza) rurociąg Nord Stream łączący Rosję i Niemcy. Niby na razie nieczynny, ale nie wiadomo na jak długo. Już samo to powoduje, że powinniśmy nad nim sprawować kontrolę. Z Bornholmu byłoby łatwiej. Wymaga tego bezpieczeństwo Polski! Mieszkańcy Polski Północnej, mając daleko do lotniska w Radomiu, z którego, jak słusznie wywiódł swego czasu poseł Suski, bliżej jest do Egiptu niż z Warszawy, zamiast latać w tak odległe rejony, mogliby wypoczywać na Bornholmie. A już na pewno bliżej na Bornholm niż do Egiptu mieliby kibole Lechii Gdańsk. Przecież za deklarowany tak głośno patriotyzm jakaś premia tym walecznym kibolom chyba się należy?.

Do tego dochodzą jeszcze racje historyczne, a także geograficzne. Zacznijmy od tych ostatnich. Z Kopenhagi na Bornholm jest ponad 180 km, i to tranzytem, przez kawałek Szwecji. Z Kołobrzegu tylko 50 mil morskich (ok. 93 km)! O połowę bliżej, w dodatku żaden tranzyt przez Szwecję nie jest potrzebny! A historycznie? Na Bornholmie ludzie żyli już w latach 9000-8000 p.n.e. i w tym czasie Bornholm miał połączenie lądowe z terenami dzisiejszej Polski i Niemiec. A z Danią nie! Później już (nawet znacznie później!) wyspę zamieszkiwali Burgundowie. No przecież nie Duńczycy! Potem mieszkańcy wyspy się zmieniali. Zasiedlali ją wikingowie, następnie pojawili się Duńczycy.

W wiekach IX-XII władztwo Duńczyków nad wyspą nie było wcale oczywiste, trwały o nią walki między Słowianami a Duńczykami. W XII w. znaczna część Bornholmu należała do szwedzkiego katolickiego arcybiskupstwa w Lund. W Lund już prawie nie ma katolików, a w Polsce jeszcze są, bez trudu można by wywieść, że już z tego powodu prawem dziedziczenia coś nam, katolikom, na tym Bornholmie się należy. Ale to dopiero początek.

W czasie wojny 13-letniej Duńczycy wspierali Krzyżaków i w pobliżu Bornholmu ich flota, wespół z inflancką, stoczyła walkę z trzema okrętami kaprów gdańskich. Za ten przykry incydent Duńczycy do dziś nie przeprosili. Potem był czas, gdy nad wyspą władzę sprawował związek hanzeatycki i dopiero w XVI w. Dania Bornholm odzyskała, ale nie na długo, bo wkrótce Duńczyków przepędzili Szwedzi. W przepędzeniu Szwedów z Danii pomagał dowodzony przez hetmana Czarnieckiego korpus polski, co barwnie opisał w „Pamiętnikach" Pasek. Mało tego, to w Danii Czarniecki przeprawił się z wojskiem przez cieśninę morską na wyspę Als, który to wyczyn utrwalony jest w naszym hymnie („Jak Czarniecki do Poznania / Po szwedzkim zaborze, / Dla ojczyzny ratowania / Wrócim się przez morze"). A Duńczycy co? Podziękowali chociaż za to? A powinni.

Mam nadzieję, że Duńczycy przekażą nam Bornholm dobrowolnie, uznając nasze racje, oparte na doktrynie Trumpa.

Tak naprawdę to na dobre władzę nad Bornholmem Duńczycy sprawują dopiero od drugiej połowy XVII w., ale też nie nieprzerwanie, bo w czasie II wojny światowej wyspę zajęli Niemcy, a później, w maju 1945 r., Sowieci, którzy okupowali ją do kwietnia 1946 r., kiedy wróciła do Danii. Ale jeszcze w XIX w. na Bornholm dotarła grupa osadników polskich z Galicji. Mieli oni niewątpliwy wkład w jego rozwój. A Duńczycy do tej pory wdzięczności nam za to nie okazali! Nawet nie wiemy, gdzie są groby Polaków! Żądamy od Duńczyków, by jeszcze przed przekazaniem nam Bornholmu przeprowadzili stosowne ekshumacje i godnie upamiętnili naszych rodaków. No i przeprosili za epizod z wojny 13-letniej, podziękowali za ekspedycję Czarnieckiego i za to, że uczestnik tej ekspedycji, Jan Chryzostom Pasek, zechciał informacje o ich mało godnym uwagi kraju przekazać w pamiętnikach polskiemu czytelnikowi.

Mam nadzieję, że przekażą nam Bornholm dobrowolnie, uznając nasze racje, oparte na doktrynie Trumpa i polskiej polityce historycznej. Jeśli nie, to nie można wykluczyć wariantu zbrojnego zajęcia Bornholmu. Nawiasem mówiąc, wedle leżących jeszcze w archiwach planów Układu Warszawskiego mieliśmy Danię zdobywać. A więc jesteśmy przygotowani i na taki wariant. Byłby on zresztą zgodny z tradycją bohaterskiego przyłączenia Zaolzia, Spiszu i Orawy do Macierzy w 1938 r. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 96af58f7bc

MEDIA PUBLICZNE

CZYLI JAK NAS OGRALI POLITYCY

Rozmawia Robert Walenciak



PROF. STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI
– socjolog, medioznawca, profesor nauk społecznych

Media publiczne są w poważnym kryzysie – to pańskie słowa. Co to znaczy „poważny kryzys”?

– To znaczy, że ten kryzys jest wielostronny. Obejmuje nie tylko finansowanie, bo zwykle na tym obserwatorzy się skupiają.

Szefowie mediów publicznych zawsze mówią, że brakuje pieniędzy. No, może z wyjątkiem Jacka Kurskiego…

– Za czasów PiS i Jacka Kurskiego media publiczne były finansowane poprzez budżet państwa i państwowe spółki, a nie ze środków publicznych. A dziś dotacje są uznaniowe. Jeszcze do tego transze abonamentu są wstrzymywane przez Krajową Radę Radiofonii i Telewizji. Jest to więc kryzys bardzo dokuczliwy i bardzo poważny. Ale są i inne – kryzys programowy, technologiczny, kryzys zaufania…

Kto płaci, ten zamawia muzykę

A jeśli chodzi o dzisiejszą Polskę – mamy media publiczne czy są to media partyjne?

– To są, myślę, media państwowe. Nie partyjne, nie publiczne, tylko państwowe.

Dlaczego?

– Są kraje, takie jak Wielka Brytania czy Niemcy, gdzie widzowie są karni i płacą abonament. W związku z tym i BBC, i ZDF funkcjonują rzeczywiście jako media publiczne, finansowane ze środków publicznych. Ale w wielu krajach ludzie nie chcą płacić abonamentu, jest więc tendencja, żeby to były opłaty poprzez budżet. A jeżeli poprzez budżet, to media muszą zabiegać o pieniądze, o dotacje. Wtedy stają się bezbronnym podmiotem wobec partii rządzącej, bo to ona podejmuje decyzje finansowe.

Politycy ograli więc dziennikarzy?

– Myślę, że tak.

Czyli Platforma z PiS walczą na śmierć i życie, ale w jednej sprawie są zgodne: przyjęły, że kto rządzi, ten ma media.

– Dokładnie tak jest. Kto płaci, ten wymaga, prawda? Albo – gra się taką muzykę, jaką zamawia płacący. Są różne powiedzenia, bardzo bliskie… To nie jest uwikłanie partyjne, tylko uwikłanie państwowe. Odróżnijmy to – media publiczne nie są definiowane wyłącznie przez źródło finansowania, lecz przede wszystkim przez istnienie realnych mechanizmów autonomii instytucjonalnej: stabilnych zasad finansowania, buforów oddzielających redakcje od bieżącej władzy politycznej oraz procedur samokontroli i odpowiedzialności zawodowej. Media państwowe natomiast to takie, które – nawet jeśli formalnie funkcjonują jako spółki prawa handlowego – pozostają faktycznie finansowane, obsadzane kadrowo i kontrolowane przez władzę wykonawczą. Jak widzimy, problem

Prof. Stanisław Jędrzejewski – dyrektor Programu I Polskiego Radia (2003-2005), członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji (2005), przewodniczący Rady Nadzorczej Polskiego Radia (2011-2016). Zastępca przewodniczącego Komitetu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach PAN.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 96af58f7bc

nie sprowadza się do „politycznego skrętu" jednej formacji, lecz ma charakter strukturalny i systemowy.

Najniższy wspólny mianownik zabija

Nic więc dziwnego, że dyrektor generalny TVP mówił, że jego oczkiem w głowie jest TVP Info. Okazuje się, że najważniejsza jest polityka, a takie rzeczy jak Jedynka, Dwójka to tylko dodatek.

– Teraz, kiedy mamy wolność słowa, kiedy jesteśmy otwarci, nie powinniśmy się koncentrować wyłącznie na polityce i jednak trochę wrócić do źródeł. Jak mówił John Reith, założyciel BBC – najpierw edukacja, potem informacja, a potem dostarczanie rozrywki, ale też na odpowiednim poziomie.

Nie na poziomie najniższego wspólnego mianownika, do czego prowadzi ściganie się z komercją.

– Ten najniższy mianownik zabija. I samych twórców, i odbiorców – bo przyzwyczaja ich do miernego poziomu intelektualnego czy artystycznego. To pierwsza sprawa, a druga jest taka, że część zadań publicznych przejęły media komercyjne. Są np. w radiu kanały z muzyką poważną, są stacje nadające rzetelną informację, mamy różnego rodzaju kanały edukacyjne. Jeżeli więc mamy takie technologie jak podcast w radiu albo telewizja na żądanie, różnego rodzaju streamingi, to media publiczne powinny zacząć szeroko proponować ludziom taki szwedzki stół – żeby każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Tak wygląda koncepcja mediów publicznych rozproszonych. Dodam, że przeciwny jej był Karol Jakubowicz. Uważał, że to zabije media publiczne, że powinny one być skoncentrowane na swojej misji, na swoich zadaniach, żeby ludzie mogli łatwiej docierać do pozycji wartościowych.

Ta idea – że media publiczne wyróżnia najwyższy poziom, że są wzorem dla innych mediów – wymaga najlepszych dziennikarzy.

– Z całą pewnością! Bo najlepsi dziennikarze są punktem odniesienia. Czy to w dziedzinie informacji, czy w rozrywce.

Byłem zdumiony, kiedy w czasie wyborów prezydenckich okazało się, że najważniejszą debatę w TVP prowadzi dziennikarz z zewnątrz i że ważniejsze były debaty w Kanale Zero i u Mentzena. Dlaczego telewizja publiczna oddała pole?

– Czuła swoją słabość i oddała pole. Pewnie dlatego, że nie stała się punktem odniesienia, ani dla widzów, słuchaczy, ani dla polityków, ani innych dziennikarzy. To jest też szerszy problem – media publiczne, czy też państwowe, dotyka kryzys, o którym wspomnieliśmy na początku – zaufania społecznego.

Media publiczne są potrzebne – albo jako uzupełnienie tego, czego nie robi komercja, albo jako drogowskaz, punkt odniesienia dla innych.

Dlaczego widz odpływa?

Dlatego notują odpływ odbiorców?

– Warto wyraźnie nazwać to zjawisko – jako trwałą erozję zaufania do mediów publicznych jako instytucji. Chodzi nie tylko o chwilowe spadki oglądalności, lecz o długofalowy problem *brand damage*, który nie znika automatycznie wraz ze zmianą kierownictwa czy narracji redakcyjnej. Szczególnie istotny jest tu odpływ młodszych odbiorców, dla których media publiczne przestają być punktem odniesienia, a stają się jednym z wielu, często mało atrakcyjnych, elementów krajobrazu medialnego. Bez odbudowy wiarygodności nawet najbardziej ambitne innowacje czy reformy związane z nowymi technologiami – VOD, podcasty, platformy streamingowe – pozostaną działaniami powierzchownymi.

I nic to polityków nie nauczyło? Że nadmierna wierność nie służy mediom, bo odpycha widzów. A w konsekwencji nie służy samym politykom. Bo co z tego, że będą non stop w tej telewizji, skoro nikt nie będzie tego oglądał?

– Nie ma mediów bez widzów, bez słuchaczy. Nie można mówić do ściany. Oczywiście oglądalność,

Z głębokim smutkiem przyjąłem informację o śmierci

MIECZYSŁAWA CZERNIAWSKIEGO

Posła na Sejm X, II, III i IV kadencji,
Prezydenta Miasta Łomży w latach 2010-2014.

Rodzinie, bliskim i przyjaciołom składam wyrazy współczucia.

Włodzimierz Czarzasty
Marszałek Sejmu RP

eprasa.pl 96af58f7bc

słuchalność nie może być fetyszem, bo jednak na jakimś poziomie te media muszą być. Cóż, takiego poziomu – ale to były inne czasy – jak Kabaret Starszych Panów, już się nie osiągnie. On do tej pory wyznacza pewien standard. I to dla wielu ludzi, nawet tych trochę gorzej wykształconych. Może nie rozumieli wszystkich dowcipów, aluzji, ironii, ale pamiętają. Dobre media mogą nieść wiele treści edukacyjnych, to było ważne w Polsce po 1945 r. – podnoszenie poziomu intelektualnego ludzi. Tamte media przy całym chłamie propagandowym jednak taką funkcję pełniły.

Dziś już nikt nie pamięta ówczesnych programów propagandowych, wszyscy pamiętają Kabaret Starszych Panów czy Kabaret Olgi Lipińskiej.

– Dobra rozrywka, edukacja kulturalna, edukacja artystyczna okazały się wartością. Trzeba to robić. Inaczej niż kiedyś. Ale to jest potrzebne. Radiowa Dwójka to skarb dla polskiej kultury. To jest program inaczej skonstruowany niż kanały internetowe z muzyką klasyczną.

Siłą są tam dziennikarze, którzy potrafią słuchaczowi podpowiedzieć, wybrać.

– Nawet jeżeli się narzeka, że wstępy do koncertów są nadmiernie muzykologiczne.

To jest najważniejsze – dziennikarz, który jest przewodnikiem.

– Zwłaszcza teraz musi być przewodnikiem, kiedy bardzo trudno ocenić, co jest dobre, a co złe.

Tej ustawy nie będzie

Jak zrobić, żeby było dobrze? Koalicja rządzi od ponad dwóch lat, a wciąż nie ma ustawy o mediach. Piszą ją tak, żeby nie napisać.

– Tej ustawy oczywiście nie będzie.

A to, co jest zapowiadane?

– To nie jest nowa ustawa. To jest ustawa znowelizowana. A nowelizacja jest dlatego, że polskie prawo trzeba dostosować do uregulowań europejskich, do obowiązującego od paru miesięcy Aktu o wolności mediów (EMFA). Więc ona jest napisana na użytek doraźny.

A potrzeba czegoś szerszego?

– Przecież od 1993 r. w świecie mediów zmieniło się niemal wszystko. Zwłaszcza w technologii. Potrzeba nam nowej ustawy, i to nie o radiu i telewizji, tylko o mediach. Na to nie ma na razie zgody. Dla polityków obecny stan jest wygodny. Dla nich, bo nie dla nas.

> Dla polityków obecny stan jest wygodny. Dla nich, bo nie dla nas.

Czyli nic się nie zmieni.

– I to jest bardzo zła sytuacja. Pomijam już tę kwestię, że potrzebna jest reforma wewnętrzna mediów publicznych. Że zmiany technologiczne wymuszają zmiany organizacyjne.

Mówi pan też o portalu mediów publicznych, w którym grupowano by wszystkie media i treści przez nie produkowane. Telewizja, radio, strony internetowe, VOD, podcasty...

– Wspominaliśmy o tym. Chodzi tu nie o jedną antenę czy jeden kanał, lecz o *public service media ecosystem*: system treści, platform i formatów, które funkcjonują komplementarnie, a nie konkurencyjnie wobec siebie. Telewizja linearna, radio, serwisy internetowe, podcasty i platformy VOD powinny tworzyć spójny ekosystem misyjny, odpowiadający na zróżnicowane potrzeby odbiorców, zamiast próbować utrzymać jednolity, coraz mniej adekwatny model nadawczy.

> Dobre media publiczne nudne nie są. Jest opinia w Wielkiej Brytanii, że BBC ma najbardziej agresywną ramówkę.

Czy są podejmowane jakieś działania w tym kierunku?

– Mówi się o tym od lat! I nic się nie dzieje. A to jest do zrobienia. Brytyjczycy w pewnym momencie powołali strukturę – BBC News Online. Na początek gromadzili tam wszystkie newsy. A jednocześnie zaczęli pracować nad nowoczesnym newsroomem, otwartym w 2013 r. Byłem tam parę razy, to jest coś niesamowitego, no ale to jest jedna z dziesięciu największych medialnych korporacji świata.

Politykom wstęp wzbroniony

A pracujący tam dziennikarze – czują swoją niezależność?

– Absolutnie tak! Ale to nie znaczy, że nie mają problemów. Ostatnio, jak wiadomo, w związku z Trumpem.

Bo w reportażu, zresztą zrealizowanym przez firmę zewnętrzną, sklejono wypowiedź Trumpa z dwóch różnych.

– W związku z tym podali się do dymisji dyrektor generalny i szefowa newsów BBC. Nie chcę wchodzić w szczegóły, najciekawsze jest to, że taka organizacja ma wbudowane mechanizmy samokontroli. Że afery są wyjaśniane i że politycy ich nie rozstrzygają. Do tego wszystkich namawiam – że jeśli chodzi o nasze media publiczne, w sprawach konfliktowych powinien decydować może nie samorząd pracowniczy, ale organizacje zawodowe, organizacje dziennikarskie. Żeby już nie angażować w to biurokratów albo osób pełniących funkcje ministerialne. To jest podstawowa sprawa.

Dlaczego podstawowa?

– Gdy mówię o BBC czy ZDF, to nie chodzi mi o ich idealizowanie. Chcę wskazać, że funkcjonują one w ramach kultur organizacyjnych, w których istnieją realne mechanizmy samokontroli, odpowiedzialności personalnej i instytucjonalnej. W Polsce takich mechanizmów w zasadzie nie ma. A odpowiedzialność za kryzysy medialne jest niemal zawsze politycznie rozmywana. To właśnie różnica między nimi a nami – a nie poziom technologii czy budżetów.

eprasa.pl 96af58f7bc

Że mechanizmy brytyjskie czy niemieckie chronią szefów mediów i dziennikarzy? Że nie muszą oni się uginać? Przecież jak pan pracował w radiu, to się pan nie uginał.

– To był szczególny okres, bo to była pierwsza, taka trochę testowa sytuacja. To był zarząd pierwszej kadencji spółki, która powstała. Rok 1993, 1994. Wtedy politycy byli oddaleni od nas, od ciał kierowniczych. A jednocześnie KRRiT starała się być, i była przez jakiś czas, buforem między politykami a mediami. Taki był zresztą pomysł.

Nie ma takiego bufora w tej chwili, bo KRRiT jest dość jednolita i wyzbyta kompetencji.

– Za to myślę, że do strawienia jest inny pomysł, grupy, która pracowała nad kolejną wersją ustawy medialnej i w której są prof. Tadeusz Kowalski, Jacek Weksler, Jan Dworak i ja – pomysł rad powierniczych, które łączyłyby funkcje rad programowych z nadzorczymi.

Czy są podobne ciała w Europie?

– W niemieckiej ZDF jest Rada Telewizyjna, która wybiera intendenta, czyli szefa ZDF. Liczy 70 osób, jest bardzo pluralistyczna. Są w niej nawet przedstawiciele Kościołów. To dla mediów publicznych wielka wartość, jak jest coś różnorodnego.

Po co te media?

Dlaczego warto walczyć o media publiczne? Czy wolny rynek by nie wystarczył? Ludzie sami by się zorientowali, co jest dobre, a co złe.

– Jednak w wielu dziedzinach rynek jest regulowany, prawda? Również w mediach regulacje są potrzebne. Druga rzecz – pewnych gatunków, treści, formatów media komercyjne nie dostarczą.

Bo komercyjnym pewne rzeczy się nie opłacają?

– Jest teoria, która mówi, że im większa różnorodność, tym mniejsza różnorodność. Bo wszyscy upodabniają się do tych, którzy odnieśli sukces, i chcą być tacy sami. W związku z tym nie są różnorodni. Jest więc wielki rynek stacji komercyjnych, radiowych, telewizyjnych, portali, a media publiczne uzupełniają to, czego tamci nie dostarczają. Jeśli chodzi o radia – zwykle mówi się o słuchowiskach, o reportażach. Jest też cała grupa użytkowników mediów, których media mainstreamowe nie zadowalają. Istnieją różne uwarunkowania społeczne, które powodują, że media publiczne są potrzebne – albo jako uzupełnienie tego, czego nie robi komercja, albo jako taki drogowskaz, punkt odniesienia dla innych.

co wokół nich, kiedy to jest – sam pan to mówił – poza naszymi możliwościami. Nie załatwimy tego nigdy w życiu.

– Dobre pytanie… Może dlatego, że jestem związany z tymi mediami, więc nie potrafię przejść na inny sposób myślenia? Poza tym ciągle mam nadzieję, że jednak w którymś momencie nastąpi jakieś przełamanie i politycy się zorientują, że ten ich

Potrzeba nam nowej ustawy, i to nie o radiu i telewizji, tylko o mediach. Na to nie ma na razie zgody.

Nie jako media słuszne i poważne…

– Dobre media publiczne nudne nie są. Jest opinia w Wielkiej Brytanii, że BBC ma najbardziej agresywną ramówkę. Dlaczego tak mówią? Dlatego, że BBC daje bardzo interesującą ofertę, której inni nie dają. Ma najlepszych dziennikarzy. Daje im gwarancję wolności. Oni tworzą najlepsze programy. Nie ma reklam. I odciąga w ten sposób widzów od stacji komercyjnych. Więc na pewno media publiczne są potrzebne, ale w innej postaci. Nie w tej tradycyjnej i nie w tej dzisiejszej.

Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo przejmuje się pan mediami publicznymi i tym wszystkim, komfort wynikający z braku ustawy jest pozorny. Że pewne sprawy trzeba uregulować, nawet jeżeli tych mediów się nie lubi. Bo są tacy politycy, którzy nie lubią.

Nie muszą lubić. Wystarczy, że uświadomią sobie, że wprawdzie dziś je mają, ale za chwilę będą je mieli ich przeciwnicy. Może więc lepiej, by były niczyje, neutralne.

– Do tego zmierzam. Lepiej przecież, by były poza bieżącymi sporami politycznymi, wyjęte z tego obszaru. Zobaczymy, może dożyjemy…

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 96af58f7bc

Oddziały szturmowe Prezydenta RP

Kodeks karny nic nie mówi o karze dla głowy państwa znieważającej prezydencki majestat, naród i Polskę

Andrzej Sikorski

Czułe przywitanie na Jasnej Górze Karola Nawrockiego z nazistowskim kryminalistą Tomaszem P. „Dragonem" wywołało powszechne oburzenie. Widocznie wielu komentatorów i publicystów zapomniało już o przygotowanym dla Jarosława Kaczyńskiego raporcie, który ujrzał światło dzienne w grudniu 2024 r. W dokumencie tym na 72 stronach opisano powiązania Nawrockiego – wówczas prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, a wcześniej dyrektora Muzeum II Wojny Światowej – z kryminalistami, neonazistami i neohitlerowcami (pisaliśmy o tym w artykule „Karol z półświatka", „Przegląd" nr 22/2025). Nawrocki nigdy w przekonujący sposób nie wytłumaczył się ze znajomości z bandytami, a wszyscy ci, którzy naiwnie myśleli, że jako prezydent się ucywilizuje, nie znają gangsterskich reguł. Otóż przynależność do środowiska stadionowych chuliganów jest dożywotnia i nie zrywa się znajomości z kimś tylko dlatego, że siedział w kryminale, zajmuje się działalnością przestępczą i ma nazistowskie tatuaże.

Bandycka elita

Trzeba uczciwie przyznać, że przy Grzegorzu Horodce ps. „Śledziu" „Dragon" to czeladnik – jeśli tego pierwszego uznać za mistrza w bandyckim fachu. 52-letni „Śledziu", gdański stadionowy druh prezydenta Rzeczypospolitej i jeden z przywódców bojówki Lechii Gdańsk, przesiedział 14 lat w więzieniu za



Czułe przywitanie na Jasnej Górze Karola Nawrockiego z nazistowskim kryminalistą Tomaszem P. „Dragonem" wywołało powszechne oburzenie. 10 stycznia 2026 r.

FOT. X/KPRP

eprasa.pl 96af58f7bc

pobicia, udział w bójkach i nielegalne posiadanie broni. Na ramieniu ma wytatuowanego Adolfa Hitlera, a na rękach i plecach swastyki oraz motto SS: Meine Ehre heißt Treue (Moim honorem jest wierność). „Dragon", 40-latek, szef bojówki Jagiellonii Białystok, ma na koncie wyroki za napaść z użyciem broni lub innego niebezpiecznego przedmiotu na funkcjonariusza publicznego, za podżeganie do napadu, w którym zginęła jedna osoba, i za zastraszanie świadków innego napadu. Uważany jest za zdemoralizowanego, pozbawionego empatii i wyjątkowo bezwzględnego człowieka.

W 2024 r. „Dragon" został skazany na sześć lat więzienia m.in. za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, udział w bójkach i propagowanie faszyzmu. Wyrok nie jest prawomocny, poza tym, nawet jeśli Tomasz P. zostanie skazany, Nawrocki zapewne nie pozwoli, aby gnił w więzieniu, i go ułaskawi. Panowie znają się bardzo dobrze, a według moich informacji na zamknięte spotkanie z Nawrockim na Jasnej Górze „Dragona" zaprosił kapelan prezydenta Jarosław Wąsowicz, który jest też kapelanem stadionowych bandytów i ma rozległe kontakty w środowiskach nazistowsko-kibolskich, starannie pielęgnowane przez niego od prawie 40 lat (pisaliśmy o tym w tekście „Kapelan prezydenta", „Przegląd" nr 33/2025).

„Dragon" nie byłby teraz sławny, gdyby nie wydarzenia sprzed kilkunastu lat. Wszystko zaczęło się w 2013 r., kiedy to nazistowscy bandyci w ramach walki o supremację białej rasy podpalili w Białymstoku mieszkanie polsko-hinduskiego małżeństwa. Było to już trzecie w stolicy Podlasia podpalenie mieszkania, którego lokatorzy nie odzwierciedlali rasistowskiego wzorca „prawdziwego" Polaka, czyli nie byli katolikami i mieli ciemniejszy kolor skóry. Wcześniej dochodziło też do pobić na tle narodowościowym, bezczeszczenia cmentarzy innowierców, malowania rasistowskich haseł i hitlerowskich symboli. W wyniku presji medialnej do Białegostoku przyjechał minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz, który pod adresem bandytów wygłosił słynne zdanie: „Idziemy po was!".

Powstała grupa specjalna złożona z prokuratorów, policjantów Centralnego Biura Śledczego KGP i funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W ramach szeroko zakrojonego śledztwa (do środowiska chuliganów przeniknęli policjanci pod przykryciem) zatrzymano ponad 100 bandytów – kiboli Jagiellonii Białystok, którym postawiono ponad 200 zarzutów, w tym działania w zorganizowanej grupie przestępczej, przestępstw na tle rozbójniczym, czerpania korzyści z nierządu, udziału w bójkach, posiadania broni palnej



Przegląd

Zamów prenumeratę PRZEGLĄDU

DARMOWA dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK!

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl i zobacz, jakie to proste!

Chcesz dowiedzieć się więcej? Zadzwoń! 22 635 84 10 wew. 118

eprasa.pl 96af58f7bc

i amunicji bez wymaganego zezwolenia, handlu narkotykami i sterydami anabolicznymi, handlu nielegalnym alkoholem, podrobionymi papierosami, a także przestępstw z nienawiści (propagowanie faszystowskiego ustroju państwa czy nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych i rasowych).

„Śledziu" przesiedział 14 lat w więzieniu za pobicia, udział w bójkach i nielegalne posiadanie broni. Na ramieniu ma tatuaż z Hitlerem, na rękach i plecach swastyki oraz motto SS.

Wśród zatrzymanych znaleźli się przywódcy gangu: kolega Karola Nawrockiego Tomasz P. „Dragon", Adam S. „Staszyn" i Sebastian Ś. „Buben". Ten ostatni usłyszał też zarzut wykorzystania seksualnego osoby poniżej 15. roku życia. „Buben" zarzekał się, że nie jest pedofilem, a 14-letnia dziewczynka, z którą odbył stosunek seksualny, wyglądała na dorosłą (sic!).

„Dragon" brał też udział w haniebnej akcji „oczyszczania" Białegostoku z elementów obcych kulturowo katolickiej Polsce. W lipcu 2019 r. uczestnicy pokojowego Marszu Równości zostali zaatakowani przez grupę ok. 300 kiboli Jagiellonii Białystok i innych drużyn, tzw. zwykłych mieszkańców i polityków PiS, którym przewodzili marszałek województwa Artur Kosicki i radny wojewódzki (teraz poseł) Sebastian Łukaszewicz. Bandyci rzucali kamieniami, kostką brukową, petardami, butelkami, woreczkami z moczem i zgniłymi jajkami nie tylko w uczestników marszu, ale wszystkich tych, którzy wyglądali podejrzanie, np. mieli dredy, pofarbowane włosy, kolczyki, kolorowe ubrania. Doszło do pogromu, kilkadziesiąt osób zostało pobitych. Aby zapewnić bezpieczeństwo w mieście, policja musiała ściągnąć posiłki z innych regionów Polski. Bandytów rozganiano m.in. przy użyciu helikoptera Straży Granicznej.

Prezydenckie miłosierdzie

Wiemy, jaki stosunek ma prezydent RP do tzw. lewackiej ideologii, czyli promowania tolerancji, praw człowieka, szacunku dla zwierząt i przyrody, przekazywania wiedzy o zdrowiu, w tym o świadomym macierzyństwie. W zeszłym roku podczas pielgrzymki stadionowych bandytów ówczesny kandydat na prezydenta RP przyrzekł na Jasnej Górze, że nie dopuści lewackiej ideologii do szkół, na co ferajna zaczęła krzyczeć w ekstazie: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!".

A czerwoną hołotą są wszyscy, którzy nie wyznają nacjonalistycznych, ksenofobicznych, rasistowskich, faszystowskich i nazistowskich poglądów. Obecnemu prezydentowi Polski, kraju, którego 6 mln obywateli zostało eksterminowanych tylko dlatego, że byli uważani za podludzi przez hitlerowców, jakoś nie przeszkadzają typki z tatuażami Adolfa Hitlera, posługujące się nazistowską symboliką. To przecież Nawrocki jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej wpuścił na Westerplatte członków nazistowskiego gangu motocyklowego Bad Company. Zbezcześcili oni objęte ochroną prawną historyczne miejsce, nagrywając klip z okazji rocznicy wybuchu II wojny światowej (sic!). Wykonawcą hymnu Bad Company był neonazistowski zespół Obłęd, którego członkowie byli zatrzymywani przez ABW i oskarżeni o promowanie nazizmu.

Przynależność do środowiska stadionowych chuliganów jest dożywotnia. Nie zrywa się znajomości z kimś tylko dlatego, że siedział w kryminale.

Szokujące jest nie tylko to, z kim prezydent RP się zadaje i obściskuje, ale też to, co mówił do przybyłych na Jasną Górę stadionowych bandytów: „Chcemy, aby Polska była normalna". Normalna, czyli bez lewackiej ideologii, której emanacją jest Unia Europejska. Nawrocki szczuł też na obcokrajowców mieszkających w Polsce, pokrzykując, że „chce, aby Polska była silna, aby Polska była bezpieczna, aby bezpieczne były nasze granice, aby Polska była państwem dobrobytu bez nielegalnych imigrantów". Tak jakby nielegalna imigracja była w Polsce problemem, a imigranci wpływali niekorzystnie na poziom życia i bezpieczeństwa Polaków. „Dlatego dzisiaj tutaj jesteśmy, aby pokazać, że w obliczu Boga i wartości chrześcijańskich, które mówią o miłości, o miłosierdziu, o otwarciu na drugiego człowieka, my wszyscy potrafimy być razem i mówić jednym głosem", deklarował, co zabrzmiało przerażająco.

Nawrockiemu wtórował jego kapelan, ks. Jarosław Wąsowicz. W wygłoszonym kazaniu duchowny wywodził: „Za szczególnie groźne postrzegamy uporczywe próby programowego laicyzowania młodego pokolenia Polaków, wychowywania ich w duchu obcych nam standardów moralnych, ograniczania lekcji religii i usuwania krzyży z sal szkolnych, dalej antypolskie redukcje programów nauczania, usuwanie pereł literatury, wybitnych dzieł autorów, którzy całe pokolenia młodych Polaków uczyli wrażliwości na sprawę narodową". Co prawda, Wąsowicz nie powiedział, kto stoi za tymi wszystkimi antypolskimi działaniami, ale nie musiał, bo zebrani doskonale wiedzieli, że chodzi o Donalda Tuska i jego „koalicję 13 grudnia". Wąsowicz nie wezwał zgromadzonych, aby usunęli nazistowskie tatuaże, zaprzestali przestępczego procederu: handlu narkotykami, czerpania korzyści z nierządu, stosowania przemocy, w tym używania broni palnej, noży i maczet. Wielebny nie zachęcał kiboli, aby podjęli trud uczciwej pracy i by prowadzili uczciwe życie w zgodzie z Pismem Świętym. Jak wiadomo, prawdziwi mężczyźni rasy polskiej są bowiem stworzeni do wyższych celów.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 96af58f7bc



Zainteresowany „odbiciem" Kuby jest amerykański sekretarz stanu Marco Rubio, jedno z czworga dzieci kubańskich emigrantów. Mar-a-Lago, 22 grudnia 2025 r.

Czy nadworny narcyz świata wysadzi nas w powietrze?

Piotr Kimla

Odbyłem interesującą rozmowę z jednym z najbystrzejszych obserwatorów spraw amerykańskich – prof. Przemysławem Grudzińskim. To nasz były ambasador w Waszyngtonie. W niniejszym tekście obok swoich własnych zamieszczam także kilka jego myśli.

Stany Zjednoczone są słabnącym mocarstwem. Wiemy to nie od dziś. Zajmowała się tym tematem cała plejada naukowych gwiazd z Paulem Kennedym, Immanuelem Wallersteinem, Andrew Bacevichem, Samuelem Huntingtonem, Giovannim Arrighim, Niallem Fergusonem i Emmanuelem Toddem na czele. W amerykańskim kapitalizmie drzemią jednak niewiadome siły i od wielu lat zastanawiałem się, jak ten kraj poradzi sobie z faktem schyłku swoich mocy sprawczych. Co zostanie wymyślone w amerykańskich enklawach naukowych, gospodarczych, militarnych i politycznych, które wciąż zachowują wiodącą pozycję? Nie spodziewałem się, że jedną z odpowiedzi na kryzys potęgi USA będzie odrzucenie liberalnego porządku światowego, zdeptanie prawa międzynarodowego i międzynarodowych instytucji oraz zwrot ku polityce nagiej siły i ekspansja terytorialna. Jeśli chodzi o tę ostatnią, to wydawało mi się, że czas „ruchomej granicy" Stanów Zjednoczonych zakończył się w XIX w. Wiele wskazuje, że się myliłem.

Naturalnie rozgrywająca się w przerażającym tempie ekspansywna polityka USA (ogłoszenie nowej strategii bezpieczeństwa 5 grudnia 2025 r., atak na Wenezuelę 3 stycznia 2026 r.) oznacza całkowity rozbrat z zasadniczymi założeniami ruchu MAGA, czyli skoncentrowaniem się na wewnętrznych problemach Ameryki, powstrzymaniem od interwencjonizmu, od mieszania się w sprawy innych państw. Donald Trump wygrał wybory, głosząc takie właśnie hasła. Realizuje politykę, która leży na przeciwnym biegunie jego wyborczych obietnic. Oszukał amerykańskich wyborców. Nie znaczy to, że wyborcy mu tego nie wybaczą. Wybaczą, jeśli tylko jeszcze mocniej zaciśnie pętlę amerykańskiego kolonializmu na szyjach krajów Ameryki Środkowej i Południowej, co oznacza, że z krajów tych popłynie jeszcze więcej bogactw (vide wenezuelska ropa) i ludzkich zasobów do USA.

Gdyby ktoś chciał zobaczyć na własne oczy, jak wygląda współczesny amerykański kolonializm, to proponuję podróż do Portoryko. Przybywających do bogatego portu (puerto rico) witają wszystkie wielkie sieci amerykańskie, oferujące usługi po znacznie wyższych cenach niż w Stanach Zjednoczonych. Wita rodzima ludność zarabiająca grosze i, co za tym idzie, niezdolna do skorzystania z tych usług i produktów. Pozostaje jej wyjazd do Ameryki i szukanie szczęścia na tej „ziemi obiecanej". Nie muszę tłumaczyć, jak to się odbija na demografii wyspy i jej perspektywach rozwojowych. Czy nie lepiej już zostać 51. amerykańskim stanem? Przeprowadzane co jakiś czas referenda w tej sprawie faktycznie pokazują, że większość biorących w nich udział popiera taką opcję. Referenda nie są jednak wiążące z uwagi na zbyt niską frekwencję.

Wyborcy prezydenta Trumpa wybaczą mu zdradę ideałów MAGA tym chętniej, jeśli uda mu się powiększyć terytorium USA. Przykładowo o Grenlandię z jej bogactwami naturalnymi. Wiele wskazuje na to, że Dania nie

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 96af58f7bc

będzie w stanie obronić Grenlandii przed swoim amerykańskim sojusznikiem, a Europa – wesprzeć Danii w sporze z sojusznikiem zza oceanu. Zaczynają się więc realizować groźby z początku obecnej kadencji prezydenta Trumpa wobec innych państw (najpierw, jeśli dobrze pamiętam, pod adresem Kanady), które traktowaliśmy jako ponure żarty.

Prezydent Trump ze swoimi oszukańczymi hasłami wyborczymi nie jest pierwszy. Również prezydent Bush junior szedł po zwycięstwo w duchu umiarkowania i nieinterweniowania. Skończyło się, jak wszyscy pamiętamy, katastrofalną interwencją w Iraku. Ale prezydent Bush młodszy miał przynajmniej poważny pretekst w postaci zniszczenia World Trade Center. Jaki pretekst miał prezydent Trump w odniesieniu do Wenezueli? Sfałszowanie przez Nicolása Madura wyborów w Wenezueli, jego współpraca z kartelami narkotykowymi? To miałyby być powody, dla których warto zdeptać prawo międzynarodowe i bezpowrotnie pogrzebać liberalny porządek światowy? Jeszcze Bush junior szukał jakiejś legitymizacji dla swoich działań na forum ONZ, choć jej nie uzyskał. Prezydenta Trumpa to nie obchodzi.

Dlaczego łamanie prawa jest tak groźne, szczególnie dla państw małych i średnich, pisałem niedawno na łamach „Przeglądu" w artykule „Koncert mocarstw" i nie będę się powtarzał. Polityka obecnego prezydenta USA jest jednak skrajnie niebezpieczna nie tylko z uwagi na odesłanie w niebyt prawa międzynarodowego i liberalnej teorii stosunków międzynarodowych. Także dlatego, że gdy raz wejdzie się na ścieżkę ekspansji, niezwykle trudno z niej zawrócić, ponieważ, jak uczy niezrównany Tukidydes: „Zostać tyranem jest rzeczą niesprawiedliwą. Jednak przestać nim być jest na pewno rzeczą niebezpieczną".

Naturalnie prezydent Trump rozpoczął od łatwego zwycięstwa. Generalnie lubi i kreuje sytuacje, gdy sukces ma w kieszeni. Może jednak powinien zamyślić się nad przysłowiem Chińczyków – swoich głównych rywali – którzy powiadają, że „kto znalazł się na tygrysie, nie może po prostu z niego zsiąść". Określony sukces odniesiony w wyniku projekcji nagiej siły, upojenie się nim nie będą trwały długo ani w głowie obecnego prezydenta, ani w głowach Amerykanów. Oznacza to, że potrzebny będzie kolejny, i to na większą skalę. Tym samym staniemy się być może świadkami najbardziej ekspansjonistycznej prezydentury amerykańskiej po II wojnie światowej.

Prof. Grudziński twierdzi, że celem obecnej akcji USA nie jest wcale Wenezuela. Celem jest Kuba. Zainteresowany „odbiciem" Kuby jest amerykański sekretarz stanu Marco Rubio, jedno z czworga dzieci kubańskich emigrantów. Jest to godne poważnego zastanowienia, ponieważ w polityce bardzo często dużą rolę odgrywa czynnik osobisty, o czym analitycy nieraz zapominają. Zwolennikami Rubia i, co oczywiste, Trumpa są wpływowi, konserwatywnie nastawieni kubańscy imigranci, mający swoją „siedzibę" w Miami. Kuba jednak jest nie tylko irytującą rysą na doktrynie Monroego i na amerykańskiej dominacji nad zachodnią hemisferą. Jest też symbolem oporu wobec amerykańskiego kolonializmu. Nie jest w związku z tym takie pewne, że inne potęgi światowe przejdą łatwo do porządku dziennego nad amerykańską próbą podporządkowania Kuby. Już raz w historii świat z powodu tej pięknej wyspy z równie piękną Hawaną otarł się o nuklearny Armagedon. Historia może się powtórzyć nie jako farsa, ale jako tragedia.

Kiedy patrzę na upajanie się wenezuelskim sukcesem przez prezydenta Trumpa i jego administrację, przychodzą mi do głowy słowa Hermanna Rauschninga wypowiedziane odnośnie do polityki Adolfa Hitlera u schyłku lat 30. ubiegłego wieku. „Mogliśmy otrzymać wszystko, czego chcieliśmy, o ile działalibyśmy z umiarkowaniem, które w całych dziejach było znamieniem siły i wielkości. Możliwe, że aktami gwałtu – z uwagi na element zaskoczenia – osiągniemy szereg sukcesów, lecz w końcu doprowadzimy do nieodwracalnej katastrofy". Rauschning trafnie przewidywał, że niemiecka polityka siły „ułatwi ponowną mobilizację duchową przeciwko nam całego świata". Gdybym miał cokolwiek do powiedzenia w amerykańskiej polityce, słowa Rauschninga wziąłbym sobie do serca.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego



eprasa.pl 96af58f7bc

ZAŚLEPIENIE

UNIA NIE NISZCZY NASZEGO ROLNICTWA, ALE DOPŁACA DO NIEGO GRUBE MILIONY

Stefan Niesiołowski

W wielu miejscach Polski odbyły się niezbyt liczne demonstracje rolników oraz działaczy związanych z PiS i obiema Konfami, a przeciwko podpisanej przez Unię Europejską umowie z Mercosurem, przede wszystkim zaś przeciwko rządowi Donalda Tuska, koalicji rządowej i Unii. Demonstrujący sympatyzowali z nacjonalistami, Batyrem i tym wszystkim, co wrogie postępowi, tolerancji, demokracji i sojuszowi z Zachodem. Za to nie było żadnych gestów wrogości wobec Putina i zagrożenia, jakie rosyjska agresja na Ukrainę stanowi dla Polski. Demonstranci machający flagami i antyunijnymi transparentami, którymi obwiesili traktory warte czasem po milion złotych, przyjechali protestować przeciwko nędzy, upadkowi rolnictwa i udręczeniu przez okrutny reżim Donalda Tuska. To od dawna ci sami ludzie, w większości związani z obozem nacjonalizmu, a także chłopską Solidarnością, która stała się taką samą zdegenerowaną przybudówką do zadań specjalnych jak Solidarność Piotra Dudy.

Hasła też te same. Precz z Unią, która jest oczywiście niemiecka i rządzona z Berlina, więc słusznie budzi gniew polskich narodowych patriotów i ludzi głębokiej wiary, zwłaszcza wyznawców głoszącego ubóstwo i obronę Polski przed Zachodem Rydzyka, sług Maryi i rycerzy świętego JPII. Skoro Unia jest niemiecka, a Tusk to ktoś w rodzaju gauleitera na Polskę, tylko kwestią czasu jest, kiedy słusznie zostanie za okrutne represje i doprowadzenie narodu do nędzy skazany na dożywocie (jak trafnie wezwał jeden z pisowskich mężów stanu i kryształowo uczciwych polityków, pan Romanowski).

Ta demonstracja to przejaw nie tylko głupoty, co zdarza się na wielu demonstracjach, ale i niepojętego zaślepienia. Rolnictwo stanowiące ok. 3% PKB jest w Polsce nowoczesne przede wszystkim dzięki unijnym dopłatom, a grupą, która najbardziej na wejściu Polski do Unii skorzystała, są chłopi.

To rzecz niemoralna, że Kościół, instytucja, która powinna bronić prawdy także w życiu publicznym, jest wrogi wobec Unii.

Sama umowa Unia-Mercosur została podpisana mimo zapewnień Batyra, że ma jako nacjonalista i gorący patriota doskonałe stosunki z premier Włoch Giorgią Meloni i, jak sugerował, „załatwił" włoski sprzeciw wobec tej haniebnej, antypolskiej i antywłoskiej, szerzej – antyludzkiej, umowy.

Jak widać, dał się zwieść. Włochy były za Mercosurem. Wieś jest wroga wobec Unii i jakiejkolwiek demokratycznej formacji politycznej (ufa ludziom wskazanym przez Kościół, przede wszystkim nacjonalistom, antyszczepionkowcom i Radiu Maryja). Moim zdaniem głównym źródłem tej wrogości jest ciągle cieszący się na prowincji i w wielu wioskach prestiżem i zaufaniem Kościół, będący przechowalnią nacjonalizmu. I teraz trzeba biednym prawdziwym chłopom patriotom i rycerzom wiary dalej o Polskę walczyć.

Nie bardzo wiadomo, co nasi dzielni, niezłomni współcześni rycerze mają zrobić. Jak przekonać niemiecką Unię i jak obalić znienawidzonego Tuska oraz wyprowadzić Polskę z okrutnego Mercosuru? Chyba nadszedł czas, aby postawić kosy na sztorc, co obiecują od lat działacze wiejskiej Solidarności, i wzorem Bartosza Głowackiego wezwać naród do powstania i wreszcie oddać Polskę jej najlepszym synom i córkom z PiS, obydwu Konf i jeszcze Kamratom, Bąkiewiczowi oraz ks. Rydzykowi, także Międlarowi i może przyjacielowi Batyra Wielkiemu Bu. Inaczej Polska przepadnie.

Jest jeszcze jeden problem ekonomiczny. Z całym szacunkiem dla pracy rolników i produkowanej w Polsce żywności trzeba też pamiętać, że Unia nie jest organizacją pasożytującą na Polsce i niszczącą nasze rolnictwo, tylko dopłacającą do niego grube miliony i mocno zaangażowaną w to, że rolnictwo europejskie i polskie jest tak silne, dobrze rozwinięte i nowoczesne. To rzecz niemoralna, że Kościół, instytucja, która powinna bronić prawdy także w życiu publicznym i ekonomicznym, jest wrogi albo co najwyżej zachowuje daleko idącą rezerwę wobec Unii. Nie ma usprawiedliwienia, bo działanie przeciwko Unii jest działaniem na rzecz Putina, wrogim wobec Polski, naszej wolności i demokracji, której podstawową gwarancją i wsparciem jest członkostwo Polski w Unii Europejskiej.

eprasa.pl 96af58f7bc

W kraju, gdzie trwa wojna Batyra z rządem, a akurat w dniu spotkania z premierem Batyr uznał za stosowne, bezczelnie arogancko i posługując się kłamstwem, zawetować kilka ustaw, ma miejsce wojna w PiS pomiędzy różnymi klikami i grupami interesów, która bardzo interesuje komentatorów. Mnie interesuje mniej, ponieważ istota polityki PiS jest od lat niezmienna. Polega ona na dorwaniu się do władzy głównie po to, aby dokraść to, czego nie zdążyli albo nie potrafili ukraść przez osiem lat swoich rządów. „Doniesienia o konfliktach w PiS: (...) potwory zaczynają zjadać się nawzajem. Teraz czas na konflikt PiS z Konfederacją i faszystami Brauna. Może to budzić nadzieję, ale jaka obrzydliwość. Braun i umizgi PiS do niego są politycznym złotem dla Tuska, ale strychniną na naszą duszę. Braun obnosi się z religią. A Kościół milczy, nie przeszkadza mu, że Braun, faszyzując, powołuje się na religię. Kolejny dowód na to, jak płytki jest polski katolicyzm" (Tomasz Jastrun, „Ściek", „Przegląd" nr 1/2026).

Dużo ciekawsze rzeczy dzieją się w polityce międzynarodowej, głównie amerykańskiej, gdzie coraz bardziej daje się odczuć niepojęte w swojej dziwaczności – nie umiem tego nazwać inaczej – szaleństwo Trumpa. To, co wyprawia w obszarze polityki zagranicznej, zwłaszcza w kwestii Grenlandii, trudno bowiem określić inaczej niż jako szaleństwo. Ta polityka coraz bardziej zaczyna przypominać politykę Hitlera, który też uznał, że III Rzesza potrzebuje Czech, a najlepiej całej Czechosłowacji. Dlatego wezwał do Berlina prezydenta Czech Emila Háchę i wymusił na nim oddanie kraju pod „opiekę" kanclerza Niemiec. Mam nadzieję, że ani pani premier, ani król Danii Fryderyk X nie dostanie „zaproszenia" do Waszyngtonu w tym samym celu.

Istota polityki PiS jest niezmienna i polega na dorwaniu się do władzy, aby dokraść to, czego nie zdążyli lub nie potrafili ukraść przez osiem lat rządów.

Wyżej przedstawione podobieństwo dotyczy jednak tego samego mechanizmu psychologicznego, który moim zdaniem cechuje Trumpa. Naiwny i błędny jest pogląd, że ma on wokół siebie ludzi, którzy w pewnym momencie powiedzą mu: weź przestań, nie wygłupiaj się, to niebezpieczne i bardzo szkodliwe. I Trump się wycofa. Führer też miał ludzi, którzy przestrzegali go przed rozpętaniem wojny, a potem przed atakiem na Rosję, ale ich nie słuchał, odsuwał na drugi plan i dymisjonował. To groźna cecha dyktatorów, a Trump to klasyczny dyktator. Pytanie, czy amerykańska demokracja i cały system polityczny w Ameryce są w stanie go powstrzymać i odsunąć od piastowania stanowiska, na którym jest groźny dla świata.

Stefan Niesiołowski jest profesorem biologii, politykiem, byłym posłem na Sejm, w latach 2005-2007 senatorem, w latach 2007-2011 wicemarszałkiem Sejmu. Był więźniem politycznym w PRL

LIST

Ja też tak to widziałem



Jestem po lekturze książki Andrzeja Karpińskiego „Jak ja to widziałem" i w pełni zgadzam się z sugestiami Pana Profesora dotyczącymi negatywnej (może nie w całości) oceny okresu transformacji po 1989 r. Należę do pokolenia 60+ i wychowałem się oraz wykształciłem w Polsce Ludowej, z czego jestem podobnie jak Pan Profesor dumny. Po ukończeniu studiów pracowałem dla dobra kraju i naszej gospodarki w dużym kombinacie energetycznym. Fakt, że doczekaliśmy czasów, gdy liczy się głównie kasa, nie jest wcale pozytywny, wręcz przeciwnie – sprawdza się powiedzenie: „Pieniądze szczęścia nie dają". Znam wiele osób, w tym z bliskiego otoczenia, które w pogoni za kasą i karierą zatraciły rozum. Wiele z nich niestety straciło albo zdrowie, albo rodziny, a w niektórych przypadkach nawet życie. A ci, którzy w pogoni za pieniędzmi jeszcze funkcjonują, czy są szczęśliwi? Wątpię. Najważniejszym dobrem, przynajmniej dla mnie, jest zdrowa i szczęśliwa rodzina. Czyż nie jest pięknie pobawić się z zadowolonymi i szczęśliwymi wnukami? Wielu bogatych zapewne oddałoby duże pieniądze, aby mieć szczęśliwą rodzinę.

Myślę, że Pan Profesor powinien czuć się spełniony. A życie zawodowe jest tylko częścią naszej ziemskiej egzystencji.

Okres transformacji również przeżyłem boleśnie, gdy na naszych oczach restrukturyzowano (czytaj: likwidowano) kolejne zakłady przemysłowe. Niestety, po 1989 r. mamy rządy zarządzające Polską, a nie działające w interesie Polski, w którym to przypadku planowa polityka gospodarcza powinna być jednym z nadrzędnych celów. Weźmy pod uwagę np. potęgę gospodarczą – Chiny, gdzie polityka planowa jest sukcesywnie i konsekwentnie realizowana, niezależnie od tego, kto jest u władzy.

Myślę, że historia pozytywnie oceni zdobycze PRL, ale niestety nie nastąpi to zapewne szybko. Panie Profesorze, może Pan chodzić z podniesioną głową, czego nie da się powiedzieć o „elitach" politycznych po roku 1989.

Witold Misztela, stały czytelnik

eprasa.pl 96af58f7bc

O potrzebie debaty

Robert Traba

Lawina ruszyła w połowie listopada, gdy Dom Polsko-Niemiecki w Berlinie na inaugurację działalności postanowił zaprezentować książkę dr. Grzegorza Rossolińskiego-Liebe „Polnische Bürgermeister und der Holocaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration" (Polscy burmistrzowie i Holokaust. Okupacja, administracja i kolaboracja). Po interwencji polskiej ambasady wycofano się z tego pomysłu. Później było tylko gorzej. Z jednej strony pojawiły się oskarżenia o polską cenzurę polityczną, z drugiej o niemieckie szkalowanie społeczeństwa polskiego za współudział w Holokauście. Na koniec powstał apel: „List otwarty dotyczący stygmatyzacji polskich ofiar niemieckiego nazistowskiego reżimu i bezczeszczenia pamięci żydowskich ofiar Holokaustu", przygotowany przez warszawską Fundację Kulskich i zamieszczony na oficjalnej stronie Polskiej Akademii Nauk. Ja sam stałem się obiektem szantażu moralnego. Skoro jestem historykiem w PAN, to taki protest powinienem podpisać, a jeżeli nie, to wytłumaczyć się publicznie ze swojej decyzji. Absurd sięgnął zenitu.

Przez półtora roku książka Grzegorza Rossolińskiego-Liebe o polskich burmistrzach w Generalnym Gubernatorstwie nie doczekała się recenzji! IPN kazał ją przetłumaczyć, bo nie ma kompetentnych pracowników znających niemiecki. Powstała najpierw ekspertyza, a potem bardzo krytyczna recenzja dr. Damiana Sitkiewicza. Na koniec część środowiska (również dobrzy historycy) doznała wzmożenia obrony polskości przed jedną książką, która rzekomo narusza prawdę historyczną i szkaluje godność Polaków. Protest sygnowało ponad 150 osób. Scenariusz działania przypominał historię „Dalej jest noc" (2018) pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, kiedy IPN powołał niemalże grupę śledczą, by udowodnić szkalowanie narodu polskiego.

Nie wykluczam, że Rossoliński-Liebe się myli, popełnia błędy, może jest tendencyjny, ba, zbyt szablonowo traktuje kolaborację, nie odróżniając jej np. od funkcjonalnej współpracy (Dieter Pohl) na terenach okupowanych. Tylko gdzie jest naukowa riposta? Publiczna debata? Zwyczajna debata naukowców, którzy znają temat? Dlaczego, skoro temat jest ważny, tak długo pod względem badawczym leżał odłogiem? Jak to się dzieje, że dr Sitkiewicz, historyk z IPN – sądząc po publikacjach – z niewielkim doświadczeniem badawczym (wcześniej Instytut Pileckiego, doktorat na Uniwersytecie Przyrodniczo-Humanistycznym w Siedlcach w grudniu 2024 r.), staje się aż takim autorytetem, że wyznacza standard historiografii w odniesieniu do badań nad Holokaustem i niemiecką okupacją? Naprawdę nikt inny tym tematem się nie zajmuje?

Gdy przed laty Grzegorz Rossoliński-Liebe napisał krytyczną biografię Stepana Bandery, większość tzw. środowiska historycznego cieszyła się, że ktoś dał odpór „ukraińskiemu nacjonalizmowi". Fragmenty książki z lubością cytowano w prawicowych portalach. Przy okazji wytykano polityczne traktowanie historii w Ukrainie (i słusznie), bo Rossoliński-Liebe stał się tam persona non grata.

Czy chcemy uprawiać historię za pomocą petycji?

A teraz co? Czy chcemy uprawiać historię za pomocą petycji? Kto z sygnatariuszy petycji przeciw książce zna niemiecki? Kto przeczytał liczącą ponad 1100 stron (!) książkę i z pełną odpowiedzialnością może powiedzieć, że to antypolski paszkwil? Na jakiej naukowej podstawie PAN umieszcza na swojej stronie list otwarty Fundacji Kulskich? Czy zasięgnięto opinii kompetentnych badaczy, np. z Instytutu Historii PAN, Instytutu Filozofii i Socjologii PAN lub Instytutu Studiów Politycznych PAN? PAN nie jest monolitem. Składa się z kilkudziesięciu samodzielnych instytutów. Czyżbyśmy ze standardów naukowej krytyki przechodzili na konkurencję emocji i petycji? Czy mam się wytłumaczyć, jak chcą niektórzy, dlaczego nie podpisałem apelu? Bo skoro jestem historykiem, to mam moralny obowiązek to zrobić. Otóż nie.

W 2016 r. wspólnie z prof. Anną Wolff-Powęską i dr Katarzyną Woniak wydaliśmy książkę „»Fikcyjna rzeczywistość«. Codzienność, światy przeżywane i pamięć niemieckiej okupacji w Polsce" (Warszawa-Berlin, ISP PAN i CBH PAN). Była ona pokłosiem sympozjum na XIX Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Szczecinie w 2014 r. Mój artykuł wprowadzający „O potrzebie nowych badań nad niemiecką okupacją Polski w czasie II wojny światowej" ukazał się także w czasopismach po polsku i niemiecku. Postulowaliśmy większe pochylenie się nad badaniami nie tyle działań wojskowych i partyzanckich, ile postaw społeczeństwa polskiego, które tak trafnie wyraził Kazimierz Wyka tytułem swojej książki „Życie na niby" i które prekursorsko w latach 70. badali tacy historycy jak Czesław Madajczyk, Czesław Łuczak czy Tomasz Szarota.

Po dekadzie nasze postulaty pozostają aktualne. W 2014 r. dorobek IPN w dziedzinie badań nad codziennością okupacji był niewielki. Potem był wielki inaczej, bo zamiast badaniami instytut bardziej się zajmował pseudoprawnymi ustaleniami mającymi niby chronić Polaków przed szkalowaniem. Wsparcie Instytutu Pileckiego niewiele pomogło. Postulowaliśmy przed 10 laty, by w Polsce powstał Międzynarodowy Ośrodek Badań nad Okupacjami. Żaden demokratyczny kraj w Europie nie ma tak dramatycznych doświadczeń wojennych jak Polska. Być może mamy też jedną z najbogatszych baz źródłowych. Gdyby powstał taki ośrodek, z pewnością mielibyśmy już niezły krytyczny dorobek badawczy. Powstałby on na podstawie nie „historii życzeniowej" czy – jak pisał prof. Krzysztof Pomian – „historii urzędniczej", lecz rzetelnych badań. Na pewno byłyby one lepsze niż apele i petycje. Postulat jest ciągle aktualny!

Robert Traba jest profesorem w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie, w latach 2006–2018 był dyrektorem Centrum Badań Historycznych w Berlinie

eprasa.pl 96af58f7bc

Gdy ropa staje się czymś więcej niż tylko ropą

Amerykańska operacja specjalna w Wenezueli zmieniła reguły gry na światowym rynku

Marek Czarkowski

Operacja „Absolute Resolve" wstrząsnęła polityką międzynarodową na początku 2026 r. W jej wyniku siły specjalne USA schwytały w Caracas prezydenta Wenezueli Nicolása Madura z żoną i przewiozły do Nowego Jorku, gdzie obydwoje staną przed sądem federalnym pod zarzutem narkoterroryzmu.

Waszyngton jednak nie ukrywał swoich prawdziwych motywów. Nie chodziło o walkę z kartelami narkotykowymi ani o przywrócenie demokracji. Prezydent Trump oświadczył, że celem USA było przejęcie kontroli nad wenezuelskimi zasobami ropy. „To największe rezerwy na świecie, a one zostały nam skradzione – argumentował. – Wielkie amerykańskie koncerny naftowe wydadzą miliardy na naprawienie tego, a potem dostaną swoje pieniądze z powrotem – od nas albo z przychodów". Była to brutalna demonstracja amerykańskiej potęgi militarnej – przyznanie, że w XXI w. w polityce międzynarodowej obowiązuje zasada, że „silniejszy ma zawsze rację".

Wenezuela posiada największe na świecie udokumentowane złoża ropy naftowej, sięgające ponad 303 mld baryłek. To więcej niż w Arabii Saudyjskiej, której zasoby są szacowane na 267 mld baryłek. Rozciągający się na południu kraju pas naftowy Orinoko to geologiczny skarb. Poza ropą naftową Wenezuela ma duże złoża gazu ziemnego, złota, węgla kamiennego, boksytów oraz metali ziem rzadkich. Mimo tych zasobów wydobycie ropy od dłuższego czasu pozostawało na poziomie od 800 tys. do 1 mln baryłek dziennie. To mniej niż 1% światowej produkcji. A jeszcze w latach 90. XX w. i na początku XXI w. Wenezuela wydobywała ponad 3 mln baryłek dziennie.



Prezydent Hugo Chávez i ówczesny następca tronu Arabii Saudyjskiej Abd Allah ibn Abd al-Aziz Al Su'ud podczas szczytu szefów państw i rządów OPEC. Caracas, 28 września 2000 r.

Jak do tego doszło?

Przyczyną upadku była kombinacja nacjonalizacji, korupcji, sankcji i niekompetencji polityków rządzących krajem. W 2007 r. prezydent Hugo Chávez nakazał przekształcenie zagranicznych spółek naftowych w joint ventures, w których państwowe przedsiębiorstwo naftowo-gazowe Petróleos de Venezuela S.A. (PDVSA) musiało mieć minimum 60% udziałów. Amerykańskie koncerny ExxonMobil i ConocoPhillips nie zgodziły się na ten warunek i opuściły kraj. Natomiast Chevron go zaakceptował i po uzyskaniu specjalnej zgody Waszyngtonu został. Masowe zwolnienia wykwalifikowanych inżynierów i pracowników, wieloletnie niedoinwestowanie, korupcja drenująca finanse PDVSA oraz amerykańskie sankcje, które odcięły kraj od kapitału i technologii, dopełniły reszty. W efekcie rurociągi i rafinerie ulegały coraz częstszym awariom, a terminale naftowe w wenezuelskich portach tylko w części wykorzystywały swoje moce. Państwo, które mogłoby stać się Arabią Saudyjską Ameryki Łacińskiej, stoczyło się na dno.

W wywiadzie dla NBC News Donald Trump zapewnił, że amerykańskie koncerny odbudują wenezuelski sektor naftowy w „mniej niż 18 miesięcy". We wpisie w mediach społecznościowych ogłosił zaś, że „władze tymczasowe" w Wenezueli „będą przekazywać między 30 mln a 50 mln baryłek wysokiej jakości

eprasa.pl 96af58f7bc



Rafael Ramírez (z lewej), minister ds. ropy naftowej i górnictwa Wenezueli, prezes PDVSA, z Alim Moshirim, szefem Chevron Africa and Latin America, podczas podpisania umowy między koncernami. Caracas, 27 maja 2013 r.

ropy objętej sankcjami do USA". Zaznaczył, że ma ona zostać sprzedana „po cenie rynkowej", a wpływy z jej sprzedaży mają być kontrolowane przez rząd USA – czyli w praktyce przez jego administrację. Szacunki wskazują, że przy cenie 56 dol. za baryłkę przychód wyniósłby od 1,7 mld do 2,8 mld dol. Nie jest jasne, w jakich proporcjach kwota ta zostałaby podzielona między Wenezuelę a USA. I czy sprawująca dziś władzę w Caracas wiceprezydent Delcy Rodríguez oraz wspierający ją członkowie administracji, na czele której do niedawna stał Nicolás Maduro, zgodzą się na ten i inne warunki stawiane im przez Jankesów.

Najwięksi gracze

Wielu spodziewało się, że po akcji w Caracas ceny ropy na światowych giełdach wystrzelą w górę. Wszak interwencja militarna, geopolityczny chaos i ryzyko zakłócenia dostaw tego surowca to gotowy przepis na skok cen. Stało się odwrotnie – ropa potaniała. Cena baryłki ropy Brent spadła o 0,4%, do 60,54 dol., a WTI (West Texas Intermediate – amerykańskiej lżejszej, bardziej słodkiej ropy naftowej) – o 0,5%, do 57,04 dol.

Stało się tak dlatego, że w skali globalnej dostawy ropy z Wenezueli nie mają znaczenia. Nawet gdyby całkowicie ustały – do czego nie dojdzie, gdyż koncern Chevron nadal będzie ją wydobywał – na świecie produkuje się dziś więcej ropy, niż wynosi zapotrzebowanie na nią.

Międzynarodowa Agencja Energetyczna (International Energy Agency, IEA) szacuje, że w tym roku podaż przewyższy popyt o prawie 4 mln baryłek dziennie. Innymi słowy, świat tonie w ropie.

Największym koncernem wydobywczym jest państwowa spółka Arabii Saudyjskiej – Saudi Aramco, która w 2025 r. pompowała średnio ponad 11,5 mln baryłek ropy dziennie. Zysk netto firmy wyniósł zawrotne 157,5 mld dol., co uczyniło ją najbardziej dochodowym koncernem naftowym na świecie – niemal czterokrotnie bardziej rentownym niż amerykański ExxonMobil.

Co sprawia, że Aramco jest tak potężne? Geografia i geologia. Arabia Saudyjska dysponuje ogromnymi rezerwami lekkiej, łatwej w wydobyciu ropy. Koszt pozyskania jednej baryłki to według prezesa Saudi Aramco Amina H. Nassera zaledwie 2 dol.! Poza tym z Półwyspu Arabskiego jest bliżej do Europy i Chin niż ze Stanów Zjednoczonych. Dla porównania – koszt wydobycia baryłki ropy przez zachodnie koncerny to 15-30 dol. Ta przewaga daje Saudyjczykom możliwość przetrwania najgłębszych załamań cen i dyktowania warunków na rynku.

Drugim co do wielkości koncernem na świecie jest amerykański ExxonMobil. W ubiegłym roku produkował dziennie 4,8-5 mln baryłek. Posiada ogromne złoża w tzw. Basenie Permskim w Teksasie oraz w wodach Oceanu Atlantyckiego w pobliżu Gujany, gdzie koszty produkcji są wyjątkowo niskie, a marże – bardzo wysokie. Przychody ExxonMobil w 2025 r. wyniosły niemal 400 mld dol., a zysk – ponad 72 mld.

Tuż za nim lokuje się Chevron, który po przejęciu w 2025 r. za 55 mld dol. spółki Hess Corporation wzmocnił swoją pozycję w Gujanie i zwiększył produkcję do 4,1 mln baryłek dziennie. Chevron – przypomnijmy – jest jedynym amerykańskim koncernem, który przetrwał w Wenezueli po nacjonalizacji z 2007 r. i, jak dziś przypuszcza wielu amerykańskich dziennikarzy, w przyszłości może się stać kluczowym graczem w tym kraju.

Amerykański bum naftowy to rezultat tzw. rewolucji łupkowej – zastosowania technologii szczelinowania hydraulicznego (frackingu), która pozwoliła wydobywać ropę i gaz z trudno dostępnych formacji skalnych. Dzięki temu USA pod koniec 2023 r. wydobywały rekordowe 13,3 mln baryłek dziennie, stając się największym producentem ropy na świecie i uniezależniając się od importu z Bliskiego Wschodu.

Koncerny europejskie i naftowe kolosy

Sytuacja europejskich koncernów naftowych jest inna. Brytyjsko-holenderski Shell, brytyjski BP (dawniej British Petroleum) i francuski TotalEnergies to wciąż potężni gracze, choć ich strategie coraz bardziej różnią się od amerykańskich. Shell w 2025 r. wypracował 36,9 mld dol. zysku netto przy przychodach 345 mld, koncentrując się

FOT AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 96af58f7bc

zwłaszcza na lukratywnym rynku skroplonego gazu ziemnego (LNG). BP i TotalEnergies wykazywały, odpowiednio, ok. 9 mld dol. zysku i 23,9 mld. Różnica między koncernami europejskimi i amerykańskimi polega nie tylko na liczbach. Shell, BP i TotalEnergies są pod silną presją regulatorów Unii Europejskiej i inwestorów zwracających uwagę na kwestie klimatyczne (tzw. kryteria ESG), coraz aktywniej więc inwestują w odnawialne źródła energii, elektromobilność i wodór.

Tymczasem Amerykanie są sceptyczni. ExxonMobil i Chevron trzymają się sprawdzonej strategii: maksymalizacja zysków z ropy i gazu, inwestycje w technologie wychwytywania dwutlenku węgla, lecz bez radykalnego zwrotu w stronę odnawialnych źródeł energii (OZE).

Na świecie liczą się też trzy państwowe kolosy: rosyjski Rosnieft, który mimo zachodnich sankcji nałożonych po inwazji na Ukrainę nadal produkuje niemal 5 mln baryłek dziennie, głównie na potrzeby Chin i Indii; brazylijski Petrobras, który w trzecim kwartale 2025 r. osiągnął rekordowe wydobycie 3,14 mln baryłek dziennie dzięki rewelacyjnym wynikom z morskich złóż, i chiński koncern PetroChina, stabilnie utrzymujący wydobycie na poziomie ok. 2,6 mln baryłek.

Koncerny te nie działają tylko według logiki wolnego rynku. Ich celem jest zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego państwom oraz realizacja strategicznych celów rządów. To bardziej instrumenty władzy niż przedsiębiorstwa. Choć i amerykańskie koncerny pozostają w ścisłym kontakcie z waszyngtońską administracją.

Optymizm Trumpa a rzeczywistość

Amerykańska operacja w Wenezueli to jeden z elementów układanki. Nadchodzące lata przyniosą zderzenie potężnych sił: transformacji energetycznej, rosnącego popytu w krajach rozwijających się oraz nadpodaży ropy i napięć geopolitycznych. Międzynarodowa Agencja Energetyczna prognozuje, że globalny popyt na ropę w 2029 r. osiągnie szczyt na poziomie ok. 105,6 mln baryłek dziennie, po czym zacznie spadać. Jakie będą tego główne czynniki? Elektryfikacja transportu (samochody elektryczne mają do 2030 r. zmniejszyć zapotrzebowanie o 5,4 mln baryłek dziennie), rozwój kolei, praca zdalna, wzrost efektywności energetycznej.

Kraje OPEC mają inną wizję. Sądzą, że popyt wzrośnie do 113,3 mln baryłek dziennie w 2030 r. i będzie rósł aż do 2050 r., sięgając 123 mln. Kto ma rację?

W bogatych krajach popyt na ropę spada – ludzie jeżdżą samochodami elektrycznymi, pracują z domu, a politycy gotowi są wprowadzić zakazy sprzedaży aut spalinowych. Lecz w Chinach, Indiach, Afryce i Ameryce Łacińskiej miliardy ludzi aspirują do zachodniego standardu życia, a to oznacza więcej samochodów, samolotów i plastiku.

Ropa naftowa przestaje być tylko paliwem – coraz bardziej staje się surowcem przemysłowym. Popyt na tworzywa sztuczne, włókna syntetyczne i chemikalia rośnie lawinowo. Eksperci banku Goldman Sachs prognozują, że do 2030 r. sektor petrochemiczny będzie zużywał 18,4 mln baryłek ropy dziennie. Benzyna może zniknąć z naszych baków, lecz plastik z naszego życia – raczej nie.

Analitycy spodziewają się, że w latach 2027-2030 baryłka ropy Brent będzie kosztowała 55-70 dol. To mniej niż dziś i znacznie mniej niż w 2022 r., gdy ceny przekraczały 100 dol. Przy takich cenach wiele projektów stanie się nieopłacalnych. Dotyczy to zwłaszcza Wenezueli. Nie ma szans, by spełniła się zapowiedź Donalda Trumpa, że amerykańskie koncerny odbudują tamtejszy sektor naftowy w „mniej niż 18 miesięcy".

9 stycznia br. w Białym Domu odbyło się spotkanie prezydenta Trumpa z czołowymi menedżerami amerykańskich koncernów naftowych. Prezes ExxonMobil Darren Woods powiedział: „Jeśli spojrzymy na obecne struktury prawne i komercyjne w Wenezueli, to kraj ten jest dziś nieinwestowalny". Mike Sommers z American Petroleum Institute w wywiadzie dla Fox News oświadczył: „Będą musiały zostać ustalone pewne warunki, zanim jakiekolwiek znaczące inwestycje w Wenezueli będą mogły mieć miejsce. Przede wszystkim muszą być zapewnione rządy prawa".

Ostrożni są też analitycy Goldman Sachs, którzy przewidują, że w 2026 r. produkcja Wenezueli pozostanie na poziomie 900 tys. baryłek dziennie. Mająca siedzibę w Brukseli firma analityczna Kpler szacuje, że w ciągu trzech miesięcy, po zniesieniu sankcji, może ona wzrosnąć o 100-150 tys. baryłek dziennie, osiągając do końca roku 1,1-1,2 mln baryłek. Norweska firma Rystad Energy uważa, że osiągnięcie poziomu wydobycia 2 mln baryłek dziennie do 2030 r. wymagałoby inwestycji rzędu 110 mld dol.

Dlaczego to takie trudne? Infrastruktura naftowa Wenezueli jest w opłakanym stanie i wymaga całkowitej przebudowy. Tamtejsza ropa to głównie ciężkie i ekstraciężkie gatunki, które wymagają skomplikowanych i kosztownych technologii wydobycia oraz przetwórstwa. Co oznacza, że koszty pozostają na granicy opłacalności.

Sytuacja polityczna jest tam teraz skrajnie niestabilna. Obalenie dyktatora często oznacza początek chaosu. Scenariusze mogą być różne: od przejęcia przez opozycję władzy i demokratyczną transformację, przez utrzymanie się dotychczasowej ekipy pod wodzą wiceprezydent Delcy Rodríguez, aż po wybuch wojny domowej na wzór Libii czy Syrii.

Jest jeszcze jeden, równie mroczny scenariusz – jeśli wydobycie ropy w Wenezueli wróci do poziomu 2-3 mln baryłek dziennie, a USA, Brazylia i Gujana nadal będą zalewać światowy rynek swoją ropą, kraje OPEC, by zdusić konkurencję, mogą się zdecydować na drastyczne obniżenie cen.

Arabia Saudyjska już raz to zrobiła. W roku 2014, gdy chciała zniszczyć amerykański przemysł łupkowy. Cena baryłki ropy spadła wtedy do 30 dol. Prezesi amerykańskich koncernów, których Donald Trump namawia na miliardowe inwestycje w Wenezueli, muszą o tym wiedzieć.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 96af58f7bc

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Pani Profesor

Gdybym zwrócił się do niej per „Pani Profesorko”, spojrzałaby zaskoczona i raczej nie kontynuowałaby rozmowy. Dokładnie dziś, 19 stycznia, mija stulecie urodzin Marii Podrazy-Kwiatkowskiej.

To nazwisko poznałem w liceum, gdy z opracowanej przez Mieczysława Jastruna antologii „Poezja Młodej Polski” dowiedziałem się, że istnieje badaczka, która literaturą tą – przeze mnie wtedy odkrywaną – aktualnie się zajmuje. Ale dopiero gdy na UJ zostałem delegatem studentów do Dyrekcji Instytutu Filologii Polskiej, przeżyłem pierwsze z nią – zaoczne – spotkanie. Chodziło o ofertę zatrudnienia, jaką złożyła pracująca w PAN doc. Maria Podraza-Kwiatkowska. Nasz dyrektor, prof. Mieczysław Karaś, lekko się skrzywił: „Wolałbym jego”, wycedził. Nie wiedziałem, że to „jego” odnosi się do męża pani Podrazy, doc. Jerzego Kwiatkowskiego: jego dorobek był wówczas rzeczywiście obszerniejszy. Tymczasem na słowa Karasia zareagował przedstawiciel młodszej kadry naukowej, świeżo upieczony dr Franciszek Ziejka: „Ależ panie rektorze (Karaś był równocześnie rektorem UJ), pani Kwiatkowska jest dziś pierwszą gwiazdą w badaniach nad Młodą Polską!”.

Często wspominam tę scenę. Także ze względu na Ziejkę, z którym po latach się zaprzyjaźniłem, a który z czasem został bezpośrednim następcą Podrazy-Kwiatkowskiej jako kierownik Katedry Literatury Polskiej XIX wieku oraz kolejnym następcą Karasia jako rektor uniwersytetu. Dnia 1 października 1974 r. zostaliśmy równocześnie przyjęci do pracy na UJ: Pani Profesor, uznana wielkość, i ja, nieopierzony asystent stażysta. Niebawem, zgłosiwszy się na jej dyżur, wreszcie ją poznałem. Powiedziała, że zamierza wydawać serię „Biblioteka Poezji Młodej Polski” i że gotowa by była powierzyć mi opracowanie któregoś tomiku. Nic z tych planów nie wyszło, choć parę lat później ta seria rzeczywiście zaczęła się ukazywać – pod redakcją Marii i Jerzego Kwiatkowskich. Tymczasem na UJ Pani Profesor rozkwitła: już w roku 1975 opublikowała fundamentalną monografię „Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski”, a potem rokrocznie ukazywały się jej książki, studia i opracowania edytorskie – aż do wydania w roku 1992 syntezy „Literatura Młodej Polski”. Skupiła wokół siebie młodszych pracowników, zafascynowanych tą epoką, i stała się jednym z największych autorytetów naszego środowiska.

19 stycznia mija stulecie urodzin Marii Podrazy-Kwiatkowskiej.

Łączy mnie z nią wiele wspomnień. W roku 1982 była recenzentką mojego doktoratu. Pamiętam, jak przed egzaminem doktorskim zażyła ukradkiem pigułkę, na co mój promotor, prof. Tomasz Weiss, zareagował pytaniem: „Co to, Marysiu?”. „Środki uspokajające”, bąknęła Pani Profesor, a ja wpadłem w rozpacz: więc aż tak nisko mnie ocenia! Słynęła z pryncypialności – gdyby na egzaminie powinęła mi się noga, nie byłoby zmiłuj. „Ale gdy pan Andrzej zacznie odpowiadać, od razu się uspokoję”, natychmiast rozładowała atmosferę. Odpowiadałem kiepsko, mimo to komisja zdecydowała o nocie bardzo dobrej. Zdecydowała jednomyślnie – co znaczyło, że tak uznała również Pani Profesor. Na jej opinii zależało mi najbardziej.

Tak, tej „surowej Pani Opiekun” wszyscy się baliśmy, choć – o czym z czasem się przekonałem – była osobą wielkiej życzliwości, wielkiego ciepła. I bardzo opiekuńczą wobec nas – młodszej kadry. Ale baliśmy się jej właśnie jako człowieka krystalicznej uczciwości, którego nie chciało się niczym rozczarować. W latach stalinowskich Młoda Polska („literatura okresu imperializmu”) była w niełasce, a rozkochana w niej Podraza-Kwiatkowska sama skazała się na pracę bibliografa, by nie napisać choćby linijki, której musiałaby się wstydzić. Ale ja powód do lęku miałem dodatkowy: pochłonięty dziennikarstwem i polityką ociągałem się z robieniem habilitacji. Przed moją szefową było mi tak głupio, że omijałem ją szerokim łukiem i truchlałem, ilekroć dzwoniła. Ale to właśnie dzięki niej wróciłem do pracy naukowej. I gdy moja „habilitacyjna” „Młoda Polska wileńska” została „książką miesiąca”, przybyło na uroczystość dwoje profesorów, którym zawdzięczałem najwięcej: Podraza-Kwiatkowska i Henryk Markiewicz. Do dziś ich widzę, jak siedzą w pierwszym rzędzie, obok siebie.

Pani Profesor urodziła się w Kołomyi, wychowywała się w Żółkwi i Lwowie, trudno więc było się dziwić, że wyszła z wojny z silną traumą antyukraińską. Kiedyś poprosiła, bym jej wytłumaczył, czemu zawsze bronię Ukraińców. „Cóż, postaram się zmienić nastawienie”, westchnęła na koniec rozmowy. Taka była: humanistka, która „żadnego nie klnie ruchu”. Otwarta na odmienne racje. 5 kwietnia minie dziesiąta rocznica jej odejścia.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 96af58f7bc

Mateusz Mazzini

Początki końców

Dla Donalda Trumpa obalenie reżimu na Kubie byłoby proste i bardzo korzystne

Jedno z najczęściej przytaczanych w historii brytyjskiej polityki powiedzeń głosi, że każde działanie w dyplomacji jest tak naprawdę prowadzone na użytek wewnętrzny. Jeśli pod tym kątem spojrzeć na ostatnie posunięcia Donalda Trumpa, w tym aresztowanie Nicolása Madura w Caracas czy groźby aneksji Grenlandii kierowane pod adresem duńskich władz – trudno je uznać za coś innego niż odwracanie uwagi od problemów w kraju. Jeśli na chwilę wyłączyć szum generowany przez interwencję w Wenezueli, szantaż wobec innych latynoskich przywódców czy pełne wykrzykników wpisy w mediach społecznościowych dotyczące potencjalnego obalenia reżimu w Iranie, można dostrzec, że sytuacja Trumpa, a przede wszystkim Partii Republikańskiej, daleka jest od idealnej.

Co tuszuje Trump?

Za 10 miesięcy odbędą się wybory połówkowe, w których do wygrania będą wszystkie mandaty w Izbie Reprezentantów i w 35 okręgach senackich, a poparcie dla działań prezydenta jest rekordowo niskie i według niektórych badań oscyluje wokół 36%. Kolejni deputowani do Kongresu rezygnują z walki o reelekcję, w tym politycy o statusie prawicowych celebrytów, jak Elise Stefanik czy Marjorie Taylor Greene. Bezrobocie sięga 4,7%, a liczba nowych miejsc pracy poza rolnictwem jest najniższa – biorąc pod uwagę lata bez recesji – od 2003 r. Gospodarka odnotowuje wzrost, ale pompują go inwestycje w infrastrukturę związaną ze sztuczną inteligencją i – w mniejszym stopniu – prywatne wydatki obywateli na opiekę zdrowotną. Rosną nierówności społeczne, koszty życia, ceny podstawowych produktów żywnościowych. Nawet ze spadku cen benzyny nie można cieszyć się w USA w sposób oczywisty, bo sektor naftowy zatrudnia bezpośrednio 2 mln osób, a jeśli liczyć wszystkie miejsca pracy w firmach zależnych od koncernów wydobywczych, liczba ta skacze do 10 mln. Przy baryłce ropy wycenianej teraz na światowych rynkach na nieco ponad 61 dol. oznacza to kryzys i prawdopodobną redukcję zatrudnienia w całym sektorze.

Do tego dochodzą wciąż niewyjaśniona afera Epsteina, tumult społeczny wywołany zamordowaniem przez agenta ICE w Minneapolis 37-letniej Renee Good oraz konflikty pomiędzy influencerami spod znaku MAGA. Pod każdym względem większości Amerykanów żyje się dzisiaj gorzej niż rok temu – i to bez perspektyw na szybką poprawę.

Poparcie dla działań Trumpa jest rekordowo niskie, według niektórych badań oscyluje wokół 36%.

Recepta Trumpa na te bolączki? Więcej awanturnictwa w polityce zagranicznej. Grenlandia, wobec której „nie wyklucza użycia siły”, nawet jeśli doprowadziłoby to w praktyce do całkowitego rozkładu Sojuszu Północnoatlantyckiego, Meksyk, który nazywa „narkopaństwem”, a tamtejszej pani prezydent, Claudii Sheinbaum, radzi „patrzeć się za siebie”. Do tego dochodzi Kolumbia, Kanada i sporo innych miejsc. Nie mówiąc już o Wenezueli – ośmielony sukcesem operacji Delta Force Donald Trump tytułuje się teraz jej „pełniącym obowiązki prezydentem”.

Smutna prawda jest jednak taka, że z wyborczego punktu widzenia triumf w starciu z osobistą ochroną Nicolása Madura niewiele waży. Wenezuela ma może znaczenie strategiczne, może też za kilka lat przynieść olbrzymie przychody z wydobycia tamtejszej ropy, a przy inteligentnym wsparciu transformacji demokratycznej – na co jednak się nie zanosi – być może zmniejszy się liczba nielegalnych imigrantów próbujących przedostać się do USA. Tyle że wyborcy w kraju nie są specjalnie zachwyceni takim obrotem spraw.

Według sondażu Ipsos dla radia NPR z 8 stycznia zaledwie 33% wszystkich respondentów popiera akcję w Caracas, a 34% pozostaje krytycznych Aż 72% uważa, że operacja ta skończy się zbyt dużym zaangażowaniem USA w wewnętrzne sprawy Wenezueli. O akcji komandosów dobrze się opowiadało w czasie konferencji prasowej w Mar-a-Lago, ale losu wyborów to raczej nie odwróci.

Kolejne klocki domina

Co innego Kuba, ochoczo wymieniana przez Trumpa i sekretarza stanu Marca Rubia jako potencjalny kolejny składnik amerykańskiej hegemonii na półkuli zachodniej. Ona ma ogromne symboliczne znaczenie dla amerykańskiego elektoratu. Bez względu na to, czy do interwencji w jakiejś formie by doszło, już teraz łatwo sobie wyobrazić glorię i chwałę Trumpa, stojącego w Mar-a-Lago przed dziennikarzami i mówiącego do kamer telewizyjnych, że udało mu się to, czego nie osiągnęli Kennedy, Nixon, Carter, Reagan, Bush, Clinton czy Obama – że obalił komunistyczny reżim na Kubie.

Jak słusznie zauważył James Bosworth, analityk ds. Ameryki

eprasa.pl 96af58f7bc



Łacińskiej w firmie doradczej Hxagon, los Kuby pod każdym względem zależy teraz od Białego Domu. Co nie oznacza, że do interwencji zbrojnej czy innej próby obalenia reżimu na pewno dojdzie. Wręcz przeciwnie – w tej chwili jest to mało prawdopodobne, choć nie znaczy, że się nie wydarzy. Bosworth cytuje popularne ostatnio, zwłaszcza w USA, rynki predykcyjne, które prawdopodobieństwo, że prezydent Miguel Díaz-Canel pozostanie u władzy przynajmniej do końca 2026 r., oceniają na 50-65%. Na początku stycznia Agencja Reutera, powołując się na źródła z CIA, informowała, że nawet tzw. społeczność wywiadowcza Stanów Zjednoczonych nie uważa, by próba siłowego obalenia komunizmu na Kubie była w tej chwili sensowym rozwiązaniem. Głównie dlatego, że pomimo gigantycznych, trudnych do wyobrażenia kłopotów gospodarczych, braków w zaopatrzeniu dosłownie we wszystko – od jedzenia, przez ropę naftową, po części zamienne do maszyn rolniczych – Kubańczycy nadal wierzą w proklamowany przez Fidela Castro ustrój. Nawet jeśli w obecnym wydaniu niewiele im oferuje.

Najprościej z punktu widzenia Amerykanów byłoby, gdyby Díaz-Canel został odsunięty od władzy w sposób organiczny, oddolnie. Oczywiście takie operacje nigdy nie są całkowicie spontaniczne i naturalne, a już na pewno nie w bezpośrednim sąsiedztwie Stanów Zjednoczonych. Przykład Wenezueli, gdzie po usunięciu Madura Biały Dom pozostawił w pałacu prezydenckim Miraflores jego lojalistkę, Delcy Rodríguez, wskazuje jednak, że typowy dla czasów zimnowojennych scenariusz siłowego przewrotu i zastąpienia lokalnego przywódcy kimś namaszczonym przez Waszyngton nie jest już przez amerykańską administrację preferowany. Dlatego usunięcie obecnego prezydenta Kuby nie musiałoby, przynajmniej w początkowej fazie jankeskich działań, oznaczać zmiany ustroju i zakończenia siedmiu dekad komunizmu na wyspie.

Zwłaszcza że, jak wynika z dostępnych informacji prasowych i przecieków z administracji Trumpa, Amerykanie uprawiają obecnie wobec Kuby myślenie życzeniowe. Bieżące podejście Białego Domu do Kuby ciekawie podsumowała w eseju na łamach magazynu „The Atlantic" Vivian Salama. Jak wskazała, większość urzędników Departamentu Stanu zakłada, że ustrój kubański zawali się w ten czy inny sposób, ale zapytani o przebieg takiego zdarzenia oraz jego konkretne powody, najczęściej odpowiadali ogólnikami, półsłówkami lub nie odpowiadali w ogóle.

Na pierwszy rzut oka wygląda to na zbiorową amnezję amerykańskich dyplomatów, którzy zachowują się tak, jakby nie wiedzieli niczego na temat najnowszej historii wyspy. Owszem, sytuacja 11-milionowego narodu jest krytyczna, ale nie pierwszy raz na wyspie nie ma co jeść, a autobusy stoją w zajezdniach, bo nie ma co wlać do ich baków. W końcu po upadku Związku Radzieckiego było podobnie, a Fidel Castro musiał zadekretować wprowadzenie *período especial* – czegoś

FOT.YAMIL LAGE / AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 96af58f7bc

na kształt polityczno-gospodarczego stanu wyjątkowego. Oznaczało to jeszcze większą dyscyplinę finansową, poświęcenie dla kraju i idei rewolucyjnych, pracę ochotniczą, porzucenie aktywności w czasie wolnym przez dziewięć lat, bo stan wyjątkowy zniesiony został dopiero w 2000 r. Dziś mało kto zresztą pamięta, że nawet bardzo lojalnym wobec Fidela Kubańczykom niespecjalnie to się podobało. Do tego stopnia, że wyszli na ulice Hawany, demonstrując wzdłuż słynnego nadmorskiego bulwaru Malecón, a sam Castro, by obniżyć temperaturę społecznych frustracji, musiał wyjść im naprzeciw. Jednak nawet najwięksi antykomuniści nie zakładali wtedy, że ustrój się zawali.

Kto umrze za Kubę?

Do pewnego stopnia analogie pomiędzy obecną sytuacją a tym, co działo się na początku lat 90., są uprawnione. I wówczas, i dzisiaj Kuba praktycznie z dnia na dzień straciła swojego największego sponsora, mocodawcę i poplecznika na arenie międzynarodowej. Wtedy był to Związek Radziecki, dzisiaj – Wenezuela, pozostająca od czasów Cháveza i jego boliwariańskiego antykapitalistycznego sojuszu lewicowych państw latynoskich (Alianza Bolivariana para los Pueblos de Nuestra América, ALBA) głównym partnerem barterowym Kuby. Przez lata reżim braci Castro wysyłał do Caracas lekarzy, a w drugą stronę płynęła ropa naftowa, często dostarczana za darmo. Z czasem jednak medyków zastąpili wojskowi. Do tego stopnia że, jak pisze Vivian Salama, spośród ok. 70 ofiar śmiertelnych amerykańskiego nalotu na Caracas aż 32 miały kubańskie obywatelstwo. Wspominała o tym także niedawno w rozmowie z Davidem Frumem publicystka i historyczka Anne Applebaum, zauważając, że Maduro ewidentnie swoim ludziom nie ufał, bo jego osobisty korpus ochroniarzy składał się głównie z Kubańczyków i Rosjan, dawnych członków Grupy Wagnera.

Usunięcie wenezuelskiego dyktatora oznacza dla Kubańczyków ogromny problem, bo tankowce z tamtejszą ropą są w tej chwili blokowane na Morzu Karaibskim. Amerykanie, ścigając rosyjską jednostkę na północnym Atlantyku, udowodnili, że całkiem poważnie traktują kwestię przejęcia kontroli nad wenezuelskimi zasobami. Nie ma więc co liczyć na zdjęcie blokady czy dalsze dostawy z Caracas do Hawany. Rosjanie, którzy jeszcze kilka lat temu wywiadowczo byli bardzo wyraźnie obecni na Kubie, nie mówiąc już o inwestycjach w tamtejszy sektor turystyczny, też nie są już specjalnie zainteresowani utrzymywaniem swoich pozaeuropejskich przyczółków. Nie umierali za al-Asada w Syrii ani za Madura w Wenezueli, w razie czego poświęcą także Díaza-Canela. Większe znaczenie reżim ma dla Chińczyków – ale też nie na tyle duże, by w imię jego obrony Xi Jinping ryzykował całkiem poprawne stosunki, jakie ma dziś z Trumpem.

Usunięcie Madura oznacza dla Kubańczyków ogromny problem, bo tankowce z wenezuelską ropą są w tej chwili blokowane na Morzu Karaibskim.

Prawo międzynarodowe niepotrzebne

W tej chwili przetrwanie kubańskiej gospodarki zależy od dostaw ropy z Meksyku – i to też nie jest dla tamtejszych komunistów dobra wiadomość. Administracja Trumpa już bowiem zaczyna wywierać ogromną presję na Claudię Sheinbaum – w wielu aspektach. Przykręcenie śruby kartelom narkotykowym, uszczelnienie granicy, a jak nie, to – grozi Trump – czekają was uderzenia amerykańskich sił zbrojnych na waszym suwerennym terytorium. I to, że jest ono suwerenne, oczywiście niewiele go obchodzi, amerykański prezydent powiedział reporterom „New York Timesa", że prawo międzynarodowe nie jest mu do niczego potrzebne, wszak kieruje się wyłącznie własną moralnością. A jaka ona jest – nietrudno wydedukować.

Możliwe więc, że wkrótce Kubańczycy zostaną całkowicie bez ropy, a to przełoży się na katastrofę przemysłową, rolniczą, gospodarczą, wreszcie – humanitarną. Lecz nawet to nie musi spowodować oddolnego powstania. Bosworth, ale także inni znani eksperci od Ameryki Łacińskiej, tacy jak Brian Winter z „Americas Quarterly" czy Christopher Sabatini z Chatham House, wielokrotnie przypominali w ostatnich tygodniach, że z politycznego punktu widzenia sytuacja na Kubie jest akurat bardzo stabilna. Represje wobec dysydentów odnoszą pożądany efekt, nie ma też żadnych dowodów na istnienie jakiejkolwiek zbrojnej organizacji antysystemowej. Wcześniejsze próby reform czy liberalizacji miały już miejsce wielokrotnie – zawsze kończyły się fiaskiem. Nie wspominając o tym, że Kubańczycy mają długą historię narzekania na dziedzictwo rewolucji, nawet na samego Fidela – nigdy jednak nie mówią, że woleliby cokolwiek, co w darze przynoszą im Amerykanie.

Mimo wszystko nawet w tym nieśmiertelnym, impregnowanym na rzeczywistość ustroju coś zaczyna się zmieniać. A raczej rdzewieć, bo wewnętrzne struktury trochę już trzeszczą w szwach. Na początku roku Díaz-Canel wygłosił przemówienie do narodu, przyznając, że „on i jego rząd muszą pracować ciężej". Nie obwiniał imperialistów z Ameryki, kapitalistów, obcych wpływów – tylko własną ekipę. Być może ma świadomość, że przy tak odmiennym układzie sił na półkuli utrzymanie tego, co zaczęli bracia Castro z Che Guevarą, będzie niemożliwe. Tak jak według Trumpa czy Marca Rubia niemożliwe jest utrzymanie świata z Ameryką w roli „dobrodusznego hegemona". Zarówno w Waszyngtonie, jak i w Hawanie czuć atmosferę początku. Tyle że w obu przypadkach to raczej początki końca.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 96af58f7bc



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ziobroseja w Uciekistanie

Zapewne, gdy w listopadzie 2023 r. były od niedawna minister sprawiedliwości (w sumie 10 lat…) szarżował w sejmowej pyskówce, wykrzykując do przedstawicieli przyszłej władzy w poczuciu całkowitej bezkarności: „Mam nadzieję, że nie okażecie się fujarami!”, nie przewidywał, że dwa lata później będzie rejterował do Budapesztu Orbána po azyl polityczny. W najnowszej historii nie wydarzyło się nigdy, żeby prokuratura stawiała tak poważne (i liczne – 26 w sumie) zarzuty byłemu ministrowi sprawiedliwości i prokuratorowi generalnemu – tym samym „szeryf nad szeryfami” zapisze się w annałach.

W resorcie sprawiedliwości, jak twierdzi prokuratura w prawie 160-stronicowym akcie oskarżenia, działała zorganizowana grupa przestępcza, kierowanie którą śledczy przypisują właśnie Ziobrze. Ich zdaniem były minister nakazywał podwładnym, kto ma wygrać niektóre konkursy na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości, zanim jeszcze te konkursy zostały ogłoszone. Żeby zachować pozory, wskazani w przedbiegach zwycięzcy rzeczywiście przygotowywali oferty konkursowe, a resort Ziobry je faworyzował. Choćby w taki sposób, że – jak wyjaśnia prokuratura – urzędnicy niższego szczebla musieli pilnować, „aby konkurs przebiegł zgodnie z oczekiwaniami kierownictwa resortu sprawiedliwości”, a „osoby określane jako zaufane, wchodzące w skład komisji konkursowych, otrzymywały oferty wytypowanych podmiotów w celu dokonania oceny pozwalającej na uzyskanie dotacji”. Sumy, o których mówi oskarżenie, to m.in. sprzeniewierzone ponad 150 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości. Z obietnic politycznych, które Ziobro rozsiewał szerokim gestem, nie ostało się nic oprócz podporządkowania wymiaru sprawiedliwości reprezentacji politycznej PiS.

Zbigniew Ziobro szafował złotymi myślami: „Nie może być tak, że »białe kołnierzyki« kradną miliardy, a potem opalają się na plażach, wysyłając lewe zaświadczenia o chorobie. Prawo musi być równe wobec wszystkich”, „Uczciwi nie mają się czego bać”, „Nie może być tak, że »białe kołnierzyki« kradną miliardy i kończy się na wyrokach w zawieszeniu”. A kiedy w ostatnich miesiącach przyszło do prokuratorskiego „sprawdzam” – szeryf pogalopował po opiekę Viktora Orbána, śladem swojego zastępcy Romanowskiego, wobec którego gros zarzutów powiela te stawiane Ziobrze. Wypracowana przez lata do perfekcji taktyka robienia z siebie ofiary i brak odwagi cywilnej, by stanąć przed polskim sądem, zaowocowały kolejnymi kosmicznymi porównaniami: „Nie uciekłem, tylko nie wróciłem, tak jak wielu nie wracało w latach 80.”.

Poza bezczelnością nie zostało Ziobrze wiele więcej form nibyobrony, choć już dziś wiadomo, że jego wizerunkowa porażka jest faktem, także wśród dawnych sojuszników partyjnych. W rzeczy samej, główną odpowiedzialność za polityczne ekscesy Ziobry ponosi Najwyższy Przywódca Zjednoczonej Prawicy, a jego list z ostrzeżeniem, że grabienie Funduszu Sprawiedliwości zaszkodzi pisowskim rządom, zostanie użyty przez oskarżycieli. Im mniej Ziobry w Polsce, tym więcej komplikacji z jego osobą – właśnie dla jego matecznika politycznego. Nie to, żebym jakoś rozpaczał, że Kaczyński musi teraz wypić piwo, którego nawarzył mu szeryf z jego osobistego nadania. Jest jednak wciąż zaskakujące, że w tak oczywistej sytuacji jedynym scenariuszem obrony pozostaje patriotyczno-ofiarnicze pustosłowie. Równocześnie wizja skrajnie upolitycznionego wymiaru sprawiedliwości, poczynając od podporządkowania funkcji prokuratora generalnego bezpośrednio władzy wykonawczej, co PiS zrobiło w pierwszym okresie swoich rządów w 2015 r., jest automatycznie projektowana na obecną władzę.

W królestwie autorytarnych zapędów polskiej prawicy do ręcznego sterowania czym się da wielkim uznaniem cieszy się od dawna powiedzonko, że „drogowskaz nie musi podążać w kierunku, który wskazuje”. W ten sposób rządy PiS et consortes usiłowały otoczyć się nienaruszalnym, choć nieformalnym immunitetem, ochronić przed jakąkolwiek odpowiedzialnością. Ucieczka Ziobry zrodzona jest dokładnie z tej poetyki politycznej. PiS nigdy się nie myli, nie kradnie, nie nadużywa władzy – a ten, kto to podważa, jest dyktatorem o psychopatycznych skłonnościach.

Nie można Ziobrze odmówić sprawstwa w stanowieniu prawa, chociaż dotyczy to Węgier, które uchwaliły pod naszego „miękiszona” nowe prawo, sprzeczne rzecz jasna z prawem unijnym: „Uchodźca nie może być wydany do innego kraju Unii na podstawie europejskiego nakazu aresztowania”. Problematyczne jest przede wszystkim to, że nie ma uchodźców wewnątrz Unii, jest swoboda przemieszczania się. Takim specom od demolki prawa pod własne interesy jak Orbán i Ziobro w niczym to oczywiście nie przeszkadza.

Ciekawym pytaniem pozostaje, jak długo potrwa wędrówka uciemiężonego ministra sprawiedliwości do ojczyzny. Dwa lata? Dziesięć? A może nie wróci już nigdy? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 96af58f7bc



W Europie Sánchez coraz bardziej wyróżnia się jako przywódca, który mówi głośno to, co inni wolą przemilczeć.

Najbardziej antytrumpowski głos w Europie

Aż 81% Hiszpanów postrzega Donalda Trumpa negatywnie

Tomasz Skowronek

Gdy większość europejskich przywódców waży każde słowo pod adresem Donalda Trumpa, premier Hiszpanii mówi wprost. Kryzys w Wenezueli, wojna w Gazie i spory o NATO stały się dla Pedra Sáncheza okazją do zbudowania wyrazistej, antytrumpowskiej polityki zagranicznej – ryzykownej, ale popularnej w kraju i dobrze słyszalnej na globalnym Południu.

Wenezuela – europejski test

Hiszpania zajmuje wyjątkowe miejsce w kryzysie wenezuelskim. Wynika to nie tylko z liczebności i aktywności diaspory, lecz także z ambicji lewicowego rządu, by współtworzyć europejski front sprzeciwu wobec polityki Donalda Trumpa. Jak ujął to sam Pedro Sánchez, decyzje Waszyngtonu „nie są neutralne" i „mają realne konsekwencje dla stabilności całych regionów".

Krótko po amerykańskich bombardowaniach Caracas premier Hiszpanii znacząco zwiększył aktywność dyplomatyczną. „To naruszenie prawa międzynarodowego i bardzo niebezpieczny precedens", mówił, ostrzegając, że działania USA „popychają Amerykę Łacińską w stronę niepewności i eskalacji". Podczas paryskiego spotkania z przywódcami państw wspierających Ukrainę dodał, że świat „zbyt dobrze pamięta konsekwencje interwencji usprawiedliwianych interesami strategicznymi".

Sánchez wielokrotnie podkreślał, że wobec Wenezueli, Ukrainy i Strefy Gazy stosuje tę samą argumentację, wprost porównując te konflikty: „Bronimy porządku międzynarodowego opartego na zasadach, a nie na prawie dżungli". Hiszpania razem z Brazylią, Meksykiem, Urugwajem, Chile i Kolumbią wyraziła „głębokie zaniepokojenie i sprzeciw" wobec naruszeń prawa międzynarodowego.

Konserwatywny dziennik „La Razón" wytyka, że amerykański zamach w Wenezueli został wykorzystany przez rząd Sáncheza do „politycznej operacji w Pałacu Moncloa" i że hiszpańska polityka zagraniczna staje się narzędziem odwracania uwagi od problemów wewnętrznych. Jednak Sánchez nie jest jedyną osobą, która wykorzystuje politykę zagraniczną do budowania swojego wizerunku. Prawica posłużyła się kwestią Wenezueli, aby wskazać rzekome powiązania „sanchizmu" z „chavizmem".

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 96af58f7bc

Opozycja w Hiszpanii, przede wszystkim Partia Ludowa (PP) i Vox, podkreślała swoje bliskie kontakty z opozycją wenezuelską. Lider PP Alberto Núñez Feijóo zarzucał rządowi Sáncheza „wyrzeczenie się dyplomatycznych atutów i moralnego przywództwa wobec reżimu Madura" oraz brak skuteczności w doprowadzeniu do realnej zmiany władz w Caracas.

Inni, na czele z byłym premierem José Maríą Aznarem, są tak zaciekle przeciwni obecnemu reżimowi w Wenezueli, że nie wyobrażają sobie żadnego innego scenariusza niż oddanie władzy w ręce opozycji, Edmunda Gonzáleza i laureatki Pokojowej Nagrody Nobla, Maríi Coriny Machado. Były konserwatywny premier krytykował amerykański „kolonializm" i marginalizację wenezuelskiej opozycjonistki. Krótko mówiąc, również w Hiszpanii konflikt wenezuelski osiągnął apogeum.

Diaspora, interesy, mediacje

Znaczenie Wenezueli w Hiszpanii wykracza daleko poza dyplomację. W kraju mieszka ok. 400 tys. Wenezuelczyków, z czego połowa w Madrycie. Stolica stała się także jednym z głównych miejsc, gdzie lokują inwestycje zamożni emigranci z Caracas. „Madryt jest dziś dla Wenezuelczyków tym, czym dekadę temu było Miami", zauważają komentatorzy gospodarczy. Przykładem jest madrycka dzielnica Salamanca, znana chociażby z ekskluzywnego centrum gastronomicznego Platea Madrid z restauracjami nagradzanymi gwiazdkami Michelina. Ostatnio zyskała nowy przydomek – „małe Caracas". Okolica przypomina coraz bardziej Sabana Grande, jeden z głównych bulwarów Caracas.

Hiszpania od lat prowadzi wobec Wenezueli politykę balansowania. Z jednej strony, utrzymywała relacje z reżimem Nicolása Madura, z drugiej – udziela azylu opozycji, której lider Edmundo González, podobnie jak inni opozycyjni politycy, mieszka dziś w Hiszpanii jako uchodźca. „Hiszpania nie zamyka drzwi przed żadną ze stron, bo chce być częścią rozwiązania, a nie problemu", tłumaczy minister spraw zagranicznych José Manuel Albares.

Madryt zaoferował mediacje zarówno między Stanami Zjednoczonymi a Wenezuelą, jak i między rządem Delcy Rodríguez a opozycją. W tle są również interesy dużych hiszpańskich firm – Repsolu i Telefóniki – oraz sprawa obywateli Hiszpanii przetrzymywanych w Caracas. Gdy w styczniu pięciu zostało uwolnionych, Sánchez nazwał to „aktem sprawiedliwości, który pokazuje, że dialog ma sens".

Kurs antytrumpowski: ryzyka i zyski

Antytrumpowskie przesłanie premiera spotyka się z szerokim poparciem w Hiszpanii. Według badań YouGov aż 81% Hiszpanów postrzega Donalda Trumpa negatywnie.

Zdecydowane poparcie Sáncheza dla Palestyńczyków w obliczu bombardowań Gazy wywołało ostrą reakcję Izraela, ale wzmocniło jego pozycję w kraju i wśród lewicowych wyborców w Europie. „Stoimy po właściwej stronie historii", podkreślał premier, gdy Hiszpania wspólnie z Irlandią i Norwegią uznała państwo palestyńskie. Już jesienią 2023 r. ostrzegał też Izrael przed łamaniem praw człowieka w Strefie Gazy. W połowie grudnia 2025 r. hiszpański przywódca przyjął w Madrycie prezydenta Palestyńskich Władz Narodowych Mahmuda Abbasa. Wcześniej, w grudniu 2024 r., rząd Hiszpanii znalazł się pod ostrzałem krytyki USA, ponieważ amerykańskim statkom odmówiono dostępu do hiszpańskich portów w związku z przewozem broni dla Izraela.

Konfrontacja z Waszyngtonem objęła także NATO, handel i technologie. Sánchez sprzeciwił się żądaniom Trumpa dotyczącym wydatków obronnych, a w Davos mówił wprost o zagrożeniu dla demokracji ze strony „nadmiernie wpływowych platform cyfrowych i miliarderów z Doliny Krzemowej". Wzywał Unię Europejską do „egzekwowania własnych reguł, bez kompleksów wobec USA".

Największe napięcia wywołała wizyta Sáncheza w Chinach – pierwsza taka podróż zachodniego przywódcy po eskalacji wojny handlowej USA-Chiny. „Zbliżenie z Pekinem byłoby jak podcięcie sobie gardła", ostrzegali przedstawiciele amerykańskiej administracji. Madryt jednak nie ustąpił. „Musimy budować relacje z globalnymi graczami, kierując się europejskim interesem, a nie cudzym strachem", odpowiadał Sánchez.

Jak zauważa María Ramírez z elDiario.es, otwarte potępienie Trumpa „może zagrozić relacjom z USA – obawa, która powstrzymuje wielu europejskich liderów – ale w praktyce Biały Dom reaguje na Hiszpanię zaskakująco powściągliwie". Trump groził już Hiszpanii dodatkowymi cłami i wykluczeniem z NATO, lecz żadna z tych zapowiedzi nie została zrealizowana.

Tymczasem na globalnym Południu polityka Madrytu jest odbierana pozytywnie. A w Europie Sánchez coraz bardziej wyróżnia się jako przywódca, który mówi głośno to, co inni wolą przemilczeć. Ryzyko pozostaje realne – ale zyski polityczne, przynajmniej na razie, wydają się większe. ■

Hiszpania razem z Brazylią, Meksykiem, Urugwajem, Chile i Kolumbią wyraziła „głębokie zaniepokojenie i sprzeciw" wobec naruszeń prawa międzynarodowego.

Trump groził już Hiszpanii dodatkowymi cłami i wykluczeniem z NATO, lecz żadna z tych zapowiedzi nie została zrealizowana.

eprasa.pl 96af58f7bc

Bohdan Piętka

Nacjonalizacja, czyli modernizacja

Za nacjonalizacją głównych gałęzi przemysłu opowiedziały się wszystkie stronnictwa Polski Podziemnej, a także PSL Mikołajczyka

3 stycznia 1946 r. Krajowa Rada Narodowa przyjęła Ustawę o przejęciu na własność Państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, zwaną potocznie ustawą o nacjonalizacji przemysłu. Na jej podstawie upaństwowienie za odszkodowaniem obejmowało zakłady przemysłowe zatrudniające powyżej 50 pracowników na zmianę. Wyjątek stanowiły przedsiębiorstwa należące do obywateli Rzeszy Niemieckiej oraz zdrajców i kolaborantów, które miały być nacjonalizowane bez odszkodowania, a także przedsiębiorstwa należące do 17 wymienionych w ustawie kluczowych gałęzi przemysłu, które postanowiono znacjonalizować bez względu na wielkość.

Za odszkodowaniem miały być nacjonalizowane przedsiębiorstwa należące do strategicznych sektorów przemysłu, takich jak górnictwo, hutnictwo, energetyka i przemysł lekki, przedsiębiorstwa transportowe i telekomunikacyjne, jak również wszystkie inne przedsiębiorstwa, które mogły zatrudnić więcej niż 50 osób na jedną zmianę. Odszkodowania te okazały się później symboliczne. Niejednokrotnie wcale ich nie wypłacono. Realne odszkodowania wypłacono natomiast zagranicznym właścicielom (z wyjątkiem Niemców) lub udziałowcom nacjonalizowanych przedsiębiorstw. Nacjonalizacją nie objęto własności spółdzielczej ani komunalnej.

Ustawa o nacjonalizacji z 3 stycznia 1946 r. wraz z dekretem PKWN o reformie rolnej z 6 września 1944 r. stworzyły fundamenty powojennego ustroju, który ówczesne władze określały najpierw jako demokratyczny, potem jako socjalistyczny. Od 1989 r. ustrój ten z upodobaniem nazywa się w Polsce komunistycznym. Wynika to stąd, że polityka historyczna po 1989 r., dokonując oczywistej manipulacji, rozciągnęła okres stalinizmu (1948-1956) na cały okres od 1944 do 1989 r., spinając to wszystko klamrą z napisami „komunizm" i „okupacja sowiecka". Jednakże ani reforma rolna z 1944 r., ani nacjonalizacja z 1946 r. nie były aktami rewolucyjnymi, chociaż niewątpliwie były radykalnymi działaniami modernizacyjnymi, które kładły kres postfeudalnej strukturze społeczno-gospodarczej. Bliżej im było nie do rewolucji komunistycznej, ale do postulatów całej polskiej lewicy i centrum, formułowanych jeszcze w okresie II Rzeczypospolitej.

Zasadniczym celem nacjonalizacji było przyśpieszenie odbudowy zrujnowanego wojną kraju.

Postulaty nacjonalizacji

O reformę rolną walczyły w II RP trzy główne odłamy ruchu ludowego, które w 1931 r. zjednoczyły się w Stronnictwo Ludowe. Natomiast szeroka nacjonalizacja gospodarki była postulowana w programie radomskim Polskiej Partii Socjalistycznej, uchwalonym 2 lutego 1937 r. na jej XXIV Kongresie. Program ten, przewidujący budowę demokratycznego ustroju socjalistycznego, zakładał wywłaszczenie i nacjonalizację kluczowych przedsiębiorstw będących podstawą gospodarki narodowej, udział pracowników w zarządzaniu zakładami przejętymi przez państwo, jak i pozostającymi własnością spółdzielczą i prywatną, ustanowienie państwowego monopolu na handel zagraniczny, likwidację wpływu kapitałów obcych, uspołecznienie banków i utworzenie państwowego banku emisyjnego, uspołecznienie handlu oraz wprowadzenie spółdzielczych form dystrybucji towarów. Mieczysław Niedziałkowski w swojej publicystyce na łamach „Robotnika" uzupełnił program radomski postulatem wprowadzenia gospodarki planowej.

Za przeprowadzeniem reformy rolnej oraz nacjonalizacji przedsiębiorstw użyteczności publicznej i głównych gałęzi przemysłu opowiedziały się wszystkie stronnictwa polityczne Polski Podziemnej w deklaracji programowej Rady Jedności Narodowej z 15 marca 1944 r. „O co walczy Naród Polski?". Postulat nacjonalizacji uzasadniano wyrównaniem poziomu gospodarczego Polski w stosunku do sąsiadów. Program ten poparły PPS, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Pracy, a także Stronnictwo Narodowe, chociaż było to sprzeczne z przedwojennym programem gospodarczym tej partii. Również Polskie Stronnictwo Ludowe Stanisława Mikołajczyka, pozostające w latach 1945-1947 w opozycji do rządów PPR, opowiadało się za reformą rolną i nacjonalizacją głównych gałęzi przemysłu. Postulowało jednak mniejszy zakres nacjonalizacji, niż zakładała PPR, i inny model reformy rolnej, w którym podstawą ustroju rolnego byłyby silne ekonomicznie gospodarstwa rodzinne.

eprasa.pl 96af58f7bc



Robotnicy obsługujący gładziarki w Zakładach Przemysłu Wełnianego Krepol utworzonych w 1945 r. po upaństwowieniu przedwojennej fabryki sukna Plutzar-Brüll. Bielsko-Biała, grudzień 1947 r.

Fundamentem gospodarki miał być szeroki sektor własności spółdzielczej, głównie w handlu i drobnym przemyśle.

Reformy społeczno-ekonomiczne postulowane przez Polską Partię Robotniczą i przeprowadzane pod jej kierownictwem po 1944 r. nie były zatem wyłącznie realizacją programu komunistycznego i nie wynikały jedynie z faktu politycznej zależności tej formacji od Związku Radzieckiego. W ogólnym zarysie wpisywały się w postulaty i dążenia innych sił politycznych, rozumiejących potrzebę modernizacji kraju i przezwyciężenia jego zapóźnienia gospodarczego w stosunku do państw rozwiniętych. Zasadniczym celem tych reform była modernizacja, czyli zerwanie z postfeudalną strukturą społeczną i ekonomiczną, a także przyśpieszenie odbudowy zrujnowanego wojną kraju.

Aleksander Zawadzki, jeden z czołowych działaczy PPR, uzasadniając na posiedzeniu KRN ustawę o przejęciu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, odwoływał się nie do marksizmu-leninizmu, ale do nacjonalizmu gospodarczego. Mówił: „Mieliśmy Zagłębie i Śląsk, mogliśmy mieć dosyć węgla, stali i żelaza, a nie mieliśmy armat, nie mieliśmy czołgów, nie mieliśmy samolotów, gdy nadszedł tragiczny rok 1939. Bo ciężki przemysł Zagłębia, Śląska i innych ośrodków służył interesom prywatnego, rodzimego i zagranicznego kapitału, a w tym kapitale wielki udział mieli Niemcy".

Gospodarka mieszana

Ustawę nacjonalizacyjną KRN uchwaliła 3 stycznia 1946 r. jednogłośnie. Głosowało za nią, obok PPR, PPS, SL i SD, także mikołajczykowskie PSL. Jednakże podczas debaty klub PSL zgłaszał poprawki zmierzające do rozmycia projektu. Domagał się nierozciągania odszkodowań na rodzimych przedsiębiorców, uspołecznienia – zamiast upaństwowienia – całego przemysłu spożywczego, czyli przekazania go spółdzielniom i samorządowi terytorialnemu, wyłączenia z nacjonalizacji przemysłu poligraficznego i podniesienia granicy zatrudnienia do 100 pracowników na zmianie w firmach do nacjonalizacji. Doprowadziłoby to do pozostawienia w rękach prywatnych takich gałęzi przemysłu jak elektrotechniczny, garbarski, skórzany czy włókienniczy.

Deklarowanym celem ustawy nacjonalizacyjnej nie była budowa gospodarki komunistycznej. Takich akcentów PPR unikała w latach 1944-1947. Znamienne jest, że wraz z ustawą nacjonalizacyjną uchwalono ustawę o popieraniu prywatnej inicjatywy. Było to zgodne z przyjętą wtedy przez PPR i PPS oraz ogólnie akceptowaną przez opozycyjne PSL linią budowania gospodarki trójsektorowej (mieszanej), opartej na równowadze sektora państwowego, spółdzielczego i prywatnego, oraz częściowo rynkowej. W 1947 r. udział sektora państwowego w zatrudnieniu wynosił 59,5%, spółdzielczego 6,7%, a prywatnego 33,8%.

Powojenna nacjonalizacja nie była niczym wyjątkowym, w Europie Zachodniej też ją przeprowadzano.

Ogólnych założeń ustawy nacjonalizacyjnej, opierających się na uznanej koncepcji trójsektorowego systemu gospodarczego, nikt nie podważał co najmniej do wiosny 1947 r. W tym okresie kierownictwo PPR nie było zainteresowane pozaprawnym ograniczaniem prywatnej własności przemysłowej na korzyść sektora publicznego. Zmieniać się zaczęło to od połowy 1947 r. pod

eprasa.pl 96af58f7bc



Przebudowa niemieckiej Elektrowni Miechowice (obecnie Elektrociepłownia Miechowice), znacjonalizowanej 29 sierpnia 1946 r. Październik 1946 r.

wpływem zarządzonej przez Stalina reorientacji w międzynarodowym ruchu komunistycznym, która pod hasłem zwarcia szeregów wobec ofensywy „amerykańskiego imperializmu" wymusiła w bloku wschodnim ujednolicenie ideologiczne i ustrojowe na wzór radziecki. Dlatego również w Polsce ostatecznie odstąpiono w lipcu 1948 r. od koncepcji przemian ewolucyjnych i gospodarki trójsektorowej na rzecz pełnej stalinizacji ustroju politycznego i gospodarczego. Obrano kurs na likwidację drobnych przedsiębiorstw kapitalistycznych w przemyśle i rolnictwie, poprzez ich całkowite wyparcie z produkcji bądź przejściowe przekształcenie w warsztaty o charakterze drobnotowarowym. W okresie polskiego stalinizmu działania Hilarego Minca doprowadziły do upaństwowienia także handlu i spółdzielczości, zniszczenia resztek inicjatywy prywatnej oraz wprowadzenia radzieckiego modelu gospodarczego opartego na dominacji przemysłu ciężkiego, centralizacji gospodarczej i systemie nakazowo-rozdzielczym.

Współcześnie dominuje postrzeganie PRL wyłącznie przez pryzmat stalinizmu i rozciąganie go na cały okres Polski Ludowej. Dlatego nie zauważa się, że powojenna nacjonalizacja początkowo nie wpisywała się w stalinizm i umożliwiła szybką odbudowę kraju, poza tym nie była niczym wyjątkowym na tle ówczesnej kapitalistycznej Europy Zachodniej. Tam też – w zupełnie innych warunkach ustrojowych – podejmowano w tym czasie działania nacjonalizacyjne. Ich przesłanką była doktryna ekonomiczna Johna Maynarda Keynesa, stanowiąca odpowiedź na wielki kryzys ekonomiczny z lat 1929-1933. Keynesizm zakładał zwiększenie wydatków publicznych netto w celu ożywienia wzrostu gospodarczego i produkcji oraz aktywne wpływanie państwa na gospodarkę w celu przeciwdziałania bezrobociu i inflacji. Doktryna ta dominowała na Zachodzie do końca lat 70. XX w., kiedy została zastąpiona przez neoliberalizm gospodarczy (thatcheryzm i reaganomikę), stawiający na powszechną prywatyzację i deregulację.

Nacjonalizacja na Zachodzie

Jako pierwszy na Zachodzie nacjonalizacji gospodarki podjął się w latach 1945-1951 laburzystowski rząd Clementa Attlee w Wielkiej Brytanii. Jego reformy zostały oparte na trzech filarach, którymi były: utworzenie bezpłatnej Narodowej Służby Zdrowia, państwo opiekuńcze powiązane z kompleksowym systemem ubezpieczeń społecznych oraz nacjonalizacja kluczowych branż gospodarki, takich jak transport kolejowy, drogowy i wodny, lotnictwo cywilne, przemysł węglowy, stalowy, elektroenergetyka, gazownictwo, telekomunikacja oraz Bank Anglii. Działania nacjonalizacyjne w gospodarce brytyjskiej podejmowano też w latach 1967, 1971, 1973-1974 i 1977. Zostało to odwrócone dopiero w okresie rządów Margaret Thatcher w latach 1979-1990, kiedy nastąpiła powszechna prywatyzacja bądź likwidacja przedsiębiorstw państwowych. Przeprowadzona zresztą przy brutalnym złamaniu oporu związków zawodowych.

Również we Francji, w okresie IV Republiki (1946-1958), nacjonalizacja gospodarki była kluczowym elementem odbudowy kraju i tworzenia państwa opiekuńczego. Jej wdrożenie stało się możliwe dzięki politycznemu porozumieniu komunistów, socjalistów i chadecji, jednak nacjonalizację rozpoczęto jeszcze w okresie, gdy na czele rządu stał gen. Charles de Gaulle (1944-1946). Głównymi sektorami objętymi nacjonalizacją były: przemysł węglowy, samochodowy i zbrojeniowy, gazownictwo, energetyka, transport kolejowy i lotniczy, bankowość i ubezpieczenia. Nacjonalizacja ukształtowała gospodarkę Francji na dekady, tworząc silny sektor publiczny, który zaczęto prywatyzować dopiero w drugiej połowie lat 80. XX w. Jeszcze na początku lat 80., kiedy Europa Zachodnia odchodziła od keynesizmu

FOT. PAP (2)

eprasa.pl 96af58f7bc

na rzecz neoliberalizmu, koalicyjny rząd socjalistów i komunistów premiera Pierre'a Mauroy, wspierany przez socjalistycznego prezydenta François Mitterranda, zainicjował program „110 propositions pour la France". W jego ramach poszerzono nacjonalizację w sektorze bankowym i przemysłowym, a także skrócono tydzień pracy do 39 godzin i wprowadzono piąty tydzień płatnego urlopu. Powojenna nacjonalizacja we Francji dzięki umocnieniu centralnej roli państwa w gospodarce przyśpieszyła odbudowę kraju i umożliwiła zbudowanie nowoczesnego państwa opiekuńczego.

We Włoszech państwo było obecne w gospodarce od początku XX w. Jeszcze przed I wojną światową znacjonalizowano koleje i ubezpieczenia społeczne. Nacjonalizację kluczowych gałęzi przemysłu przeprowadził w latach 30. XX w. faszystowski reżim Mussoliniego, tworząc w 1933 r. publiczny holding o nazwie L'Istituto per la Ricostruzione Industriale (IRI). Była to odpowiedź na światowy wielki kryzys ekonomiczny, wynikająca z konieczności ratowania, restrukturyzacji i finansowania banków oraz prywatnych firm, które wówczas zbankrutowały. IRI był holdingiem posiadającym ok. 20% kapitału akcyjnego największych włoskich spółek, takich jak Ansaldo, Terni, Ilva, SIP, SME, Alfa Romeo, Navigazione Generale Italiana, Lloyd Triestino di Navigazione i Cantieri Riuniti dell'Adriatico. Korzystały one z zamówień publicznych i miały największe wydatki kapitałowe. Poza tym w posiadaniu IRI były trzy największe banki Włoch. Instytucja ta jako forma organizacyjna gospodarki włoskiej została utrzymana po 1945 r., co również było podyktowane potrzebą powojennej odbudowy i modernizacji. Prywatyzacja IRI została przeprowadzona dopiero w latach 90. XX w., a jego likwidacja nastąpiła w latach 2000-2002.

W 1946 i 1947 r. przyjęto ustawy nacjonalizacyjne w Austrii, która znajdowała się wówczas pod okupacją czterech mocarstw, ale była rządzona przez koalicję chadecji i socjaldemokratów. Zasięg nacjonalizacji był bardzo duży i obejmował większość górnictwa węgla, rud metali i ropy naftowej, przeważającą część przemysłu ciężkiego i chemicznego, trzy kluczowe banki komercyjne, główne spółki elektroenergetyczne, kilka firm budowlano-remontowych oraz największe towarzystwo żeglugowe. Udział znacjonalizowanego przemysłu w produkcji ogólnej wynosił 30%.

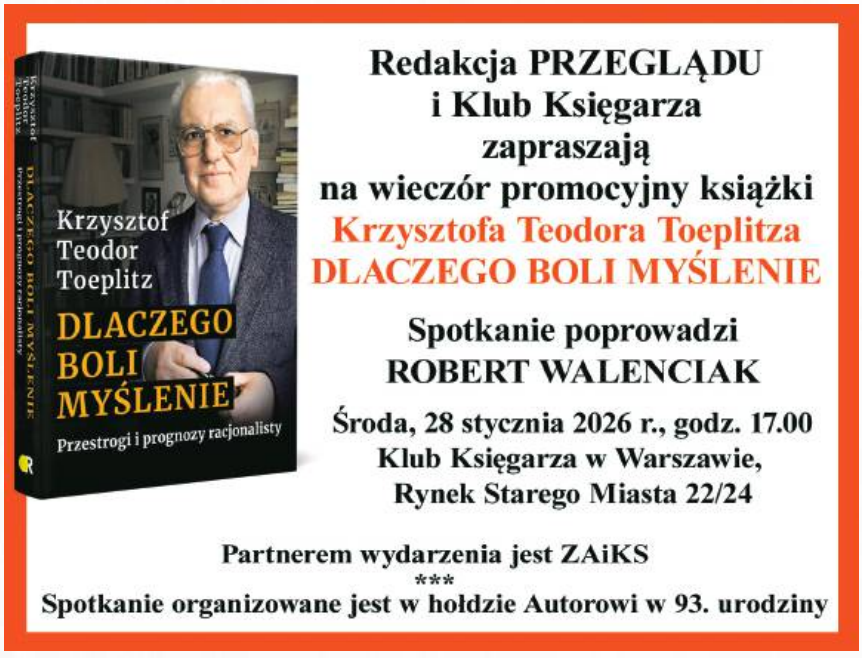
Kolejnym państwem zachodnim, gdzie przeprowadzono nacjonalizację kluczowych sektorów przemysłu, była Szwecja. Stało się to podczas budowy przez szwedzką socjaldemokrację państwa opiekuńczego w latach 60. i 70. Po rewolucji goździków program nacjonalizacji gospodarki wdrożono również w Portugalii (1974-1976).

Najbardziej ograniczony zasięg powojenna nacjonalizacja na Zachodzie miała w Niemczech Zachodnich, gdzie była wyłącznie narzędziem interwencjonizmu państwowego w sytuacjach kryzysowych, głównie w sektorze energetycznym. Zamiast nacjonalizacji preferowano współpracę państwa z kapitałem prywatnym w ramach tzw. społecznej gospodarki rynkowej, czyli niemieckiej wersji państwa opiekuńczego.

W krajach bloku wschodniego nacjonalizacja i etatyzacja, wraz z centralnym planowaniem, służyły budowaniu omnipotencji gospodarczej państwa socjalistycznego. Natomiast w Europie Zachodniej nacjonalizację traktowano jako jedno z narzędzi interwencjonizmu państwowego, niezbędnego do korygowania gospodarki rynkowej i wspierania budowy państwa opiekuńczego. Własność prywatną, mimo jej ograniczania, nadal uznawano tam za fundament ustroju gospodarczego. Dlatego nacjonalizację przeprowadzano na Zachodzie z reguły za pełnym odszkodowaniem. Nie zmienia to faktu, że zarówno w bloku wschodnim, jak i w Europie Zachodniej powojenne nacjonalizacje miały w pierwszej kolejności na celu odbudowę i modernizację gospodarek, które przeszły przez wielki kryzys i II wojnę światową. W takim kontekście należy postrzegać polską nacjonalizację z 1946 r.

Wraz z ustawą nacjonalizacyjną uchwalono w Polsce ustawę o popieraniu prywatnej inicjatywy.

Bohdan Piętka



eprasa.pl 96af58f7bc

Rozmawia Tomasz Miłkowski



WYBIERAŁAM WOLNOŚĆ

MOJA DROGA BYŁA SKOMPLIKOWANA. MOŻE PRZEZ WIELKĄ SAMOTNOŚĆ NA STARCIE ŻYCIA

Po latach nieobecności wróciłaś do Teatru Telewizji poruszającą rolą pani Alving w „Upiorach" Ibsena w reżyserii Anny Augustynowicz. Twój powrót przyniósł ci nagrodę – wyróżnienie specjalne za wybitne osiągnięcie aktorskie. Jak to przyjęłaś?

– Nie spodziewałam się jakiegokolwiek wyróżnienia. Zresztą rzadko w życiu otrzymywałam takie nagrody. I nigdy nie miałam rozbuchanego ego, żeby oczekiwać czegokolwiek w długiej i skomplikowanej pracy pod każdym względem. Pod względem drogi, którą często podążałam nie z własnego wyboru. A czasami musiałam sama podjąć decyzję, żeby zrezygnować z różnych rzeczy.

Zachowywałaś się jak pani Alving z „Upiorów"?

– Wybierałam wolność i szacunek. Wybierałam szacunek do siebie. Kierowałam się prawdą, cokolwiek robiłam. Najgłębszą prawdą i rzeczowym podejściem, na tyle, na ile potrafiłam podejść do każdej roli. Miałam szczęście, ale człowiek obiera jakąś drogę. Ktoś rzuca do ciebie tę nitkę i albo ją złapiesz, albo nie, albo ją odrzucisz. Albo wybierzesz drogę łatwą, bo jesteś pokorny, albo hamujesz w sobie to, żeby nie pokazać, że myślisz inaczej, czego innego oczekujesz.

Nawiązujesz do książki „Moja nitka", wydanej parę lat temu opowieści o drodze, którą przeszłaś.

– Moja droga była bardzo skomplikowana. Może przez wielką samotność na samym starcie życia. Ale nie mam pretensji do niczego, do losu, do tego, co przeżyłam, co musiałam przeżyć, i nie ubrałam tego w rolę ofiary. Nie. Po prostu jestem w pełni świadoma mojej drogi, błędów i innych rzeczy, które stały się w moim życiu. Tak musiało być, żeby odnaleźć siebie w świecie dorosłych, potem w świecie pracy, w świecie teatru, w świecie filmu i w świecie tej magii, w której nigdy nie zamierzałam być, bo nie śmiałam w ten sposób myśleć o mojej przyszłości.

Drogę aktorską zaczynałaś w Słupsku.

MARIA PAKULNIS
– aktorka filmowa, teatralna i radiowa, laureatka Nagrody im. Stefana Treugutta za wybitną kreację aktorską w Teatrze Telewizji.

FOT. ALIAKSANDR VALODZIN/EAST NEWS

eprasa.pl 96af58f7bc

– Jestem szczęśliwa, że właściwie los skierował mnie tam na początek drogi. Epizod Słupska wydarzył się na chwilę przed wybuchem stanu wojennego. Pamiętamy, jak wtedy to wyglądało, w jakim momencie naszego życia byliśmy. W wielkiej niewiadomej. W momencie, kiedy młody człowiek kończy studia, jeszcze takie jak ja, jest pełen wiary, pasji i nadziei, że stanie się coś ważnego. My, świeżo po warszawskiej szkole teatralnej, chcieliśmy po prostu pracować. Marek Grzesiński całej naszej grupie kończącej studia zaproponował wtedy wyjazd, bo Maciej Prus przekazywał mu teatr w Słupsku.

Pracowaliście razem zaledwie rok.

– W takim krótkim czasie, zaledwie jednego sezonu, powstało dużo wspaniałych rzeczy. Ale już po paru miesiącach wiedziałam, że trzeba będzie szybko wracać do Warszawy. Na szczęście miałam możliwość powrotu.

Zaraz po studiach dostałaś propozycję angażu w Teatrze Współczesnym, ale nie skorzystałaś.

– Głupot w moim życiu narobiłam strasznie dużo, ale odrzucenie tej propozycji było jedną z największych.

Dlaczego wtedy zrezygnowałaś?

– Dlatego że jeszcze w szkole z całą grupą umówiłam się, że wyjeżdżamy i robimy teatr z Grzesińskim. Po dyplomie ze „Snu nocy letniej" złożyliśmy sobie przysięgę, że tak się stanie. W tym momencie przyszła propozycja z Teatru Współczesnego. I ja, nieświadoma tego, co robię, powiedziałam, że nie mogę jej przyjąć, bo nie złamię danego słowa. Szaleństwo, które chyba tylko ja mogłam popełnić. Od razu miała czekać mnie premiera z Zosią Mrozowską, przed oczyma pojawiły mi się spektakle, które proponowali mi Maciej Englert i Maciej Prus, który widział mnie w dyplomach w szkole teatralnej, a ja zrobiłam coś najgorszego, co można zrobić. Wybrałam teatr w jakimś sensie studencki. Potem zrozumiałam w pełni, co znaczy dla młodego aktora praca z mistrzami, od których można się sto razy więcej nauczyć. Ale wtedy wybrałam Słupsk.

Tymczasem czekał na ciebie etat we Współczesnym.

– Nie wiem, co kierowało Maciejem Englertem, ale dał mi znać, że mogę wrócić po jednym sezonie, że mam miejsce w tym teatrze i on mnie rozumie, bo kiedyś postąpił podobnie. Więc wróciłam. Axer akurat odchodził. A odchodził „Upiorami" Ibsena. Odchodziła też Joasia Szczepkowska, która miała grać Reginę, nieślubną córkę kapitana Alvinga. Dostałam propozycję od Axera, żeby wziąć za nią zastępstwo. To była jedna z najlepszych lekcji analizy materiału do grania. Axer zrobił mi szkolenie totalne. Poprowadził mnie tak, że dałam radę.

Taka krótka przygoda wejścia w trudny spektakl spowodowała, że szybko zostałam zaakceptowana w zespole. To było dla mnie bardzo ważne, bo do końca nie zdawałam sobie sprawy, ile mogę mieć siły w przekazie. Co mogę zrobić, jakie rzeczy mogę zrobić, jak różnorodne rzeczy mogę zrobić. Ostatnio powiedział mi wybitny aktor mojego pokolenia, że właściwie to żal, że nie studiowałam w Filmówce.

Wkrótce grałaś w filmach rolę za rolą.

– I zaniepokoiłam tym samego Zygmunta Kałużyńskiego. Kiedy mnie zobaczył w Gdańsku, bo mi kazano przyjechać na festiwal, spojrzał na mnie swoim groźnym okiem, a myśmy wszyscy się go bali potwornie, i powiedział: „No i co ja mam teraz z panią zrobić?". Myślałam, że zemdleję. Nogi się pode mną ugięły: „Chryste Panie, po co ja tutaj przyjechałam?". A przyjechałam jak stałam, w tym, co miałam. Wtedy nie było tam blichtru festiwalu filmowego. Było skromnie i normalnie, biednie, ale wspaniale, bo wspaniałe rzeczy w tym czasie wybitni reżyserzy robili, mając na karku cenzurę, ale wszyscy chcieli pracować i tworzyć.

Na tym festiwalu (1986) pokazano kilka filmów, w których zagrałam, i dzięki temu zostałam laureatką nagrody za rolę drugoplanową, bo się okazało, że liczy się nie tylko król, ale i dwór, czasami nawet bardziej. Ale wracając do „Upiorów": to było duże przeżycie, tym bardziej że znalazłam się w jednej garderobie z Haliną Mikołajską, która wtedy wróciła do teatru po kilku latach nękania przez służbę bezpieczeństwa. Teatr był dla nas punktem wolności, jedynym miejscem, gdzie się nie bałam, gdzie wierzyłam, że jeżeli jestem w grupie tak wspaniałych ludzi, to doczekam dnia, kiedy wszystko zacznie wyglądać inaczej. Na każdym przedstawieniu pojawiał się Erwin Axer, siadał w fotelu, a ja przysłuchiwałam się ich rozmowom. Nie śmiałam jeszcze tak bezpośrednio się odnosić do tego, o czym mówili, ale ocierałam się o wspaniałych ludzi i to było cudowne.

Nagrodę im. Treugutta dedykuję wszystkim kobietom, które potrafią i nie boją się mówić prawdy.

Po czterdziestu paru latach wróciłaś do „Upiorów".

– Okazało się, że będę pracować z człowiekiem, z którym debiutowaliśmy razem w Teatrze Telewizji. I tym razem Zbyszek Dzięgiel stał się moim dobrym duchem. Pierwszy raz zetknęłam się ze sposobem pracy Anny Augustynowicz – dla mnie to była nowość. Szalenie mi się spodobała jej asceza i dążenie do zupełnie innego grania niż u Axera. Wymagało to ode mnie ogromnego skupienia, trzymania na wodzy emocji, które eksplodowały w mojej głowie. Ważny był tylko problem, który noszę w środku. Liczył się tekst i tylko na tym można było się oprzeć.

Okazało się, że spektakl musimy zrobić bardzo szybko. Trzeba było opanować ogromny tekst i jeszcze na tyle, aby zbudować emocje i myślenie tej kobiety, jej niezgodę na ten świat, który ją otaczał i w którym rosła, i który przerosła o epokę. To była walka o jej samostanowienie, manifest wolności kobiety. Tak to pojmowałam. Starałam się dokładnie zrozumieć Anię Augustynowicz i myślę, że osiągnęłyśmy porozumienie. Jestem wdzięczna, że coś takiego się wydarzyło, ale nie liczyłam na żadne wyróżnienia i nagrody. Tym bardziej jestem zwyczajnie po ludzku

eprasa.pl 96af58f7bc

wzruszona, a tę nagrodę dedykuję wszystkim kobietom, które potrafią i nie boją się mówić prawdy.

Zawsze byłaś „kobietą pracującą". Kiedy zdarzały się przerwy, sama organizowałaś pracę, nawet jako producentka komedii Yasminy Rezy „Życie: trzy wersje".

– Zjechaliśmy z tym przedstawieniem – Edyta Olszówka, Krzysztof Kolberger, Piotr Machalica i ja – kawał świata. Największe chyba przeżycie czekało nas w Melbourne. Nie mieliśmy dekoracji, niczego i po prostu graliśmy na czarnej scenie, postawiliśmy tylko stół i cztery czarne krzesła. Odbiór był nieprawdopodobny.

Wtedy trzeba grać bez kłamstwa, bez udawania, liczy się prawda. Twoje postacie zawsze miały w sobie ogromną prawdę, także bohaterki filmowe, by wspomnieć o Heli Bertz z „Pożegnania jesieni", filmu Mariusza Trelińskiego (1989) na podstawie powieści Witkacego.

– Moje całe życie sformatowała Hela Bertz. Obudziłam się wtedy jako dojrzała, samodzielna, świadoma siebie kobieta. Niedawno oglądaliśmy ten film z Łukaszem Maciejewskim zaproszeni do Muzeum Kinematografii. Cały czas działa na wyobraźnię, jakby wszystko miało miejsce dzisiaj. Wspomnę tylko, że przed laty na festiwalu w Sorrento odebrano go z niezwykłym entuzjazmem. Wtedy przybiegały do mnie włoskie reżyserki, krzycząc, że mam natychmiast przyjechać i że kręcimy razem filmy. Patrzyłam na nie i myślałam, że robią sobie głupie żarty. Zawsze z dystansem traktowałam oznaki uznania i uważałam, że nic mi się nie należy. Z pokorą żyję, z pokorą przyjmuję wszystko i dziś jestem szczęśliwa.

Jednak twoje filmowe szczęście zaczęło się od spotkania z Tadeuszem Konwickim, krajanem twoich rodziców, którzy też wychowali się na Litwie.

– Wróciłam w czerwcu 1981 r. do Warszawy, byłam już we Współczesnym, ale nie miałam gdzie mieszkać. Wszystkie zarobione pieniądze odkładałam na pierwsze wynajęcie mieszkania, potem szukałam tego mieszkania, znalazłam, koledzy z teatru pomogli mi odmalować pokój. I wtedy zostałam zaproszona na zdjęcia próbne do „Doliny Issy" Tadeusza Konwickiego.

Przeżyłaś moment szczęścia?

– Ale i niepewności, co to będzie. Pojechałam do wytwórni na Chełmską. Myślałam, że będę musiała jakieś teksty mówić itd., ubrałam się w moje białe giezło, dokładnie pamiętam, nie miałam zbyt wielu ubrań, ale chciałam idealnie wyglądać i z kawałka białego płótna uszyłam to giezło. Zarzucili mi tylko jakąś chustę, taką wiejską chustę – Jurek Łukaszewicz, wybitny operator, powiedział, żebym tak właśnie wyglądała i żebym raz była przerażona, a drugi raz żebym przysłuchiwała się z ciekawością. I tylko to mnie zdziwiło, że nic więcej nie muszę robić. No i dziękują. Wychodzę na plac na Chełmskiej, a w moim kierunku idzie pan Tadeusz Konwicki, podchodzi do mnie i tym schrypniętym głosem mówi coś po litewsku. A mnie rodzice nie nauczyli, nikogo z nas niczego nie nauczyli, nawet nie nauczyli nas, żeby powiedzieć „dzień dobry" po litewsku. Krew mi odpłynęła, zrobiłam nieszczęśliwą minę, powiedziałam, że go przepraszam, wsiadłam do autobusu i rozryczałam się jak dziecko.

Myślałaś, że to koniec?

– Byłam pewna, że nie dostanę tej roli, skoro nie potrafię nic powiedzieć po litewsku, i w duchu miałam taki ból, rozpacz potworną i żal do moich nieszczęsnych rodziców. Ale za jakiś czas się okazało, że był telefon do teatru i dostałam rolę.

Przychodzi jesień i dzwoni kierownictwo produkcji: „Zaczynamy kręcić na Suwalszczyźnie. Pojedzie pani taksówką z Jerzym Kamasem i Ewą Wiśniewską. Gdzie mamy podstawić taksówkę?". Podaję ulicę i numer. A po drugiej stronie słuchawki cisza. Podaję adres jeszcze raz, może nie usłyszeli, ale znowu cisza. I już, jako człowiek, który zawsze bał się ludzi, myślę sobie, że coś jest nie tak. Przecież uczciwie wynajęłam mieszkanie. „No to pani jest sąsiadką reżysera", słyszę w słuchawce.

Potem razem przeżyliśmy stan wojenny. Stałam na balkonie z panem Tadeuszem. Na ręku trzymał ukochanego kota. Pięściami wygrażaliśmy ZOMO. Dzieliłam się z nim paczkami, bo artyści dostawali paczki. Miałam ten zaszczyt być przy nim, widzieć jego delikatność i sposób pracy. Do końca życia nie zapomnę sceny, kiedy przyjechałam na plan. Zbudowali dekoracje, przygotowywali wszystko, piękny pagórek z widokiem lasu, a Tadeusz Konwicki siedział na tym pagórku na swoim krzesełku reżyserskim tyłem do nas wszystkich i patrzył na to, co go otacza. Był w swoich myślach, był w swoim świecie, pewnie w swojej tęsknocie za Litwą. Byłam więc szczęściarą. Gdyby ktoś wymyślił w scenariuszu, że wynajmuję mieszkanie, nie wiedząc, że moim sąsiadem, najważniejszym, najbliższym, jest sam pan Konwicki, a ja na dodatek dostaję rolę u niego, to wszyscy powiedzieliby, że to nieprawdopodobne.

Powiedzieliby, że to naciągane.

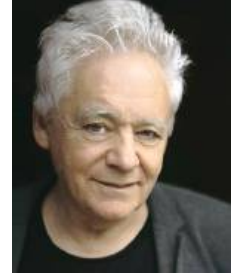
– Takie rzeczy w prawdziwym życiu się nie dzieją. A jednak. Miałam dużo szczęścia. Że Axera poznałam, że też się martwił o mój byt. Że wysyłał mi z Wiednia paczki żywnościowe, których czasem nie miałam za co wykupić. Pożyczyłam kiedyś od naszego inspicjenta 20 zł, żeby na Towarowej wykupić paczkę. W tych trudnych czasach i po bardzo trudnych przejściach życiowych miałam wiele szczęścia. I jestem za to wdzięczna. Nie wszyscy mi pomagali. Niektórzy dużo mi naszkodzili, ale przez to też trzeba było przejść. Poza tym sama się zaprosiłam na ten świat, więc nie mogę mieć pretensji do losu za to wszystko, co mnie spotkało. Tak miało być. To była lekcja życia.

Podobno przyśniłaś się mamie, kiedy była z tobą w ciąży, i prosiłaś się na świat. Wspominasz o tym w książce „Moja nitka". Tak to się zaczęło.

Tomasz Miłkowski

> Z pokorą żyję, z pokorą przyjmuję wszystko i dziś jestem szczęśliwa.

eprasa.pl 96af58f7bc



Oko w oko Tomasz Jastrun

Gnicie mózgu

Mój syn Antek od kilku miesięcy jest studentem politologii. Coraz częściej rozmawia ze mną o polityce, czasami zgodnie, czasami konfrontacyjnie. Zdarza się, że mnie bardzo irytuje. Pisałem już nieraz, jak media społecznościowe zmieniają nasze myślenie, szczególnie młodych, ale rzecz jest tak ważna, że wracam do tematu. Młodzi nie mają fundamentu wiedzy. Zalewa ich ściek internetu, gęsta breja. Nie sięgają do źródeł, nie potrafią czytać długich tekstów, lubią streszczenia. Ta breja zalewa teraz setki milionów ludzi. Większość z nich nie ma wystarczającej wiedzy ani orientacji, by rozróżnić, co jest prawdą, a co kłamstwem i manipulacją. Latarnie morskie zgasły, boje usunięto, a morze informacji nie ma brzegów. I nie ma już dawnych autorytetów, nowe autorytety to dla młodych youtuberzy. Ja nie jestem dla Antka autorytetem, nie są nimi nawet wybitni komentatorzy polityczni, nie ufa im, uważa, że setki ułamkowych informacji wyławianych z internetu zbliżają go do prawdy. Nie ma jednak takiej wiedzy, by w tym chaosie dokonywać selekcji i oceny.

Pierwszy z brzegu przykład. Mówi, że Włodzimierz Czarzasty to komunista. Ale nic nie wie o komunizmie, o tym pierwotnym, o samej idei ani o jej praktycznych mutacjach. Nie ma pojęcia, czym była Polska Ludowa, która przecież miała co najmniej trzy odmienne postacie. Oczywiście Antek z czasem będzie zdobywał tę wiedzę, w końcu chodzi na wykłady, problem, że nie czyta książek. Podsuwałem mu znakomite tomy Hariariego, klucze do świata. Jak zobaczył, jakie to grube, wpadł w panikę. Jak w szkole liczy na streszczenia.

Cała nasza kultura zmierza do tego, by być dla nowych generacji skrótem, nie sięgają do źródeł. Dramatu dopełnia AI. Sam zaczynam się od niej uzależniać, co chwilę z nią rozmawiam i o coś pytam. Mój przyjaciel psychiatra Sławek Murawiec dzieli się ze mną wrażeniem, że przemiany w psychice ludzi zachodzą tak szybko, że brakuje w psychiatrii języka, aby nazywać nowe zjawiska i opisywać nowe problemy psychiczne. Nie mamy słów ani aparatu pojęciowego, które nadążają za zmianami. Nasz mózg poddawany jest nadmiarowi bodźców. Określenie *brain rot* (gnicie mózgu) zostało terminem roku według Uniwersytetu Oksfordzkiego. Nasz mózg choruje z powodu nadmiaru. To szczególnie dotyka generację Alfa, urodzonych po roku 2010. Antek jest na granicy, młodszy Franek załapuje się. Sławek mówi o zanikaniu przestrzeni psychicznej na namysł, przetwarzanie informacji następuje teraz powierzchownie, błyskawicznie. To zmienia człowieka, inaczej wchodzimy w związki z ludźmi, inaczej jesteśmy sami ze sobą, odmienne stają się nasze relacje ze światem. Powstaje nowy człowiek, ale coś z nim jest nie tak, skoro u dzieci mnożą się nerwice, stany lękowe, panuje epidemia depresji.

Powstaje nowy człowiek, ale coś z nim jest nie tak.

•

Prezes o Braunie: „Nigdy z nim nie rozmawiałem i uważam go za polityka, który dalece przekroczył te granice, które są nieprzekraczalne dla polityków w naszej sferze cywilizacyjnej. On się w tym nie mieści". Podkreślił, że ma nadzieję, że przedstawiciele partii Brauna nie wejdą do Sejmu. Dalej mówił: „Nie jestem zwolennikiem represji, ale uważam, że ta formacja powinna zostać na marginesie. Poza tym są te kwestie jego różnych obecności w Moskwie. Jest mnóstwo przesłanek, żeby powiedzieć: tu jest granica i my jej nie będziemy przekraczać". Ano właśnie, wybitność prezesa polega też na tym, że przekracza wszelkie granice. Braun okropny, ale Tusk jeszcze gorszy, prezes poświęci się dla Polski i przytuli do Brauna w potrzebie. Będzie mało przyjemnie, bo Braun wydziela przykry zapach. Wszystko znowu wina Tuska.

•

„Ogranicza mnie jedynie moja własna moralność. Mój własny umysł. To jedyna rzecz, która może mnie powstrzymać", powiedział prezydent USA Donald Trump, objaśniając swoje działania na arenie międzynarodowej. Problem, że Trump już dał nam poznać swoją moralność. Identycznie mógłby powiedzieć Putin, też tak myśli, ale nie jest tak głupi, by to mówić na głos.

Porusza mnie rewolucja w Iranie, nieszczęsny ludny kraj w dybach religijnej dyktatury, wspaniała kultura, mili ludzie. Trump również tu grozi interwencją. I co? Chciałbym, żeby Stany pomogły rewolucji. Nie potrafię tego nie chcieć, chociaż to byłoby znowu pogwałcenie prawa międzynarodowego. Ale bez pomocy z zewnątrz Irańczycy mogą nie dać rady. Ajatollahowie wynajmują siepaczy z innych krajów do tłumienia demonstracji, więc czemu nie ma być interwencji z zewnątrz w dobrej sprawie? Czasami sumienie nie pozwala nam na bycie konsekwentnym. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 96af58f7bc



STEFAN GIEROWSKI: CIEKAWOŚĆ PODGLĄDANIA NIESKOŃCZONEJ PRZESTRZENI

TAO ŚWIATŁA I KOLORU

Daniel Wójtowicz

W awangardowym centrum światowej kultury, 30-milionowym Szanghaju, wielkim wydarzeniem artystycznym stała się prezentacja obrazów Polaka, Stefana Gierowskiego (1925-2022). Jej kurator, uznany brytyjski ekspert, były dyrektor londyńskiego Instytutu Sztuki Współczesnej Philip Dodd, twórczość naszego abstrakcjonisty określa wręcz mianem objawienia.

Co powoduje, że w miejscu będącym syntezą nowoczesności naszej cywilizacji popularyzatorzy sztuki zwrócili oczy (i to nie po raz pierwszy) akurat na tego polskiego malarza i jego abstrakcyjne dzieła? Odpowiedzi na to pytanie mogłem szukać bez kosztownej podróży do Szanghaju – w Warszawie. W salach Fundacji Stefana Gierowskiego przy Placu Dąbrowskiego trwa właśnie duża, przeglądowa wystawa prac tego autora, zorganizowana w 100-lecie jego urodzin. Jej tytułem stało się wyznanie artysty: „Malowanie jest radością".

Faktycznie – tę radość czuje się od wejścia. Przestronne pomieszczenia galerii fundacji mającej siedzibę w starej kamienicy w samym sercu miasta wypełnia nadspodziewanie dobra energia. Wnosi ją nie tylko urzekająca, pogodna kolorystyka wielu obrazów. Większe znaczenie zdaje się mieć doskonała harmonia kompozycji, geometria obrazowanych kształtów i niezwykłość ich prostoty. Zadziwiające, że przy swojej abstrakcyjności wywołują wrażenie nie przypadkowych, lecz głęboko przemyślanych – wymownych i intrygujących.

Klasyk abstrakcji

O Gierowskim mówią, że stał się „klasykiem abstrakcji". Poświęcił jej nie tylko większość swojej twórczości, ale również, jako profesor ASP, wiele rozważań teoretycznych. Podkreślał w nich, że w malarstwie wcale nie wszystko, co niefiguratywne, może zostać uznane za abstrakcję. Być nią może wyłącznie uwidocznienie ściśle obmyślonego obrazu, ukształtowanego w mózgu człowieka i mającego konkretne znaczenie. Abstrakcją jest tylko „wyjątkowy sposób spojrzenia, zrozumienia i pokazania tego, co w rzeczywistości wydaje się nieosiągalne. A jednak".

Wyklucza to, jak rozumiem, wszelką przypadkowość obrazu abstrakcyjnego. To doniosłe założenie – określa bowiem abstrakcję jako konkret, tyle że nie z tego świata. Jeszcze niedawno zabrzmiałoby to absurdalnie, dziś jednak wiemy, że w fizyce większość stanowią obszary nam nieznane. Dzieła Stefana Gierowskiego są ich twórczą wizją. Pokazuje się w nich jako wytrawny przewodnik. Czy ma to związek z opisanym w komentarzach do wystawy w Szanghaju powiązaniu myślenia tego twórcy z filozofią taoizmu? A zwłaszcza z przekonaniem o powszechnej równowadze panującej we wszechświecie? Trudno nie pomyśleć, że to ją Gierowski stara się obrazować.

Już jakiś czas temu zaskoczył mnie i całkowicie urzekł cyklem obrazów opartym na dekalogu „Malowanie Dziesięciorga Przykazań", wystawionym na stałe w muzeum w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. Ilustrują one kolejno przykazania boże w formie kompozycji abstrakcyjnych – zamysł, który wydaje się niewykonalny, autor jednak zrealizował, i to tak, że trudno od tych prac oderwać oczy. Wypełniają one salę w muzeum niezwykłą aurą, która wywołuje w odbiorcy podniosły, tajemniczy stan ducha, jeszcze zanim spróbuje zrozumieć zobrazowane treści. Wyraźnie odczuwamy tam alchemię kolorów – ich metafizyczny wpływ na naszą wyobraźnię i psychikę. Gierowski doskonale rozumie, jak barwy wpływają na percepcję, stosuje je więc świadomie – skupia się wręcz na tym aspekcie twórczym,

eprasa.pl 96af58f7bc



„Malowanie jest radością!"
– widok ogólny wystawy

„Malowanie Dziesięciorga Przykazań"
– widok ogólny wystawy

który magię barw zamienia w konkretne emocje.

W jego dekalogu każdy obraz został w autorskim komentarzu wytłumaczony – nawet nieprzygotowany widz zrozumieć może kolory, które „cudzołożą", bo znajdują się tam, gdzie nie powinny, te które „kradną" moc innym czy wręcz się „zabijają".

W stronę nieskończoności

„Czy kolor może zastąpić słowo?", retorycznie pyta w którymś z komentarzy Gierowski. Swoim dekalogiem udowadnia, że jest to możliwe. W dobie tak powszechnego przechodzenia ludzkości na komunikację powiązaną ściśle z transmisją światła, jego widm w postaci kolorów oraz niesionych przez nie obrazów, doświadczenia Gierowskiego mają znaczenie chyba nie tylko twórcze, lecz także cywilizacyjne. Sztuka zawsze była zaczynem zmian myślenia człowieka. Gdzie, jak nie w Chinach, może to być lepiej rozumiane?

W abstrakcyjnych obrazach Gierowskiego panuje strukturalny porządek. Musi to mieć związek z jego rozumieniem znaczenia geometrii i matematyki dla opisu świata, a jeszcze bardziej – logiki władającej jego budową. W dziełach tego artysty pojawiają się kolorowe płaszczyzny i pola, stykające się w dość oczywistym porządku bądź w zaskakujący sposób na siebie zachodzące.



Obraz DCCXXXV, 1999

Są też zagadkowe figury i linie podążające nie wiadomo dokąd. „Im prościej działa linia, tym większa energia poza obrazem", mówi autor w komentarzu. Linie proste są dla niego obiektem szczególnym, gdyż biegną w nieskończoność i tym samym podkreślają jej istnienie oraz obecność w jej obszarze nieznanego nam celu. „Nieskończona przestrzeń została otwarta", konstatuje autor bez cienia wątpliwości i dopowiada: „Zrodziła się wielka ciekawość podglądania aktywnej głębi przestrzeni", co w dużym stopniu tłumaczy motywację jego twórczości i wskazuje na jej kosmologiczny charakter. W ten szczególny sposób wyprowadza nasze myślenie poza znany nam świat, pewnie w obręb wszechświata. „Nieskończoność stała się rzeczywistością", woła.

Z opisu wystawy prac Gierowskiego w Szanghaju wynika, że jedna z jej części ukazuje właśnie jego artystyczną reakcję na eksplorację kosmosu. Są także prace będące wizją aktywności światła w przestworzach, prowadzące, jak wskazuje komentarz, do jedynych w swoim rodzaju odpowiedzi.

Ukazują one wciąż nierozpracowane zjawisko światła jako jakość zarówno fizyczną, jak i metafizyczną. Jako język przyszłości i porozumienia naszej cywilizacji ze wszechświatem. Brzmi to z pewnością abstrakcyjnie, ale czy rzeczywistość, w jaką wprowadza nas aktualnie nauka i nowoczesna technologia, nie znajduje się już daleko poza naszą wyobraźnią? To pytanie, które zwłaszcza w Chinach nie jest już chyba niedorzeczne. Pewnie właśnie tam mają największą świadomość konieczności przygotowania ludzkiej mentalności do ogarnięcia zupełnie nowej materii, do wyjścia daleko poza znany nam świat. Wiadomo, że nic nie uczyni tego lepiej i szybciej niż sztuka. Stąd pewnie tak żywe zainteresowanie Stefanem Gierowskim. Czyżby to Polak miał poprowadzić ludzkość ku przyszłości?

Malowanie jest radością!
100. rocznica urodzin Stefana Gierowskiego
Galeria sztuki – Fundacja Stefana Gierowskiego
Warszawa, Pl. Dąbrowskiego 8

w nawiązaniu do wystawy
That's How the Light Gets in. The Art of Stefan Gierowski
Fosun Foundation w Szanghaju
do 25 stycznia

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ (3)

eprasa.pl 96af58f7bc

Zdrowie zaczyna się od jelit

WOŚP na rzecz zdrowych brzuszków dzieci



Rozmawia Beata Igielska

Prof. dr hab. PIOTR ALBRECHT
– specjalista z dziedziny pediatrii, gastroenterologii i gastroenterologii dziecięcej, były wieloletni kierownik Kliniki Gastroenterologii i Żywienia Dzieci Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Kiedy próbowałam dodzwonić się do gastroenterologów dziecięcych, dowiedziałam się, że jesteście obecnie jednymi z najbardziej zajętych specjalistów.

– Faktycznie, jesteśmy przeciążeni zwłaszcza w szpitalu. W Warszawie są tylko dwa oddziały gastroenterologiczne dla dzieci – w Centrum Zdrowia Dziecka, które obsługuje całą Polskę, a dla całego Mazowsza jest oddział, w którym nadal pracuję. Ma 18 łóżek plus często zajęte tzw. miejsca korytarzowe i ponad rok trzeba czekać w kolejce na planową hospitalizację.

Z jakimi dolegliwościami dzieci do was trafiają? Coś jest na rzeczy, skoro nagle gastroenterolog dziecięcy stał się tak niezbędny.

– No, nie „nagle”. Patrząc na problem choćby przez pryzmat zaparć, 40% porad gastroenterologicznych jest udzielanych z tego powodu. Absorbuje nas ta jedna choroba, teoretycznie błaha. Obecnie zajmują nas również nieswoiste zapalenia jelit, czyli wrzodziejące zapalenie jelita grubego oraz choroba Leśniowskiego-Crohna. Niezliczone bóle brzucha, w większości przypadków spowodowane stresem szkolnym, rozwodem rodziców itp. czynnikami stresującymi. Poza tym narasta problem eozynofilowego zapalenia przełyku.

Co to takiego?

– To zapalenie wywołane eozynofilami, tzw. krwinkami kwasochłonnymi, mającymi pewien związek z reakcją alergiczną. Tworzy się naciek wywołany przez te komórki, które normalnie w niewielkiej ilości występują we krwi. Zgromadzone w nadmiarze w przełyku prowadzą do zapalenia i objawów zwanych dysfagią, czyli utykania kęsa pokarmowego i bólu przy połykaniu.

eprasa.pl 96af58f7bc

Rozumiem, że również nieswoistych zapaleń jelit jest coraz więcej?

– Tak. Choroba Leśniowskiego-Crohna występuje coraz częściej w całym cywilizowanym świecie, choć należy do grupy chorób rzadkich. Poza tym narasta problem różnego typu zatruć, w tym przebiegających z uszkodzeniem wątroby. Są też dziesiątki połkniętych ciał obcych, które trzeba wyjmować, albo zdarzają się poparzone przełyki. Rodzice często na nic nie mają czasu, dziećmi nie bardzo się zajmują, więc one łykają, co popadnie.

Co się robi z poparzonym przełykiem?

– Poza konieczną gastroskopią niezbędne jest żywienie przez sondę, czasem żywienie dożylne, antybiotykoterapia, sterydoterapia, długotrwała obserwacja i hospitalizacja. Zdarzają się poważne uszkodzenia na całe życie. Najniebezpieczniejsze pod tym względem są ługi (Kret), a także utykające w przełyku baterie zegarkowe.

W jakim stanie dzieci trafiają na oddział gastroenterologii? Czy rodzice w miarę wcześnie reagują na dolegliwości brzuszkowe?

– Czasem reagują wręcz za wcześnie. Jak dziecko raz zaboli brzuch, a każdego może zaboleć, natychmiast jadą na SOR. Są przewrażliwieni, a w dodatku, jak się naczytają w internecie, że ból brzucha może doprowadzić do raka... Dzieci nie chorują na raka jelit i żołądka, ale rodzice szukają tego, co najgorsze.

Jaka powinna być zatem reakcja rodziców, jeśli dziecko skarży się na ból brzuszka, żeby od razu nie pędzić na SOR? Czy jeśli ból się powtarza, badać kalprotektynę w kale (marker stanu zapalnego jelit; jego podwyższone stężenie świadczy o procesie zapalnym, który może być związany z nieswoistymi zapaleniami jelit – przyp. red.)?

– Nie, o badaniu kalprotektyny musi zdecydować lekarz, nie można tak sobie badać, dlatego że kalprotektyna może być podwyższona przy każdej infekcji jelitowej, również wirusowej. Jeśli rodzice zobaczą podwyższone stężenie kalprotektyny, a wiedzą, że to może być związane z nieswoistym zapaleniem jelit, nie będziemy mogli się opędzić od pacjentów do gastro- i kolonoskopii. Zupełnie niepotrzebnie. Kalprotektyna nie jest więc pierwszym zlecanym badaniem. Natomiast niepokoić powinny stałe, wybudzające ze snu bóle brzucha, którym towarzyszy biegunka, utrata masy ciała, bóle stawowe, niewyjaśnione gorączki – wtedy mamy czego szukać w jelitach. Pamiętać oczywiście trzeba o bólu wyrostkowym, ale tu progresja dolegliwości jest zazwyczaj typowa.

Co oprócz nieswoistych zapaleń znajdujecie w jelitach dzieci?

– Czasem chorobę wrzodową, czasem zakażenie wywołane przez *Helicobacter pylori*. Najczęstsze są choroby infekcyjne, nie pasożytnicze, tylko bakteryjne i wirusowe. One są przejściowe i krótkotrwałe. Niekiedy spotykamy także polipy, ale trzeba pamiętać, że u dzieci nie zwiastują one raka. Są też najczęściej ostre zapalenia trzustki.

U dzieci?!

– A dlaczego nie? Mamy albo nawrotowe, genetycznie uwarunkowane zapalenia trzustki, albo doraźne, najczęściej powirusowe. Szczęśliwie nie zdarzają się tak ciężkie przypadki jak u dorosłych, dla których zapalenia trzustki mogą być śmiertelne.

Czy na dziecięce choroby jelit profilaktycznie może wpłynąć odpowiednia dieta?

– Zapobiec nieswoistym zapaleniom jelit na razie niestety nie umiemy, aczkolwiek jedzenie powinno być świeże! Oczywiście zdrowa dieta śródziemnomorska bez najprzeróżniejszych dodatków, które w tej chwili są we wszystkim. Tak zwana żywność wysokoprzetworzona, przemysłowe produkty z dużą ilością cukru, soli, tłuszczów i chemicznych dodatków – konserwantów, barwników, o niskiej wartości odżywczej: słodycze, fast foody, chipsy, parówki, słodzone napoje czy zupy i sosy w proszku, niewątpliwie sprzyjają rozwojowi chorób jelit. Ale sprzyja im również nadmierne stosowanie antybiotyków. Natomiast najbardziej do tej grupy chorób predysponują geny.

Kiedyś opowiadał pan o nawiedzonych mamuśkach, które wszystko dzieciom odtłuszczają, a to wcale nie jest właściwe.

– Za mała dawka tłuszczu w okresie wzrastania nie jest wskazana. Nie da się zastąpić tłuszczów, bo trzeba by jeść ogromne ilości, a trudno zjeść 3 kg sałaty i jeszcze coś do tego, żeby uzyskać te same kalorie.

Czyli trzeba być rozsądnym i podawać dzieciom tłuszcz.

– Najzdrowsza jest dieta śródziemnomorska oparta na oliwie z oliwek. Ale też masło przynajmniej do czwartego roku życia jest zalecane, a nie odradzane. Trafia do mnie wiele dzieci, które nie przybierają na

Częste wśród dzieci są nieswoiste zapalenia jelit, czyli wrzodziejące zapalenie jelita grubego oraz choroba Leśniowskiego-Crohna.

Najmłodsi cierpią na bóle brzucha, w większości spowodowane stresem szkolnym czy rozwodem rodziców.

Prof. dr hab. Piotr Albrecht – wykonał ponad 16 tys. endoskopii górnego i dolnego odcinka przewodu pokarmowego z polipektomiami, rozszerzaniem przełyku i usuwaniem różnorodnych ciał obcych z żołądka i przełyku. Były członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego. Redaktor naukowy podręcznika „Gastroenterologia dziecięca. Przewodnik lekarza praktyka". Redaktor czasopisma „Forum Pediatrii Praktycznej".

eprasa.pl 96af58f7bc

wadze tylko dlatego, że mają „zdrową, chudą dietę". Trudno z powietrza przytyć. Nikomu to jeszcze się nie udało. A przecież dziecko biega, skacze i wykonuje mnóstwo aktywności. Jak nie dostanie kalorii, w tym pochodzących z tłuszczów, to nie ma siły i rosnąć nie będzie.

Czyli apelujemy do rodziców o znalezienie złotego środka. Żadna przesada nie jest zdrowa.

– Nie należy przesadzać ani w jedną, ani w drugą stronę, że albo dieta bez tłuszczu, albo natychmiastowe włączanie diety bezglutenowej bez zdiagnozowania celiakii, diety bez tego, bez tamtego. Jak jest wszystko „bez", to, po pierwsze, jest niesmaczne i dziecko nie chce jeść. A po drugie, „bez, bez, bez" to się nie da żyć.

Ale te dzieci jakoś żyją i później trafiają na wasz oddział.

– No, tak to niestety wygląda.

Z naszej rozmowy wynika, że przyczyną bólów brzuszka bywają współczesne, „oświecone" matki.

– Tak, przyczyną bólów brzuszka są często współczesne matki, które cały czas pytają swoje biedne dzieci, czy ich brzuchy nie bolą. No to one się fantastycznie czują, bo są w centrum uwagi. Uwagę matki można skierować na siebie za pomocą jedzenia, siusiu, kupki i spania.

Jedzenie jest najskuteczniejsze. No więc jeśli dzieci zorientują się, że matka co rano pyta, czy brzuszek nie boli, odpowiadają: boli. Jest udowodnione naukowo, że takie zainteresowanie powoduje, że dziecko zaczyna się interesować swoim wnętrzem. A jak człowiek długo w swoje wnętrze się wsłuchuje, to usłyszy różne rzeczy.

Najgorsze jest to odbijanie się od ściany do ściany. Jedne mamy stosują nadmiarowe diety – bez tego i owego; co gdzieś usłyszą, natychmiast ćwiczą na dzieciach. Albo odwrotnie, dzieci jedzą dużo żywności przetworzonej, jak parówki, piją hektolitry soków zagęszczonych.



Oddział Gastroenterologii, Hepatologii, Zaburzeń Odżywiania i Pediatrii w Instytucie Pomniku – Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

– Soki pite litrami mają być zdrowe? Dorosły człowiek powinien wypijać nie więcej niż 150 mililitrów soku na dobę, a co dopiero dziecko. Czy jakiś pierwotny człowiek pił soki? Od czasu do czasu zjadł owoc, jak udało mu się go zdobyć.

Jakie macie potrzeby w gastroenterologii? Co by wam się przydało, skoro Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy w tym roku dla was zbiera pod hasłem „Zdrowe brzuszki naszych dzieci"?

– Jeśli chodzi o sprzęt, którego używamy w gastroenterologii, postęp technologiczny jest olbrzymi. Szpitali jednak nie stać na zakup nowoczesnych gastroskopów, kolonoskopów, sprzętu do manometrii przełyku, odbytu, pH-impedancji, akcesoriów do zabiegów endoskopowych. Mniej więcej 20 lat temu Orkiestra zakupiła nam endoskopy i nadal funkcjonują, choć zużywają się. Teraz są nowocześniejsze, lepsze, pozwalające więcej zobaczyć i więcej zrobić. Bo endoskopowo wykonujemy również wiele zabiegów, jak polipektomię, czyli wycinanie polipów z jelita grubego, przełyku, żołądka. Wykonujemy poza tym rozszerzanie przełyku, jeżeli jest zwężony. ECPW, czyli endoskopową cholangiopankreatografię wsteczną. Jest to metoda diagnostyczna będąca połączeniem badania endoskopowego i rentgenowskiego. Endoskopowe kontrastowanie dróg żółciowych i trzustkowych, żeby stwierdzić, czy nie ma kamicy. Endoskopowo możemy też usuwać kamienie. Do tego wszystkiego potrzebne są nowe sprzęty. Brakuje także sprzętu do endosonografii, czyli połączenia ultrasonografii z endoskopią.

Czyli wy, gastroenterolodzy dziecięcy, cieszycie się z tego, że WOŚP zbiera w tym roku na brzuszki?

– Zdecydowanie się cieszymy. Klinika, w której pracuję, jako ośrodek akademicki sprzętowo stoi nienajgorzej, ale nie mówię, że idealnie i że nie mamy potrzeb. Chcielibyśmy mieć lepsze możliwości diagnostyczne, a te są związane z bardzo drogim sprzętem. Jeden endoskop kosztuje ok. 200 tys. zł, a potrzeba ich paru, bo musimy mieć wymiarowe: dla niemowląt, dla dzieci starszych

Niepokoić powinny stałe, wybudzające ze snu bóle brzucha z biegunką, utrata masy ciała, bóle stawowe czy niewyjaśnione gorączki.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, INSTYTUT „POMNIK-CENTRUM ZDROWIA DZIECKA"

eprasa.pl 96af58f7bc

i prawie dorosłych i na dodatek kilka na stanie, aby mieć czas na sterylizację.

Wiem, że lekarze pierwszego kontaktu nie zawsze sobie radzą z rozpoznawaniem różnych schorzeń. Jak to jest w przypadku pediatrów?

– Jeśli chodzi o pediatrów, jest trochę lepiej niż w przypadku lekarzy rodzinnych dla dorosłych. Ale im dłużej pracuję, tym bardziej dostrzegam brak postępu w poziomie nauki na studiach, a wręcz widać regres – w kształceniu, w prawidłowym rozpoznawaniu chorób. Kiedy studiowałem, na moim roku było 200 ludzi. W tej chwili jest 600, a asystentów tylu, ilu było za moich czasów. No to jak można kształcić na odpowiednim poziomie? Trend jest taki, żeby uczyć na fantomach i oglądać na komputerach – wszystko odbywa się poza człowiekiem. Potem lekarze nie potrafią ani się dogadać z pacjentem, ani go porządnie zbadać. Albo od razu chcą zrobić wszystkie istniejące badania. Coś takiego w żadnym, nawet najbogatszym kraju na świecie nie jest możliwe. I w większości przypadków okazuje się niepotrzebne.

Z czego wynika nadmiarowa diagnostyka?

– Ze strachu. Wszędzie za drzwiami stoi prawnik, który od razu chce doktora podać do sądu. Pacjenci coraz częściej wierzą tylko w internet, a lekarzom nie wierzą. Albo każą wszystko sprawdzać, a nawet jeśli nie proszą o skierowania na badania, lekarz sprawdza, bo się boi prokuratora, sądu i zlinczowania przez dziennikarzy.

Dlatego pytałam, w jakim stanie trafiają do was dzieci, bo jeżeli jest taka naddiagnostyczność albo nierozpoznawanie na czas...

– Parę dni temu przyjęliśmy pacjentkę. Dawno nie widziałem tak ciężkiej postaci choroby Leśniowskiego-Crohna. Rozpoznanie można było postawić siedem miesięcy temu. Ale objawy nikomu z niczym się nie skojarzyły. Tak nie powinno być.

Ponieważ cały czas pan wraca do choroby Leśniowskiego-Crohna, jakie są jej objawy u dzieci?

– Głównie przewlekła biegunka, może być biegunka z krwią, intensywne bóle brzucha, również nocne, a nie że od czasu do czasu brzuszek zaboli, bo dziecko nie chce iść do szkoły. Poza tym chudnięcie. Po roku lub dwóch trafiają do nas pacjenci z zauważalnym, kilkulub kilkudziesięciokilogramowym spadkiem masy ciała z powodu Leśniowskiego-Crohna.

Czyli chodzą dwa lata po lekarzach i nic?!

– Ci jakoś ich próbują leczyć... Gdyby dobrze się przyjrzeć objawom, pacjenci mają pełne spektrum, ale nikt się nie przygląda.

zdawałem na studia, musiałem napisać wypracowania z czterech przedmiotów. Miałem rozmowę kwalifikacyjną oraz rozmowę sprawdzającą ogólną wiedzę i rozwój: czy chodzę do teatru, co ostatnio widziałem, czy chodzę do kina. To było za „ciężkiej komuny", za przeproszeniem. A co teraz? Kandydat na lekarza ma punkty na maturze, więc go przyjmują, a on w ogóle się nie nadaje do wykonywania tego zawodu. Z nikim nie potrafi się porozumieć, bo siedzi tylko w telefonie i w komputerze. A pacjent z reguły oczekuje rozmowy.

Trafia do mnie wiele dzieci, które nie przybierają na wadze tylko dlatego, że mają „zdrową, chudą dietę".

To może wynikać właśnie z niedostatków w kształceniu, o których pan mówi.

– W dużej mierze tak. Świat zwariował kompletnie, jeśli chodzi o kształcenie lekarzy. Rezygnuje się z podstawowych rzeczy, stosuje punktozę, nie rozmawia; sprawdzanie wiedzy jest oparte na testach, a testy są oparte głównie na pamięci, a nie na myśleniu. Zajmuję się studentami już 50 lat i muszę powiedzieć, że są coraz słabiej przygotowani do pracy z pacjentem. Gdy

Teraz na specjalizację zdaje się tylko test. Jak dobrze zdasz, już cię więcej nikt o nic nie pyta. Ja na specjalizację zdawałem egzamin testowy, ustny i praktyczny.

Czyli liczy się głównie praktyka. Wtedy dziecięce brzuszki będą się miały lepiej.

– Oczywiście, ale wszystko zmierza w zupełnie innym kierunku. Mam 76 lat, więc pewnie mówię jak starzec, że wszystko jest do niczego, ale tak to widzę.

Beata Igielska



eprasa.pl 96af58f7bc



POŻEGNANIE Z „SILNĄ WOLĄ”

Jak nowa generacja leków zmieniła podejście do leczenia otyłości

Marek Czarkowski

Według Światowej Organizacji Zdrowia na otyłość – definiowaną jako wskaźnik masy ciała (BMI) powyżej 30 – cierpi ponad 650 mln dorosłych na świecie. W Polsce problem dotyczy ponad jednej piątej dorosłych. To nie jest tylko kwestia wyglądu – to prosta droga do cukrzycy typu 2, nadciśnienia, chorób serca, udaru, nowotworów, a nawet przedwczesnej śmierci.

Osoby z nadwagą przez lata słyszały, że – by schudnąć – powinny mniej jeść i więcej się ruszać. Większość przechodziła na dietę. Popularnością cieszyły się: dieta kapuściana, Dukana, dr Dąbrowskiej, *low carb* i Atkinsa. Większość odchudzających się zaczynała też ćwiczyć. Po jakimś czasie część rezygnowała – i wracała do poprzedniej wagi. Cykl ten powtarzał się w nieskończoność.

Od kilku lat lekarze osobom otyłym mówią coś innego. Otyłość to nie kwestia silnej woli. To choroba przewlekła, którą można i trzeba leczyć. Następnie wręczają im receptę na leki, które – jak dziś już wiemy – zmieniają życie. Ich nazwy brzmią jak zaklęcia: Ozempic, Wegovy, Mounjaro, Zepbound. Zwłaszcza ten pierwszy zyskał szczególny status. Wprowadzony przez koncern Novo Nordisk na rynek amerykański na przełomie 2017 i 2018 r. jako lek na cukrzycę typu 2 stał się za sprawą Hollywood modnym środkiem w walce z otyłością.

Słynące z bujnych kształtów aktorki Kathy Bates, Amy Schumer, Rebel Wilson, Sharon Osbourne i wiele innych przyznały się do stosowania Ozempicu. Doszło do tego, że mimo wysokiej ceny – od 850 do 936 dol. miesięcznie – leku zaczęło brakować dla osób chorych na cukrzycę.

Produkowany przez koncern Eli Lilly konkurencyjny lek Mounjaro, który stosowały m.in. aktorka Whoopi Goldberg i gwiazda telewizyjna Oprah Winfrey, jak również miliarder Elon Musk, był jeszcze droższy – jego cena wynosiła 1-1,3 tys. dol. miesięcznie. Utrata wagi sięgała 20-28%, więc opłacało się mimo występujących czasem skutków ubocznych, takich jak nudności, wymioty czy biegunka. Zwykle były one łagodne lub umiarkowane i ustępowały po kilku tygodniach. Niestety, zdarzały się też poważniejsze komplikacje, takie jak pogorszenie, a nawet utrata wzroku.

Jednak ta generacja leków zmieniła nasze rozumienie otyłości i sposobów radzenia sobie z nią. Stało się jasne, że stanęliśmy na progu rewolucji, która radykalnie przeobrazi znane dotychczas sposoby leczenia cukrzycy i otyłości. Zwłaszcza gdy na horyzoncie pojawiły się jeszcze potężniejsze medykamenty: Retatrutyd, Amykretyna, CagriSema.

Otyłość – zaburzenie metaboliczne

Lekarze doszli do wniosku, że otyłość to nie kwestia słabego charakteru, lenistwa czy braku samodyscypliny pacjentów, lecz złożona, przewlekła choroba metaboliczna, w której uczestniczą dziesiątki hormonów, setki genów i tysiące połączeń nerwowych w mózgu i która powinna być rozpatrywana razem z cukrzycą i nadciśnieniem.

Prof. Leszek Czupryniak kierujący Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego w ubiegłym roku mówił w wywiadach: „Otyłość to ciężka, przewlekła choroba, trudniejsza do leczenia niż cukrzyca, z nawrotami. U osoby z otyłością uczucie sytości nie działa i w sumie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 96af58f7bc

do tej pory nie wiemy, dlaczego tak się dzieje". Podkreślał, że insulinooporność nie jest przyczyną otyłości, lecz jej objawem. Identyczny pogląd prezentowali inni lekarze, którzy dowodzili, że przyczyny są różne, mogą mieć podłoże genetyczne, psychologiczne i hormonalne. Leczenie otyłości jest zatem bardziej skomplikowane, niż dotychczas się wydawało.

Badania wykazały, że u osób z dużą nadwagą mózg reaguje inaczej na jedzenie. Hormony głodu i sytości – leptyna, grelina, GLP-1, GIP – nie funkcjonują prawidłowo. Diety i ćwiczenia pomagały, lecz u wielu pacjentów efekty były krótkotrwałe. Organizm bronił się przed utratą masy ciała, zwalniając metabolizm i nasilając uczucie głodu. Pojawiał się efekt jo-jo. Stało się też jasne, że jeśli problem tkwi w zaburzonych hormonach i sygnałach w mózgu, to można je „naprawić" farmakologicznie.

Początki leków na otyłość nie były łatwe. Pierwszy specyfik blokujący wchłanianie tłuszczów, Orlistat, został wprowadzony na rynek w roku 1998 i powodował kłopotliwe biegunki. A pomagał schudnąć zaledwie o 3-5 kg. Nikogo to nie satysfakcjonowało.

Przełom nastąpił po roku 2018. Pojawienie się takich substancji jak semaglutyd (Ozempic) – naśladujących działanie naturalnych hormonów – zmieniło wszystko. Chodzi głównie o GLP-1, hormon wydzielany w jelitach po posiłku, który sygnalizuje mózgowi: wystarczy, jestem najedzony.

W dużych badaniach klinicznych po jego zastosowaniu ludzie tracili średnio 12-15% masy ciała. Dla osoby ważącej 100 kg spadek masy ciała o 15 kg już oznaczał różnicę między cukrzycą a zdrowiem, między bólem stawów a swobodą ruchów.

To jednak nie wszystko. Kolejne badanie, z udziałem ponad 17 tys. pacjentów z chorobami serca, wykazało, że semaglutyd obniżał ryzyko zawału serca i udaru o 20%! Okazało się, że był to nie tylko lek na cukrzycę i otyłość. To była terapia ratująca życie.

Konkurencja poszła jeszcze dalej. Produkowany przez firmę Eli Lilly tirzepatyd – w Europie znany pod nazwą handlową Mounjaro – powodował średnią utratę masy ciała o 20,2%. Prawie połowa korzystających z niego pacjentów straciła ponad 20 kg. A co trzecia osoba – ponad 25 kg.

To były wyniki, o jakich jeszcze dekadę temu można było pomarzyć tylko po operacji żołądka – a przy tym bez ryzyka poważnych powikłań, bez nieodwracalnych zmian w organizmie.

Na rejestrację czekają kolejne nowe leki. W grudniu 2025 r. koncern Eli Lilly opublikował wyniki pierwszego etapu badania klinicznego III fazy dla Retatrutydu – leku, który aktywuje receptory GLP-1, GIP i dodatkowo glukagonu – hormonu, który podkręca metabolizm i zwiększa spalanie energii. Wyniki? Średnia utrata masy ciała o 28,7%. Czyli niemal 30 kg dla osoby ważącej 100 kg. W tym badaniu niektórzy pacjenci schudli nawet 32 kg.

Koncern Novo Nordisk prowadzi badania nad Amykretyną, która we wczesnych badaniach dała utratę masy o 24,3% po zaledwie 36 tygodniach, co sugeruje, że przy dłuższym leczeniu efekt może być jeszcze lepszy.

Amerykańska spółka Amgen pracuje obecnie nad eksperymentalnym lekiem o nazwie MariTide (nazwa naukowa maridebart kafraglutyd), który byłby podawany pacjentom jako zastrzyk raz w miesiącu. Wyniki badań klinicznych są zachęcające. Badania II fazy wykazały u pacjentów spadek wagi od 17% do 20% w ciągu 52 tygodni. Odnotowano też poprawę parametrów ciśnienia krwi oraz zmniejszenie poziomu trójglicerydów. Obecnie lek znajduje się w III fazie badań klinicznych, a spółka Amgen planuje złożenie wniosku o rejestrację w Stanach Zjednoczonych na przełomie 2026 i 2027 r. Wkrótce więc na rynku pojawi się kolejny specyfik.

Oczywiście te nowe leki będą drogie. Dziś Ozempic w Polsce kosztuje bez refundacji ok. 404 zł miesięcznie. Wegovy, który nie jest refundowany, to wydatek nawet 2,5 tys. zł miesięcznie. Mounjaro – także bez refundacji – kosztuje miesięcznie od 1120 do 1735,93 zł. A to nie jest dobra wiadomość.

Idealna figura tylko dla zamożnych?

Jeśli roczny koszt terapii nowoczesnym (a więc bez refundacji) lekiem na cukrzycę i otyłość może sięgnąć 15-16 tys. zł, to mówimy o leczeniu dla wybranych, na które mogą sobie pozwolić jedynie osoby o wysokich dochodach. W mediach społecznościowych bez trudu znajdziemy opinie tych, którzy zdecydowali się na taki wydatek. Większość chwali sobie osiągnięte efekty. Piszą, że po utracie 20-25 kg mogli odstawić leki na cukrzycę i nadciśnienie i czują się o wiele lepiej.

Mamy zatem leki, które ratują zdrowie i życie, lecz są dostępne tylko dla bogatych, podczas gdy otyłość dotyka najczęściej osoby o niższym statusie materialnym, których nie stać na leczenie. Ci ludzie są skazani na stare, często mało skuteczne lub nawet nieskuteczne terapie. I coś z tym trzeba było zrobić.

W listopadzie 2025 r. prezydent Donald Trump podpisał porozumienie z dwoma największymi producentami leków na odchudzanie – Eli Lilly i Novo Nordisk – na mocy którego ceny najpopularniejszych medykamentów, Wegovy i Zepbound, mają w tym roku spaść aż o 65%. Co oznacza, że cena miesięcznej terapii wyniesie w Stanach Zjednoczonych początkowo 350 dol., a w ciągu dwóch lat spadnie do 250 dol.

W Europie pod tym względem było i nadal jest lepiej. Ceny leków

Według WHO na otyłość – definiowaną jako wskaźnik masy ciała (BMI) powyżej 30 – cierpi ponad 650 mln dorosłych na świecie.

eprasa.pl 96af58f7bc

na odchudzanie i cukrzycę na Starym Kontynencie były nawet o 400-500% niższe niż w USA!

Co ciekawe, w Polsce miesięczna kuracja Ozempikiem – po refundacji – oznacza wydatek rzędu 28 euro. Dla porównania – lek Wegovy w Danii, a więc w kraju producenta, kosztuje 302 euro miesięcznie i nie jest refundowany. W Niemczech taka miesięczna kuracja kosztuje ok. 300 euro.

Opisana ogromna różnica w cenach leków między Europą a Stanami Zjednoczonymi była bardzo silnym argumentem administracji Trumpa w rozmowach z koncernami. Nowe leki wywołują też burzliwe dyskusje w mediach społecznościowych – debaty te wykraczają daleko poza gabinety lekarskie. Dominują głosy mówiące o przełomie, lecz nie brakuje i takich wypowiedzi, które krytykują „łatwą drogę" i zwolnienie z odpowiedzialności za własne zdrowie. Ich autorów najczęściej irytuje sytuacja, gdy jedni latami trudzą się na siłowniach i przestrzegają diety, a drudzy biorą zastrzyk lub łykają tabletkę i chudną bez wysiłku. Nie jest to jednak do końca prawdą. Badania kliniczne leków na odchudzanie i cukrzycę prowadzone były w połączeniu z dietą i aktywnością fizyczną. Leki redukują uczucie głodu, wzmacniają sytość, ułatwiają przestrzeganie diety, lecz nie zastąpią zdrowych nawyków.

Pytania bez odpowiedzi

To nie są cudowne pigułki, raczej narzędzia, które wspomagają proces odchudzania i zapewniają większą szansę na sukces.

Otyłość to nie kwestia lenistwa czy braku samodyscypliny pacjentów, lecz złożona, przewlekła choroba metaboliczna.

Powszechne stosowanie leków na odchudzanie wzbudziło niepokój dużych koncernów spożywczych, takich jak McDonald's czy Coca-Cola, które zauważyły, że w USA w ostatnich latach spadła sprzedaż przekąsek i słodyczy. Prezesi wiedzą już, że jeśli miliony konsumentów stracą apetyt na przetworzone jedzenie, ich model biznesowy zacznie się walić. A to oznacza poważne konsekwencje ekonomiczne. Nie tylko dla koncernów, ale też dla ich dostawców. I rzecz jasna akcjonariuszy. Nic jednak nie zmieni faktu, że na naszych oczach dokonuje się największa zmiana w leczeniu otyłości i cukrzycy. Nowe substancje i leki działają. Dają znakomite wyniki, ratują zdrowie, przedłużają życie i poprawiają jego jakość.

Rodzą także pytania, na które nie znamy odpowiedzi. Co się stanie po 10, 20 latach ich stosowania? Czy okażą się bezpieczne? Czy nie pojawią się późniejsze powikłania? Badania trwają od kilku lat, a terapia ma być dożywotnia. W historii medycyny jest wiele przykładów leków, które początkowo wydawały się cudowne, a potem okazywało się, że mają poważne, długoterminowe skutki uboczne. Na razie wyniki badań są bardzo obiecujące, lecz by uzyskać pewność, że leki są bezpieczne, potrzeba więcej czasu. Dziś przyszłość rysuje się jasno: więcej nowych leków, lepsze ich dawkowanie, rzadsze podawanie, mniejsze działania niepożądane.

Zaawansowane są prace nad lekami celowanymi – dla osób z konkretnymi mutacjami genetycznymi. I nad terapiami kombinowanymi, łączącymi różne mechanizmy działania.

Pewne jest, że za 10 lat farmakoterapia otyłości nie będzie przypominała tego, co znamy dziś. Lekarze będą dysponowali szerokim arsenałem leków dopasowanych do indywidualnych potrzeb. Podobnie jak w onkologii będziemy mieli do czynienia z terapiami spersonalizowanymi.

Coraz powszechniejsze staje się również przekonanie, że otyłość jest chorobą, a nie winą pacjentów, więc współczesna medycyna może im pomóc. To nie jest tylko kwestia estetyczna. Wiele osób cierpi z powodu realnych problemów zdrowotnych. Dla nich leki to kwestia przetrwania.

Rzecz nie w tym, by wyglądać jak model z żurnala, lecz by móc wejść na drugie piętro bez zadyszki. By długi spacer nie kojarzył się ze znacznym wysiłkiem, by nie budzić się w nocy z bólem w klatce piersiowej. I w tym tkwi istota rewolucji w leczeniu otyłości.

Marek Czarkowski



eprasa.pl 96af58f7bc

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Dymy nad kalderą

Zmarł Béla Tarr, najwierniejszy druh i ekranizator Mistrza Apokalipsy, László Krasznahorkaia, artysta, którego dzieła w kategorii najbardziej przygnębiających filmów świata zajmują całe podium. W ramach prywatnych obrzędów żałobnych puściliśmy sobie z przyjacielem „Harmonie Werckmeistera", które przerażają dzisiaj po stokroć silniej niż przed ćwierćwieczem, gdy były realizowane.

Film o narodzinach zbiorowej przemocy inspirowanej przez demonicznego manipulatora był na przełomie wieków zaledwie alegorią historyczną, wpisującą się w modę na katastrofizm przełomu tysiącleci, dzisiaj ogląda się to jak aktualną diagnozę społeczną, kino ściśle realistyczne. Główny bohater, człowiek duchowy, galernik wrażliwości, kończy w domu wariatów – gdy rozum zaśnie, tylko tam w najlepszym razie pozostaje miejsce dla jednostek niepoddających się stadnemu instynktowi zbrodni i zniszczenia.

Tarr był wiecznie udręczonym pesymistą, ale nawet w „Harmoniach…", będących adaptacją „Melancholii sprzeciwu" zeszłorocznego noblisty, twórcy mają przebłysk naiwnego optymizmu. Oto rozjuszony tłum dokonujący pogromu pacjentów szpitalnych. Na widok niedołężnego, bezbronnego starca porzuconego w łaźni dzika tłuszcza zamiera, by po chwili się wycofać, naga siła zatrzymuje się dopiero przed nagą… słabością.

Dzisiaj świat pogrąża się w galopującym szaleństwie, którego tak łatwo zastopować się nie da. Z niejaką nadzieją patrzymy w najbliższą przyszłość, licząc np. na to, że republikanie przerżną wybory połówkowe, a Orbán straci władzę na Węgrzech. Ale do listopada daleko – jakąż mamy gwarancję, że jakiekolwiek wybory jeszcze się odbędą, a jeśli tak, że Trump uzna niekorzystne dla siebie wyniki? Należy raczej podejrzewać, że na okrągłą rocznicę ćwierci milenium od Deklaracji niepodległości USA wezmą ostateczny rozbrat z demokracją.

Tempo zidiocenia Trumpa rośnie wprost proporcjonalnie do wzrostu brutalności jego bojówkarzy z ICE. Rozjuszone i uzbrojone siły policji imigracyjnej tłumią zamieszki, legitymują na wyrywki obywateli o „podejrzanie" ciemnym kolorze skóry i wciąż znajdują poparcie sporej części społeczeństwa, bo w Minneapolis „strzelili w łeb lewackiej suce". Pomarańczowy upiera się przy zajęciu Grenlandii, bo inaczej weźmie ją Rosja, a przecież Amerykanie nie chcą mieć Ruskich za sąsiadów. W Cieśninie Beringa Alaskę od Rosji dzielą 4 km, Grenlandię od USA – jakieś 3 tys. km, ale jakie znaczenie mają dzisiaj fakty? Elektorat Trumpa wierzy, że Ziemia jest płaska, a tę część, która ma wątpliwości, przekonałby jednym swoim orzeczeniem. „Jeśli nasz prezydent uzna, że Ziemia jest płaska, nie będziemy mu się sprzeciwiać, w gruncie rzeczy nie jest to dla nas ważne, najważniejsze, żeby Ameryka była znowu wielka".

Próbuję znaleźć w prawicowych mediach jakiekolwiek informacje o zamieszkach, agresywnych bredniach Trumpa, jego gafach i żenujących wygłupach – próżno szukać. Żeby portale prawicowe wzmiankowały cokolwiek o świecie, musi zapachnieć III wojną światową, dlatego siłą rzeczy i rozpędu wciąż informują o wojnie rusko-ukraińskiej. Wszystkie pozostałe informacje dotyczą wyłącznie kraju, hejtowania Tuska i wytłuszczania „mocnych uderzeń" polityków PiS w koalicję rządzącą. Ludzie, którzy chcą opierać swoją wiedzę o świecie na przekazie prawicowych mediów, rychło mogą o istnieniu jakiejkolwiek rzeczywistości zewnętrznej zapomnieć – za granicami Polski rozpościera się Ultima Thule, tajemne pustkowie, z którego w każdej chwili mogą nadejść barbarzyńcy. Oprócz Węgier, drugiej ojczyzny prawaków, gdzie znalazł właśnie azyl Ziobro z żoną.

> Świat jest jak niegdyś wygasły wulkan, z którego znowu zaczyna dymić.

Skądinąd w przypadku Koteckiej jest to chyba bezprecedensowa decyzja o przyznaniu azylu na prawach antycypacji, nie dla „ofiary prześladowań reżimu", ale z powodu samego prawdopodobieństwa takich „prześladowań" w przyszłości. Na tej zasadzie mógłbym już dzisiaj wnioskować o azyl polityczny na Gwadelupie (w UE, ale jak najdalej od Polski), przewidując, że za dwa lata przejmą w Polsce władzę faszyści i za moje jadowite felietony w „Przeglądzie" będę widniał na liście likwidacyjnej.

Na Węgrzech trzymamy kciuki za Pétera Magyara, lidera opozycji, która wyraźnie przeważa w sondażach; wybory już za kwartał, więc orbánowcy łapią się wszystkich chwytów – wrzucają nawet deepfake'owe posty z wykorzystaniem AI, w których lider opozycji straszy, że po zwycięstwie obniży emerytury. Ale sam Magyar też nie jest grzecznym kosmopolitą, skoro nazywa Słowację Górnymi Węgrami (rząd słowacki już oficjalnie wyraził oburzenie).

Świat jest jak kaldera niegdyś wygasłego wulkanu, z którego znowu zaczyna dymić, coraz więcej jest ognisk zapalnych, sejsmografy wariują, a my wciąż mamy nadzieję, że w razie czego lawa nas nie dosięgnie. ■

eprasa.pl 96af58f7bc

Paulina Tondos



Czy McDonald's i Starbucks będą szukać lokalizacji na swoje przybytki w Nuuk?

Być albo nie być 51. stanem USA

GRENLANDCZYCY NIE CHCĄ ZAMIENIĆ JEDNEJ OBCEJ WŁADZY NA DRUGĄ

Grenlandczycy niespecjalnie chcą zostać obywatelami Stanów Zjednoczonych. Można natomiast zastanowić się, jakie hipotetyczne korzyści wyspa uzyskałaby z dołączenia do USA, a co by utraciła. Grenlandia byłaby największym stanem Ameryki, większym od Alaski, której powierzchnia to 1,7 mln km kw., i jednocześnie najmniej zaludnionym. Wygrywające obecnie w tej kategorii Wyoming zamieszkuje niecałe 600 tys. osób, czyli mniej więcej dziesięć razy tyle, co Grenlandię.

Jako część USA wyspa miałaby swoich przedstawicieli w Kongresie – dwóch senatorów (jak każdy inny stan) i jednego reprezentanta w Izbie (tyle mają najsłabiej zaludnione stany). Grenlandczycy mogliby także głosować w wyborach prezydenckich – wyspa miałaby trzy głosy elektorskie. Inuici mieliby więc wpływ na politykę wielkiego światowego mocarstwa, aczkolwiek raczej niewielki. Chyba że amerykańscy politycy próbowaliby przekonać Grenlandczyków do głosowania na ich partię w wyborach i by im się przypodobać, zaproponowaliby pakiet ustaw i inwestycji mających na uwadze dobro mieszkańców wyspy.

Od zawsze nowe stany były przyjmowane do Unii parami, by nie zaburzyć politycznej równowagi. Początkowo wolne stany przyłączano wraz z niewolniczymi, potem czerwone (czyli o skłonnościach republikańskich) wraz z niebieskimi (głosującymi na demokratów). Ostatnie dwa stany włączone do USA to Alaska i Hawaje. Akces obu nastąpił w 1959 r. Alaska głosuje na republikanów, Hawaje na demokratów. Przyjęcie Grenlandii do Stanów Zjednoczonych zaburzyłoby więc trwające od wieków status quo.

Sądząc po tym, jak mieszkańcy wyspy głosują w swoich wyborach, można śmiało założyć, że stan Grenlandia byłby niebieski. Rozwiązaniem byłoby więc równoległe dołączenie jakiegoś czerwonego stanu. Tylko jakiego? Tak się składa, że Puerto Rico – od dekad czekające w dziwnym stanie politycznego zawieszenia na włączenie do USA – w wyborach też głosowałoby na demokratów (i to jest powód owego zawieszenia). Wygląda więc na to, że chwilowo nie ma odpowiednich kandydatów. Gdyby więc prezydent Trump uparł się i jakimś sposobem Grenlandia stałaby się 51. stanem USA, republikanom nie byłoby to na rękę. Mając większość w Kongresie, z pewnością spróbowaliby „przekupić" Grenlandczyków, by przeciągnąć ich sympatie na swoją stronę. Taki rozwój wydarzeń mógłby się okazać dla wyspiarzy korzystny.

Włączenie wyspy do USA niewątpliwie pociągnęłoby za sobą szereg inwestycji w infrastrukturę, tak by zrównać poziom rozwoju Grenlandii z innymi stanami. Tak było w przypadku Alaski. Od 1959 r. rząd federalny wydał miliardy dolarów na poprawę sieci transportowej, elektrycznej i kanalizacyjnej Alaski, ochronę klimatu, rozbudowę systemu ostrzegania przed katastrofami

eprasa.pl 96af58f7bc



naturalnymi itp. Obecnie Grenlandia jest mniej rozwinięta niż Alaska 60 lat temu. Szacuje się, że koszty budowy nowej infrastruktury na wyspie przekroczyłyby 100 mld dol. Pytanie, czy republikanie w Kongresie, z zasady przeciwni dużym wydatkom z budżetu (z wyjątkiem rozbudowy armii), zgodziliby się na takie dofinansowanie. Z powodów wspomnianych wyżej mogłoby się tak stać. Chodzą też słuchy, że poprawę grenlandzkiej infrastruktury chętnie sfinansowałyby firmy z Doliny Krzemowej w zamian za lukratywne kontrakty na wydobycie minerałów.

Mieszkańcy wyspy zyskaliby więc nowe drogi, lotniska, szkoły i szpitale, a także nowe miejsca pracy, i to nie tylko na wyspie – wraz z uzyskaniem obywatelstwa USA Grenlandczycy mogliby legalnie pracować we wszystkich amerykańskich stanach. Co więcej, wyspa przyciągnęłaby pewnie wielu nowych inwestorów, a turystyka znacznie by się rozwinęła. Jako część USA Grenlandia zyskałaby także gwarancję bezpieczeństwa – odtąd zarówno ląd, jak i wody przybrzeżne byłyby w pełni chronione przez potężną machinę wojskową Stanów. Duńczycy wszak przeznaczają na obronność znacznie mniej funduszy niż USA.

Czy więc tak spora liczba potencjalnych korzyści z przyłączenia do USA skłoni Grenlandczyków do zmiany zdania w sprawie akcesu? Czy projektanci zaczną zaraz rozmyślać, jak upchnąć kolejną gwiazdę na amerykańskiej fladze, a McDonald's i Starbucks szukać lokalizacji na swoje przybytki w Nuuk? Wydaje się, że jednak nie. Wraz z włączeniem do USA wyspa może stracić bardzo wiele. Grenlandczycy od lat pragną pełnej niepodległości – nie są więc skłonni, by zamienić jedną obcą władzę na drugą. Wiedzą dobrze, czego mogą się spodziewać po Duńczykach, trudno natomiast orzec, jaki los zgotują im Amerykanie. Wszak z dwojga złego lepsze to, które się zna…

Przyłączenie do USA mogłoby oznaczać, że Inuici już całkowicie utracą swoją narodową tożsamość. Język angielski stanie się językiem urzędowym i językiem edukacji. Co wówczas stanie się z kalaallisut (dialektem zachodniogrenlandzkim)? Oczywiście, negocjując warunki wstąpienia do USA, wyspa mogłaby zażądać, by język grenlandzki stał się na równi z angielskim językiem oficjalnym. Takim dwujęzycznym stanem są Hawaje, a mimo to język hawajski jest zagrożony wymarciem.

Trudno też powiedzieć, jak intensywnie amerykańska kultura zaczęłaby wypierać tradycję inuicką. Czy w cichych grenlandzkich osadach restauracje typu fast-food pojawiłyby się nagle jak grzyby po deszczu, a wyjście do McDonald's na niedzielny obiad stałoby się nową świecką tradycją? Czy młodzież zaczęłaby się umawiać na randki w Starbucksie i patrzeć sobie głęboko w oczy znad kubka karmelowego macchiato na mleku owsianym? Czy nastałaby moda na organizowanie kaffemików (tradycyjny sposób świętowania urodzin i ważnych wydarzeń; goście pojawiają się w dowolnej chwili w określonym przedziale czasowym i wychodzą o różnych porach) w KFC, a zamiast mattaku (jedzonego na surowo tłuszczu wieloryba wraz ze skórą) gościom serwowano by nuggetsy? Brzmi to może dość absurdalnie, ale co tu ukrywać: zagrożenie jest realne. Kultura amerykańska jest szczególnie atrakcyjna dla młodych ludzi. Mogłoby się więc okazać, że mimo prób zachowania inuickich tradycji te szybko by zanikły, pogrzebane przez szeroko pojętą amerykańskość.

Kolejną ważną kwestią są finanse. Grenlandia jako stan USA niewątpliwie otrzymałaby sporo pieniędzy z budżetu na rozwój infrastruktury. Ale mieszkańcy wyspy musieliby odtąd płacić podwójne podatki – do rządu stanowego i rządu federalnego. Utraciliby także cały socjal, jaki zapewnia im Dania – bezpłatną służbę zdrowia (na rzecz systemu, który prędzej doprowadzi ciężko chorego pacjenta do bankructwa niż powrotu do formy), gwarantowane emerytury (na rzecz systemu, w którym twoja emerytura zależy od zarobków – jeśli zarabiałeś mało, pracujesz jeszcze po siedemdziesiątce i mieszkasz w kamperze), pomoc w przypadku utraty pracy w postaci zasiłków i kursów zawodowych (na rzecz niższych i krócej wypłacanych zapomóg) oraz bezpłatne uniwersytety (na rzecz wyższych uczelni kosztujących krocie i pożyczek studenckich spłacanych przez kilkadziesiąt lat). I co z tego, że Trump obiecywał ostatnio wypłacenie każdemu Grenlandczykowi 10 tys. dol.? Tomografia komputerowa w Stanach kosztuje nawet kilka tysięcy dolarów, a rok nauki na Harvardzie prawie 87 tys. dol.

Grenlandczycy utraciliby socjal, jaki zapewnia Dania: bezpłatną służbę zdrowia, gwarantowane emerytury i bezpłatne uniwersytety.

Gdyby Grenlandia wpadła w amerykańskie ręce, kontrolę nad surowcami wyspy przejąłby rząd w Waszyngtonie. Niewątpliwie natychmiast rozpoczęto by ich eksploatację, tak by inwestycje na wyspie

eprasa.pl 96af58f7bc



Można sobie wyobrazić, co polityka USA oznaczałaby dla środowiska na Grenlandii i jak przyspieszyłoby ocieplenie klimatu.

się zwróciły. Niemal pewne jest, że nie zaprzątano by sobie przy tym głowy szkodami, jakie kopalnie poczyniłyby w środowisku naturalnym – a Grenlandczycy są na tym punkcie szczególnie wrażliwi. Chcą czerpać zyski ze swoich bogactw, ale w sposób zrównoważony, dbając przy tym o klimat i naturę. Mając zaledwie trzech przedstawicieli w Kongresie, nie mieliby wiele do powiedzenia w kwestii liczby i sposobów działania kopalni na wyspie. Trump już dwa razy wycofał USA z paryskiego paktu klimatycznego (podczas swojej pierwszej kadencji i ponownie podczas drugiej). Przy okazji padły słowa: „Wiercić, kochanie, wiercić!". Można sobie tylko wyobrazić, co taka polityka amerykańskiego rządu oznaczałaby dla środowiska na Grenlandii i jak przyspieszyłoby jeszcze ocieplenie klimatu.

Przejęcie kontroli nad wyspą przez USA mogłoby zostać uznane za prowokację przez inne światowe mocarstwa i doprowadzić do kolejnej zimnej wojny. Nietrudno sobie wyobrazić, że wraz z podpisaniem ustawy o akcesie Grenlandii do Stanów Rosja zaczęłaby zwiększać swoją militarną obecność w Arktyce – najprawdopodobniej zbudowano by nowe bazy wojskowe, wzrosłaby liczba przeprowadzanych testów balistycznych, zintensyfikowano by ćwiczenia łodzi podwodnych. Chiny z kolei zaczęłyby szukać swojego „wejścia" do Arktyki w innych krajach, być może poprzez inwestycje w Kanadzie i Norwegii. Mogłoby to również doprowadzić do politycznego zbliżenia Rosji i Chin, a nie sądzę, żeby Trump właśnie to chciał osiągnąć… Grenlandia, mimo że chroniona przez wojsko USA, stałaby się prawdopodobnym celem ataku w przypadku konfliktu zbrojnego – z tego mieszkańcy wyspy też sobie doskonale zdają sprawę.

Co z tego, że Trump obiecywał wypłacenie każdemu Grenlandczykowi 10 tys. dol.? Tomografia komputerowa w USA kosztuje nawet kilka tysięcy.

Jeszcze 50 lat temu USA wydawały się istnym rajem – krajem bogactwa i nieograniczonych możliwości. Gdyby w latach 80. Ronald Reagan zaproponował Polsce status amerykańskiego stanu, nikt z Polaków pewnie by się nie wahał. Taki wizerunek USA dawno prysł. Dziś nie patrzymy na Amerykę przez różowe okulary. Zdajemy sobie sprawę, że jest to kraj ogromnych nierówności społecznych, z wysoką przestępczością przy użyciu broni palnej, horrendalnie drogą opieką zdrowotną oraz niewydolnym Kongresem. Złudzeń nie mają także Grenlandczycy. Jeden z mieszkańców Nuuk zapytany, czy chciałby włączenia wyspy do USA, odpowiedział, że absolutnie nie, ponieważ nie chce oglądać strzelanin w lokalnych szkołach.

Wydaje się więc mało prawdopodobne, żeby Grenlandczycy zechcieli dołączyć do USA jako kolejny stan. Być może odpowiednio do tego zachęceni postanowią ogłosić niepodległość, a następnie stowarzyszyć się z Ameryką. To rozwiązanie pozwoliłoby im zachować autonomię i prawo do decydowania o sobie.

Dla prezydenta Trumpa to chyba jednak za mało, choć ostatnio pojawiły się słuchy, że amerykańska administracja rozważa złożenie Grenlandczykom takiej właśnie propozycji. Co by się stało, gdyby Grenlandczycy jednak na taką propozycję przystali? Prawda jest taka, że cały proces akcesyjny zająłby wiele lat. Najpierw na wyspie trzeba by zorganizować referendum niepodległościowe, a następnie kolejne w sprawie przyłączenia do USA. Potem obie izby Kongresu musiałyby zagłosować za przyjęciem Grenlandii, a – co tu ukrywać – w ostatnich latach Kongres nie jest w stanie przyjąć prawie żadnej ustawy. Następnie władze na wyspie powinny przygotować i przyjąć konstytucję stanową, a także zintegrować grenlandzkie prawo i system sądowniczy z amerykańskim. A potem Kongres musiałby jeszcze opracować i zaaprobować plan rozwoju infrastruktury na wyspie oraz zaakceptować jego koszty. Każdy z tych etapów prawdopodobnie zająłby lata – akces Luizjany i Teksasu zajął 9 lat, Hawajów 61, a Alaski 92! Jest więc mało prawdopodobne, żeby Grenlandia została włączona do USA jeszcze za prezydentury Trumpa. Chyba że amerykańska administracja wymyśli jakąś drogę na skróty…



Fragmenty książki Pauliny Tondos *Grenlandia. Ulotny duch Północy*, Bezdroża/Helion, Gliwice 2026

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 96af58f7bc

NA EKRANACH

Hamnet,

reż. Chloé Zhao, prod. Wielka Brytania, w kinach od 23 stycznia

Krytykowanie filmu, w którym bohaterowie – Agnes i Will Szekspir w XVI-wiecznej Anglii – tracą dziecko i muszą sobie jakoś z tym poradzić, jest dziś jednoznaczne z coming outem jako osoba pozbawiona empatii i współczucia. Cóż jednak uczynić, gdy ów film manipuluje emocjami widza w ten najbardziej irytujący sposób. Wiadomo, że przed wielką tragedią muszą być chwile idylli: najpierw gorąca miłość kochanków wbrew obowiązującym normom społecznym, a potem ciąg wyimków z ich idealnego



życia rodzinnego. Jest to wszystko nieznośnie hollywoodzkie i aż dziw bierze, że chińska reżyserka („Nomadland"), która tak pewnie kroczyła na Zachodzie autorską ścieżką, wpadła w koleiny lukrowanej konwencji. Najciekawszy „Hamnet" jest wtedy, gdy się z nich wybija. Znacznie bardziej fascynujący niż relacja głównych bohaterów jest związek Agnes z naturą. Gdy bohaterka biegnie w las powić dziecię między korzeniami wiekowego drzewa, film skręca w stronę dzikości, pierwotności i pogaństwa. Kamera Łukasza Żala jednym ustawieniem potrafi wprowadzić nastrój grozy i niepewności, tak że widz zastanawia się, co właściwie ogląda. Szkoda, że dość szybko okazuje się, że ogląda to, co zwykle.

Artur Zaborski



Dreams,

reż. Michel Franco, prod. Meksyk/USA, już w kinach

Mistrz trudnego w odbiorze naturalizmu powraca – Michel Franco po raz kolejny nie bierze jeńców, tym razem w poruszającej opowieści o współczesnej Ameryce. Rewelacyjna Jessica Chastain wciela się w „Dreams" w zamożną Jennifer balansującą między dwoma światami. Kiedy Jennifer zakochuje się w o wiele młodszym od siebie Fernandzie – nielegalnym meksykańskim imigrancie i tancerzu baletu – jej życie wywraca się do góry nogami. Czy ich miłość przetrwa w obliczu tak ogromnej różnicy klasowej? Czy zmysłowość jest w stanie pokonać wygodę oraz znane rytuały? Franco brutalnie pokazuje, że w niektórych sytuacjach kochankowie nie mogą być razem. Nawet jeśli w teorii są sobie pisani. Uczucie Jennifer i Fernanda prowadzi do zdarzeń, których już nikt nie będzie mógł zatrzymać. Nawet oni sami. *Jan Tracz*

KURTYNA W GÓRĘ

Świat według chłopek

Tym spektaklem Teatr Współczesny wpisuje się w żywy nurt opowieści rewidujących polską historię, tworzonych z punktu widzenia dotychczas pomijanej warstwy chłopskiej. Teatr oddaje głos chłopkom, tak jak w zbiorze reportaży Joanny Kuciel-Frydryszak, na którym oparty został scenariusz przedstawienia.

Można byłoby się spodziewać, że będzie to spektakl nie tylko rewidujący przeszłość, ale i pełen goryczy, protestu, krytyki społecznej, zupełnie zrozumiałej, tymczasem narracja biegnie w inną stronę. To raczej zbiór opowieści o indywidualnych losach, które składają się na obraz kobiet zapracowanych, poniżanych, poddawanych przemocy, często żyjących w cieniu i poniżeniu w świecie twardego patriarchatu. Teraz dochodzą do głosu, ale ich skarga nie jest rodzajem pretensji do kogokolwiek, jest po prostu opowieścią o prawdzie ich losu, jest sposobem ustawienia dotychczas pomijanych bohaterek w centrum sceny.

Umiejętnie to skomponował Sławomir Narloch, tworząc narrację przesyconą duchem poezji, a przede wszystkim pieśni ludowej. Te pieśni są tutaj głównym spoiwem widowiska, nadają mu nieco wyższy ton, podnoszą emocje opowiadań. Z drugiej strony silnej wymowie tego widowiska służą wycyzelowane kreacje psychologiczne aktorek Współczesnego, spośród których na pierwszy plan wybijają się postacie stworzone przez



Joanna Kuciel-Frydryszak, „Chłopki", adaptacja i reżyseria Sławomir Narloch, Teatr Współczesny w Warszawie, premiera 18 grudnia 2025

filary tego teatru: Joannę Jeżewską, Monikę Kwiatkowską czy Agnieszkę Pilaszewską, ale także przez młodsze aktorki. Swoją rolę odgrywa równie wyśmienicie Marcin Stępniak, od niezbyt dawna w teatrze przy Mokotowskiej, pełniący tu funkcję gospodarza opowieści

Piękny spektakl. I wzruszający, i poruszający, i wywołujący empatię, choć nie wymusza współczucia. Świetna scenografia, której głównym elementem jest wóz ciągniony przez kobiety. A na wozie często znajdą się kobiety kalekie albo umierające, można podejrzewać, że to rodzaj wozu-mieszkania albo symbol losu, wiecznego zapracowania.

Tomasz Miłkowski

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. ANNA ORZYŁOWSKA, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 96af58f7bc



Zmierzch budapeszteńskich term?

Czy spór Orbána z władzami Budapesztu doprowadzi do zapaści najpiękniejszych łaźni i kąpielisk w Europie?

Chrystian Ślusarczyk

Nie ma drugiej europejskiej stolicy, która mogłaby się poszczycić tak niezwykłymi, zabytkowymi termami. Prawie dwumilionowy Budapeszt to praktycznie jeden wielki kurort. Jest tu ok. 400 źródeł z wodami magnezowymi (gorzkimi) oraz ok. 80 źródeł termalnych i mineralnych (głównie siarczanowych). Ich temperatura wynosi 50-70 st. C. Źródła termalne w Budzie tryskają na powierzchnię naturalnie, samoczynnie, a na Wyspie Małgorzaty i w Peszcie – są wiercone.

Słynne Gellért Spa w Budzie i Termy Széchenyiego w Peszcie od dziesięcioleci stanowią godną pozazdroszczenia wizytówkę węgierskiej stolicy. Łaźnie Gellérta mieszczące się w zabytkowym hotelu o tej samej nazwie (pierwszym luksusowym hotelu w Budapeszcie wyposażonym w najnowocześniejsze udogodnienia na początku XX w.) odwiedziło w zeszłym roku 420 tys. zagranicznych kuracjuszy. Wielu turystów z najodleglejszych zakątków świata przyjeżdża do Budapesztu tylko po to, by skorzystać z dobrodziejstwa tamtejszych term.

Zamknięte bez wizji otwarcia

Zamknięcie Łaźni Gellérta w październiku 2025 r. natychmiast wpłynęło na zmniejszenie liczby zagranicznych turystów odwiedzających Budapeszt. Władze węgierskie w oficjalnym komunikacie podały, że przyczyną zamknięcia był kiepski stan techniczny, który ponoć zagrażał bezpieczeństwu użytkowników. Z pewnością sporo w tym prawdy, ale jeszcze więcej prawdy o Gellért Spa przynoszą coraz liczniejsze artykuły ukazujące się w zagranicznych mediach. Te donoszą, że głównym powodem zamknięcia Gellért Spa w Budzie są narastające spory finansowe między rządem Viktora Orbána a budapeszteńskim ratuszem, który daleki jest od popierania autorytarnych rządów premiera Węgier i kłaniających się mu towarzyszy. W Budapeszcie słychać, i to coraz częściej, że dziś bardziej liczy się zysk z bylejakości niż symboliczna i historyczna tradycja, która narodziła się w czasach osmańskich.

Warto przypomnieć, że ostatni poważny remont Gellért Spa miał miejsce w latach 70. XX w., za towarzysza Jánosa Kádára. Oficjalne węgierskie media podają, że obecny remont term ma być zakończony w roku 2028. Jednak z powodu krachu finansowego, jaki przeżywa zarówno Budapeszt, jak i cały kraj, termin ten prawdopodobnie nie zostanie dotrzymany.

„Poza słynnymi Łaźniami Gellérta byliśmy zmuszeni zamknąć jeszcze dwa inne, mniejsze budapeszteńskie parki termalne", żali się w wywiadzie dla „New York Timesa", Ildikó Szűts, dyrektor wykonawcza miejskiej spółki BGYH, która zarządza sześcioma zabytkowymi kąpieliskami termalnymi w Budapeszcie. „W wyniku tej sytuacji turyści zagraniczni, którzy nastawiali się na wizyty w Łaźniach

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 96af58f7bc

Słynne Łaźnie Gellérta od dziesięcioleci stanowią godną pozazdroszczenia wizytówkę węgierskiej stolicy.

Gellérta, muszą korzystać z mniejszych term. Z tych samych, z których od lat korzystają mieszkańcy Budapesztu. Powoduje to zrozumiałe niezadowolenie i moich rodaków, i zagranicznych gości. Panuje tam niemiłosierny tłok, a wspólne damsko-męskie szatnie i prysznice to kolejna »nieoczekiwana atrakcja«. Do tego jeszcze dochodzi specjalny harmonogram, który wszystkim znacznie ogranicza możliwość korzystania z term", mówi w mało optymistycznym tonie pani dyrektor Szűts.

Diána Dani prowadząca Veli Bej, jeden z najstarszych hammamów (łaźni tureckich), również odnotowuje wzrost liczby turystów. XVI-wieczne łaźnie są znacznie mniejsze niż Gellért Spa, więc nasilone zainteresowanie nimi stanowi problem. Nawet w dni powszednie, przy wejściu do hammamu bardzo częstym widokiem jest tabliczka z napisem: „Brak miejsc!". Mimo to ustawiają się tam długie kolejki gości liczących, że jakieś miejsce w wodzie się znajdzie. Korzystający od lat z łaźni Węgrzy żalą się, że zagraniczni turyści nie rozstają się z komórkami i są nieodpowiednio ubrani. „Wynika to pewnie z faktu, że znaleźli się nie w basenie, który mieli w planach, tylko w nowym i nieznanym dla nich środowisku tureckich łaźni", tłumaczy Diána Dani.

Część gości Łaźni Gellérta korzysta z kąpieliska Rudas, które tak drastycznie skróciło czas pracy, że grupy zbuntowanych mieszkańców Budapesztu wystąpiły do władz miejskich z petycją, by przywrócić dawny harmonogram. A że wybór term jest coraz mniejszy, miejscowym i gościom z zagranicy co chwilę podnosi się ceny biletów. W największych czynnych termach, Széchenyiego, za całodzienny bilet trzeba już zapłacić 175 zł.

Od 2020 r. zamknięte są też zabytkowe, najstarsze w mieście łaźnie Király, które zgodnie z pierwotnym planem miały być otwarte w roku… 2024. Zdaniem Ildikó Szűts gruntowną modernizację tych term blokuje Narodowa Spółka Zarządzania Aktywami – rządowa agencja będąca właścicielem kąpieliska.

Orbán wyssie stołeczne termy?

Duży wpływ na to, co od pewnego czasu dzieje się z budapeszteńskimi termami, ma sytuacja polityczna na Węgrzech. Zapewne stan kąpielisk byłby inny, gdyby w roku 2019 Fidesz Orbána nie stracił władzy w Budapeszcie. Od kiedy miastem kieruje opozycyjny burmistrz Gergely Karácsony, metropolia nad Dunajem popadła w finansową (i nie tylko) niełaskę. Niedawno Karácsony zwołał demonstracje na ulicach Budapesztu, domagając się od rządu zwrotu pieniędzy, które – jak twierdzi – zostały stolicy nielegalnie odebrane.

Przedstawiciele budapeszteńskiego ratusza od dłuższego już czasu narzekają, że w ramach tzw. orbánowskiej solidarności finansowej muszą dokładać się do budżetu biedniejszych regionów. Obecnie to kwota przekraczająca 260 mln euro, co stanowi aż jedną piątą stołecznego budżetu.

Z nieoficjalnych informacji budapeszteńscy włodarze już się dowiedzieli, że w tym roku Orbán będzie chciał ich oskubać na jeszcze więcej. „To polityczna kara – uważa Ambruss Kiss, dyrektor Biura Burmistrza Budapesztu. – W 2021 r. BGYH kupiło kąpielisko termalne Rác, które było zamknięte od roku 2002. Spółka chciała je wyremontować i ponownie otworzyć dla mieszkańców oraz gości z zagranicy. By to zrobić, potrzebuje jednak pożyczki. Ale pieniądze dla miejskich firm są zatwierdzane centralnie, przez rząd. I rząd tak je zatwierdza, że w naszej kasie nie widać nawet forinta!". W mocno pesymistycznym tonie Kiss dodaje, że jeśli miasto nie otrzyma pożyczki, nie ma szans na wyremontowanie Łaźni Gellérta ani Rác.

„Termy Gellérta są ikoną Budapesztu. Przecież władze centralne to wiedzą. Tym samym Orbán i jego ludzie działają wbrew własnej strategii turystycznej. Warto pamiętać, że w tym czasie uzdrowiska w innych regionach Węgier rozwijają się i są na bieżąco modernizowane. Tak dzieje się np. w Gyuli przy granicy z Rumunią oraz w Győr na północy kraju. Rząd na modernizację obu tych pięknych uzdrowisk termalnych przeznaczył w ubiegłym roku ponad 54 mln euro", mówi Ildikó Szűts. Tam pieniędzy na termy władza nie żałuje. Bo wszyscy wiedzą, jak tamtejszy lud zachował się przy urnach wyborczych.

Lider węgierskiej opozycji Péter Magyar, polityk, którego Orbán obawia się najbardziej, zaczyna spekulować, że łaźnie termalne Gellérta mogą wkrótce trafić w ręce zięcia Viktora Orbána, Istvána Tiborcza. 39-letni Tiborcz jest prawnikiem. Z żoną Ráhel i rodziną mieszka w hiszpańskiej Marbelli. Przez media, nie tylko węgierskie, nazywany jest „najpotężniejszym zięciem Europy Środkowej". Tiborcz jest właścicielem firmy, która niedawno kupiła budynek w okolicy term i zaczęła go przekształcać w superluksusowy hotel działający pod marką Mandarin Oriental, dla gości z najwyższej półki finansowej. Przedstawiciele firmy BDPST, którzy go budują, twierdzą, że nie jest on zainteresowany przejęciem najważniejszego spa na Węgrzech. Ale czy w królestwie Orbána można mieć do takich oświadczeń jakiekolwiek zaufanie?

Rząd Viktora Orbána odbija piłeczkę w swoim stylu i twierdzi, że „Karácsony i spółka to nieudacznicy, którzy prowadzą w Budapeszcie skrajnie nieodpowiedzialną politykę finansową i dlatego w kasie stolicy nie ma już pieniędzy, także na remont najsłynniejszego kąpieliska".

To, co od jakiegoś czasu dzieje się z budapeszteńskimi termami i inwestycjami w stolicy i w wielu innych regionach, jest efektem 15 lat rządów Viktora Orbána. Polityka, który zbudował na Węgrzech nowy ustrój – „kapitalizm kolesiów". Swoisty twór pozwalający odnosić korzyści przede wszystkim bliskim premiera.

12 kwietnia br. na Węgrzech odbędą się wybory parlamentarne. Coraz więcej osób wierzy, że położą one kres „kapitalizmowi kolesiów". Czekają na to nie tylko najpiękniejsze termy w Europie. Czeka również cała, zmęczona chorymi eksperymentami, węgierska gospodarka. ■

eprasa.pl 96af58f7bc

POLSKIE PORTO I PIŁKARSCY KOLONIŚCI

Najlepsze lata polskiej reprezentacji przypadały na czas, gdy po kilku kadrowiczów grało ze sobą w silnym klubie

Wojciech Kuczok

Kwestia transferu Oskara Pietuszewskiego, uchodzącego za najzdolniejszego polskiego młodzieżowca, rozpaliła nadwiślańskie głowy, wszak odeszło nasze nastoletnie dobro narodowe, któremu zwiastuje się światową karierę. Wyłożone przez FC Porto 10 mln euro to prawie rekord Ekstraklasy (Moder i Kozłowski odchodzili w swoim czasie do Brighton za 11 baniek każdy), dla Jagiellonii to kosmiczna kwota równa rocznemu budżetowi klubu, ale nie brakuje marudnych głosów besserwisserskich, że to dużo za mało, że Polaków się nie szanuje, że taki talent poszedłby za trzy razy więcej, gdyby był Hiszpanem albo Anglikiem. Osobiście widzę same zyski – Jaga będzie miała okazję wzmocnić kadrę przed wiosną na dwóch frontach, o ile oczywiście pieniądze zostaną rozdysponowane rozsądnie. Nasz zdolny skrzydłowy trafił zaś do drużyny, której kluczowymi graczami w tym sezonie są dwaj reprezentanci Polski – Jakub Kiwior i Jan Bednarek.

O tym, ile obaj znaczą dla legendarnych Dragões, mogliśmy się przekonać na własne oczy w minioną środę, kiedy w ćwierćfinale krajowego pucharu rozegrano portugalskie El Clásico między Porto a Benficą. Jedyną bramkę w meczu zdobył głową właśnie Bednarek, który ponadto ze stoickim spokojem kierował blokiem defensywnym, Kiwior w ostatnich chwilach zaliczył interwencję ratunkową, blokując na linii bramkowej strzał rywali – obaj nasi obrońcy są regularnie wybierani na najlepszych defensorów miesiąca w Liga Portugal. Trudno temu się dziwić, skoro Porto po prostu nie przegrywa, prawie w ogóle nie traci goli i pewnie zmierza po dublet. W Lidze Europy, grając na pół gwizdka, Smoki też mieszczą się w ósemce, a w najbliższy czwartek w Pilznie można się spodziewać europejskiego debiutu Pietuszewskiego w nowych barwach.

Nasi obrońcy są regularnie wybierani na najlepszych defensorów miesiąca w Liga Portugal.

Polacy mają nierówne szczęście do FC Porto. Pierwszym naszym bramkarzem, który sięgnął po piłkarski Puchar Mistrzów, był Józef Młynarczyk, przed bez mała 40 laty jeden z bohaterów zwycięskiego finału przeciw Bayernowi Monachium. Ależ się wtedy ekscytowaliśmy golem, którego bezczelnie strzelił piętą Bawarczykom Rabah Madjer, niejako mszcząc się za „hańbę w Gijon" z Mundialu 1982, kiedy to Niemcy dogadali się z Austriakami, aby wyeliminować Algierię.

W Porto spędził kilka sezonów także Grzegorz Mielcarski, ale głównie na ławce, choć do swojego portfolio mógł wpisać cztery tytuły mistrzowskie. Pozostaje mieć nadzieję, że Pietuszewski zdobędzie sobie rychło miejsce w składzie i łatwo go nie odda – debiutu w klasyku nie zaliczył, choć trener kazał mu się rozgrzać właściwie od początku, wynik był jednak niepewny, a lizbońscy podopieczni José Mourinha to ekipa piekielnie niebezpieczna. Mamy więc kolejny polski tercet w silnym klubie europejskim, co może przynieść korzyść kadrze narodowej, zwłaszcza że Bednarek co prawda zmienił ligę na słabszą, za to klub na mocniejszy, a morale jednak rośnie niepomiernie, jeśli na co dzień występuje się w ekipie niepokonanej (w Southampton grał w drużynie przegrywającej wszystko).

Tuszę, że to nieprzypadkowo najlepsze lata polskiej reprezentacji przypadały na czas, gdy po kilku kadrowiczów grało ze sobą w silnym klubie. Na przykład w 1974 r. Deyna i Gadocha zarabiali na chleb w Legii, Musiał z Szymanowskim znali się jak łyse konie z krakowskiej Wisły, a Kasperczak z Grzegorzem Latą mogli do siebie grać w ciemno, bo na co dzień występowali razem w Stali Mielec. W 1982 r. kręgosłup drużyny narodowej stanowili doskonale zgrani zawodnicy Widzewa: Młynarczyk, Żmuda, Włodzimierz Smolarek i Boniek, filarem formacji defensywnej byli legioniści Janas i Majewski. Nasze najbardziej udane

Porto po prostu nie przegrywa, prawie w ogóle nie traci goli.

eprasa.pl 96af58f7bc



Oskar Pietuszewski uchodzi za najzdolniejszego polskiego młodzieżowca. Mecz Pucharu Polski między Legią a Jagiellonią. 26 lutego 2025 r.

Euro z 2016 r. to wspaniały czas tercetu dortmundzkiego Piszczek-Lewandowski-Błaszczykowski. Takich trzech muszkieterów nie mieliśmy nigdy wcześniej ani później, nasi reprezentanci byli trzonem ekipy walczącej z powodzeniem o najważniejsze piłkarskie trofea, zdobyli z Borussią mistrzostwo Niemiec i dotarli do finału Ligi Mistrzów, byli rodzimym odpowiednikiem legendarnego holenderskiego tria z AC Milan, które tworzyli niegdyś obrońca Rijkaard, pomocnik Gullit i napastnik van Basten. Miewaliśmy nie tylko w Bundeslidze po trzech Polaków w jednym klubie, ale nigdy nie byli to kluczowi gracze w swoich formacjach w tak klasowej ekipie.

W sezonie 1986/1987 barw Homburga bronili jednocześnie Andrzej Buncol i Romanowie Wójcicki i Geszlecht, ale to była walka o utrzymanie się w elicie, a nie o najwyższe cele. Na początku lat 90. karierę w Hamburger SV robił świętej pamięci supersnajper Jan Furtok, wspierany przez defensywnego pomocnika Waldemara Matysika, ale Ryszard Cyroń dołączył do nich tylko na chwilę i nie potwierdził swojej marki strzeleckiej, wypracowanej w Górniku Zabrze. Mieliśmy też swoje mocne trio w dość jednak przeciętnym Wolfsburgu, gdzie na przełomie wieków brylowali Andrzej Juskowiak, Waldemar Kryger i Krzysztof Nowak. Karierę tego ostatniego przerwała straszliwa choroba układu nerwowego, z powodu której zmarł przedwcześnie.

Najbardziej radykalną piłkarską kolonię stworzył niegdyś w Polsce Antoni Ptak.

Miewaliśmy również polskie tercety w efemerycznych bundesligowcach, takich jak Energie Cottbus czy Nürnberg, ale te „polskie kolonie" raczej balansowały na krawędzi niższych lig – podobnie miała się rzecz z Polakami w Southampton. Mieliśmy swoje gwiazdy pierwszej wielkości w Atenach, gdzie Krzysztof Warzycha zasłużył sobie na miano największej legendy klubu, strzelając horrendalne liczby goli w tym samym czasie, gdy bramki Panathinaikosu strzegł Józef Wandzik, ale liga grecka to nie ten rozmiar kapelusza, do europejskiego top 5 nigdy się nawet nie zbliżyła.

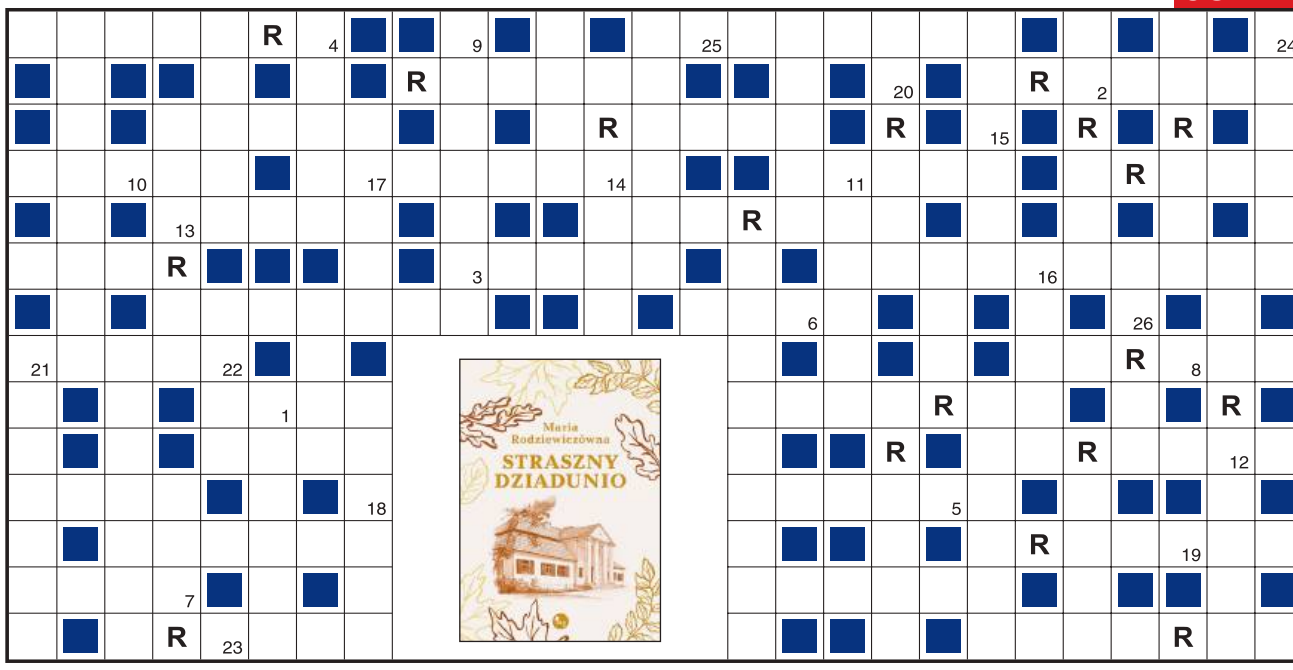
Inna sprawa, że zgranie Tomasza Wałdocha i Tomasza Hajty w formacji defensywnej Schalke 04 nie uchroniło nas przed kompromitacją na Mundialu 2002, zwłaszcza w meczu przeciw Portugalii, po którym jedna z wiodących gazet w kraju dała okładkę stulecia, po prostu wrzucając pełnoformatową reklamę zupek błyskawicznych z wizerunkami naszych patałachów i nagłówek „Piłkarze do zupy". Polacy w Korei się zbłaźnili, a nasi zasłużeni obrońcy dostosowali się poziomem do reszty – tylko że Schalke było wtedy drużyną już cokolwiek zniżkującą, pamiętamy wszak z 2002 r., jak krakowska Wisła rozniosła Niemców w Gelsenkirchen 4:1.

Zdarzały się piłkarskie kurioza w Europie, gdy rekordowa liczba graczy jednej nacji występowała w zagranicznym klubie, np. w sezonie 2003/2004 belgijskie SK Beveren miało w składzie dziesięciu Iworyjczyków, ale najbardziej radykalną piłkarską kolonię stworzył niegdyś w Polsce Antoni Ptak. Ten sam, który w latach 90. dołożył swoje pieniądze i nazwisko do mistrzostwa Polski ŁKS (biznesmenelska wolna amerykanka tamtych lat to temat na osobny felieton – mistrzem Polski, oprócz ŁKS Ptak, została też kilka lat później niejaka Hoop Polonia Warszawa). W latach 2005-2007 Ptak przeniósł swoje zabawki do Szczecina i uznał, że Pogoń będzie klubem… brazylijskim. W ciągu dwóch sezonów przez Pogoń przewinęło się… 36 canarinhos, regularnie zdarzały się mecze, gdy w barwach Pogoni wychodzili na boisko sami Brazylijczycy. Ptak przeprowadził prosty sylogizm: skoro najlepiej na świecie grają w Brazylii, do mistrzostwa Polski wystarczy zastąpić wszystkich rodzimych graczy Brazylijczykami. Nie udało się – po dwóch sezonach Pogoń z hukiem spadła z Ekstraklasy, na wiele lat, a projekt Ptaka przeszedł do historii największych futbolowych osobliwości. ■

FOT. GRZEGORZ WAJDA/REPORTER

eprasa.pl 96af58f7bc

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- przerwanie ciąży
- tekst z podtekstem
- słowo do ułożenia na końcu tego numeru
- Tolek urzędowo
- do umowy lub kuchenny
- zbiórka wszystkich uczniów szkoły
- tajniki, szczegóły jakiejś wiedzy
- doskonałość wykonania dzieła sztuki
- jajka na nim – amerykańskie śniadanie
- znak obniżający dźwięk o pół tonu
- mebel dla urzędnika
- nieistotność, nieważność
- konkurencja w kolarstwie: jazda indywidualna na…
- może być in blanco
- imię Szelągowskiej od metamorfoz wnętrz
- wyspa, gdzie został napisany „Grek Zorba”
- umiejętność pięknego wysławiania się
- namiastka, surogat
- obrączkowana, szara lub pospolita w Bałtyku
- żerdź w kurniku
- reprezentacyjne pomieszczenie przy wejściu do budynku
- do przytrzymywania obrabianego przedmiotu
- zorza przed wschodem słońca
- rozpłodowy samiec świni
- niewielki ślad po wizycie kreta
- dwukolorowa i drobna to pepitka
- jej model Ypsilon produkowano w Tychach
- zespół pałacowo-kościelny w Rzymie z Bazyliką św. Jana
- jednostka pojemności równa 1 dm sześc.
- z nią dama (jeśli nie z gronostajem)
- w tym miesiącu jak w garncu
- owoce po trelach
- znak przed wypowiedzią w dialogu
- ustne lub pisemne polecenie
- w gestii anestezjologa
- bezsilność, niezdolność do czynu
- pływa z fajką albo z butlą
- polski pies gończy
- imię aktora Lubaszenki
- metalowy wiórek
- przyjaciel Shreka, mąż Smoczycy
- „Monachomachia” jest heroikomicznym
- Świąteczna w nazwie akcji Owsiaka
- śniadanie to najważniejszy… dnia
- kandydat do zakonu w okresie nowicjatu
- …ptasi – chwast
- żołnierz na niego się melduje
- przemyślenia, refleksje
- ma odcinki, a nawet sezony
- poobiednia drzemka
- nagromadzenie czegoś w jednym miejscu
- w nim pikle lub dżem
- kolejowa, benzynowa lub drogi krzyżowej
- o zawiadującym jakimiś dobrami i rozdającym je
- metalowa listwa do zamykania drzwi
- początek ranka
- …czyni mistrza
- carskie zarządzenie
- pęknięcie i przesunięcie się mas skalnych
- piaszczyste wzniesienie usypane przez wiatr
- kara pobytu w odległym miejscu
- niejedno w herbarzu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1257”. Do rozlosowania książki „Straszny dziadunio” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 25 stycznia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1254” z nr. 1: *Pora najlepszych życzeń.*
Nagrody otrzymują: Ewa Grzegorzewska ze Śremu, Janina Pyra ze Stalowej Woli, Ewa Wieczorek z Szamotuł.

eprasa.pl 96af58f7bc

Po co nam Szwajcaria?

Marek Prawda został wyznaczony na ambasadora RP w Szwajcarii. Piszemy „wyznaczony", gdyż szanse na to, że prezydent Nawrocki mianuje go ambasadorem, są niewielkie. Byłoby wyjątkowym wyczynem, gdyby udało się to załatwić…

Nawrocki ma przynajmniej dwa powody, by Markowi Prawdzie misję zagraniczną utrudnić. Po pierwsze, bywał on w karierze w miejscach, które Nawrocki wskazywał jako wrogie. Bo Marek Prawda to nabór Geremka. Do MSZ przyszedł w roku 1992, z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Wyjechał zresztą natychmiast do ambasady RP w Niemczech (fuj!). Potem był ambasadorem w Szwecji, w Niemczech (no proszę…), w Unii Europejskiej (jeszcze gorzej), a później, w latach 2016-2021 (i to już zdrada największa!), dyrektorem Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. Służył tej Unii – tak rozumuje prawica – która była przeciwko Polsce Kaczyńskiego. Więc wróg, czyż nie?

Po drugie, był też członkiem Konferencji Ambasadorów, jednoczącej byłych dyplomatów, krytykujących politykę PiS. A to przecież i dla Dudy, i dla Nawrockiego akt wrogości.

Nawiasem mówiąc, jeśli chodzi o Konferencję Ambasadorów, mieliśmy żenującą sytuację – bo w Sejmie posłowie PiS pytali, cytując fragmenty komunikatów KA dotyczące granicy polsko-białoruskiej i stosunków polsko-rosyjskich, czy Prawda by się pod nimi podpisał. A on udawał, że nie wie, o co chodzi, że go przy tym nie było…

Wróćmy do Szwajcarii. Otóż Marek Prawda ewentualnie wyjedzie tam, mając lat 69. Pytanie więc nasuwa się samo – jaki jest interes Rzeczypospolitej w tym, by wysyłać na szefa placówki emeryta? Czy to jakiś rodzaj nagrody za te półtora roku, gdy był wiceministrem u boku Sikorskiego? Jaki ma ta sprawa związek z polityką kadrową MSZ, z budową korpusu dyplomatycznego? Czy nie lepiej byłoby skierować tak doświadczonego dyplomatę do Akademii Dyplomatycznej, by dzielił się wiedzą i doświadczeniem?

Dodajmy, że ambasada w Bernie od półtora roku jest kierowana przez chargé d'affaires a.i., bo dotychczasowa ambasador Iwona Kozłowska wróciła do Polski latem 2024 r. Tak oto minister Sikorski nawiązał do czasów PiS, gdy placówki całymi miesiącami nie miały szefów, czekając, aż w Warszawie różne frakcje partii rządzącej dojdą do porozumienia.

Z kolei odejściem od polityki PiS jest wysłanie do Szwajcarii dyplomaty z najwyższej półki. Taka zresztą była tradycja. W Polsce Ludowej (ograniczmy się do jej ostatnich lat) ambasadorami w Bernie byli Marian Dmochowski, były wiceminister, i Zdzisław Czeszejko-Sochacki. W III RP też wysyłano tam ludzi ważnych dla MSZ – Marka Jędrysa, Jerzego Margańskiego, Janusza Niesytę…

Za to PiS wysyłało ludzi od historii i Polonii. Jakub Kumoch zbudował sobie pozycję jako ten, który nagłośnił sprawę ambasadora Aleksandra Ładosia, który załatwiał w czasie II wojny światowej polskim Żydom dokumenty państw Ameryki Łacińskiej. Iwona Kozłowska to specjalistka od spraw Polonii. Po co zatem wysłano ją do Szwajcarii? Ona pewnie też nie za bardzo wiedziała, więc opowiadała, jak to zajmie się muzeum w Rapperswilu. To muzeum było oczkiem w głowie PiS i wicepremiera Glińskiego. Do dziś tym żyją. I nie wiadomo, czy z wiary, że małe muzeum w małym miasteczku zmieni obraz Polski w świecie, czy gryzą ich wyrzuty sumienia, że wywalili na niepotrzebną rzecz ponad 112 mln zł, i chcą zakrzyczeć ten skandal. Ale to już inna historia.

Attaché



Premier Indii Narendra Modi i kanclerz Niemiec Friedrich Merz podczas wizyty w Aśramie Gandhiego w Ahmadabadzie, 12 stycznia 2026 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 96af58f7bc







VIVA!

RAFAŁ OLBIŃSKI,
MALARZ, ILUSTRATOR

Nowy Jork pozwolił mi się pozbyć tego katolickiego garba, który większość Polaków wynosi z domu – masz siedzieć w kącie i czekać, aż inni odkryją twój talent. Gówno prawda. Jeśli sami nie będziemy przekonani o swoich zdolnościach, nikt inny ich nie dostrzeże. Nowy Jork uleczył mnie z kompleksów i niedowartościowania, co uważam za wielkie osiągnięcie. Dał możliwość konkurowania z najlepszymi na świecie w tym zawodzie. Uczyłem się od ludzi, którzy byli moimi mistrzami, a potem zostali kolegami. (…) Kocham życie za przewrotki, które serwuje. Codziennie stajemy przed dylematem: pójść tą czy tamtą stroną ulicy? Zaryzykować czy nie ryzykować? Wolę żałować tego, co zrobiłem, niż tego, czego nie zrobiłem.

TYGODNIK ANGORA

THADÉE FRANÇOIS NOWAK,
ARCHITEKT, LAUREAT NAGRODY WYBITNY POLAK WE FRANCJI

Przez długie lata we Francji architekci nie interesowali się budownictwem indywidualnym, które wymknęło im się całkowicie spod kontroli. Każdy Francuz czuje się architektem. Myśli, że wystarczy znaleźć dobrego murarza czy fachowców i to wystarczy. W rezultacie jesteśmy zalani domami realizowanymi według tego samego schematu. Przedmieścia miast to często absolutna anarchia. (…) W czasach mojej młodości wpajano nam znaczenie pracy społecznej. To bardzo szlachetna misja, niestety w zaniku. Trudno jest dziś zapewnić ciągłość działania naszych stowarzyszeń. Młodzi dużo mniej interesują się życiem społecznym, a idea kolektywu, szczególnie we Francji, niestety zanika, triumfuje indywidualizm.

PANI

IWONA BIELSKA,
AKTORKA

Najwięcej psychicznie i fizycznie kosztowała mnie rola w „Na srebrnym globie" ze względu na osobowość reżysera. Miałam 24 lata, moje wejście w zawód przypominało psychodramę. Andrzej Żuławski był trudnym twórcą. Nieprzeciętnie inteligentny i fanatyczny w wymaganiach. Część zdjęć mieliśmy w Mongolii w 50-stopniowym upale w gumowych kombinezonach lotniczych, zamki parzyły nam ciało, a do szyi mieliśmy przyklejone kamerki, żeby widz mógł oglądać świat oczami bohaterów. Na butapren, bo inaczej się odklejały! Kiedy zdejmowaliśmy je po całym dniu, odrywały się razem ze skórą i zostawała krwawa rana. Na zdjęciach we Wrocławiu, w listopadzie, leżałam w błocie z lodem, co skończyło się zapaleniem płuc. Andrzej wymagał całkowitego poświęcenia. My też poświęciliśmy się tej pracy w całości. To była przygoda życia. Na planie było i wzniośle, i śmiesznie.

Plus Minus

SZYMON ZIOBROWSKI,
DYREKTOR TATRZAŃSKIEGO PARKU NARODOWEGO

Mamy dwa problemy związane z intensywnością ruchu. To są śmieci i fekalia. Ze śmieciami jakoś sobie radzimy. Generalnie turyści je ze sobą zabierają, ale zbierają je także firmy sprzątające, wolontariusze i nasi pracownicy. Nie obserwujemy też drastycznej zmiany na gorsze, jeśli idzie o ilość śmieci. Bardziej zmienia się ich typ. Natomiast jeśli chodzi o fekalia, to budujemy kanalizację oraz stacjonarne toalety. Chodzi o to, żeby wyprowadzić wszystkie ścieki poza TPN. Aktualnie budujemy kanalizację w Dolinie Kościeliskiej oraz na Wiktorówkach. Obecnie w niektórych dolinach stoją toalety przenośne, których turyści nie lubią, trzeba je codziennie opróżniać, obsługiwać. Stąd nastawiamy się na budowę stacjonarnych toalet. I już dwa takie miejsca mamy. To jest Dolina Strążyska i Dolina Małej Łąki.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), AMEM

eprasa.pl 96af58f7bc

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 GAL + NOS =	3 AULA + TER =	5 CERA + TINA =
2 DOM + ETA =	4 POZA + WÓR =	6 BLIN + DRYG =

ROZWIĄZANIA: SŁOGAN, METODA, LAUREAT, PAROWÓZ, NATARCIE, DRYBLING



Aby język giętki…

MIROSŁAW OCZKOŚ O SZYMONIE HOŁOWNI

Dał się wciągnąć w grę, której zasad nie rozumiał i, co gorsza, nie wiedział, że nie rozumie.

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O SZANOWANIU SĄDÓW

Nawet jeśli konkretnemu sędziemu przydarzy się wpadka czy mgła mózgowa, to sądy trzeba szanować i starać się zaprowadzić na drogę cnoty.

MAJA KLECZEWSKA O ZADANIACH TEATRU

Sztuka musi patrzeć tam, gdzie nikt nie chce patrzeć, to nasz obowiązek. Zadawać jak najwięcej pytań i cierpliwie czekać, aż pojawią się odpowiedzi.

TOMASZ ZALEWSKI O DONALDZIE TRUMPIE

Ład światowy według Trumpa to nowy koncert mocarstw, jaki istniał w Europie po kongresie wiedeńskim z 1815 r.

KATARZYNA FIGURA O SAMOTNOŚCI

Człowiek zawsze jest sam, samotny, nawet gdy otacza go tłum ludzi. Ja najlepiej czuję się w ciszy. To także dobra strategia życiowa.

ANDRZEJ SMOLIK O MUZYCE

Większość tego, co skomponowałem, sprzyja dobrostanowi. Ludzie mają przeróżne potrzeby i pięknie, gdy muzyka może je zaspokoić.

MAGDALENA RÓŻCZKA O JANIE HOLOUBKU

Jesteśmy pasjonatami. Słuchamy się nawzajem. Gdy czujemy stres, sytuacja musi być przegadana, żeby emocje opadły.

ANNA RUSOWICZ O MAMIE ADZIE

Chociaż była zakochana w Niemenie, to przecież zerwała zaręczyny, związała się z Kordą. I to z nim chciała mieć dzieci.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

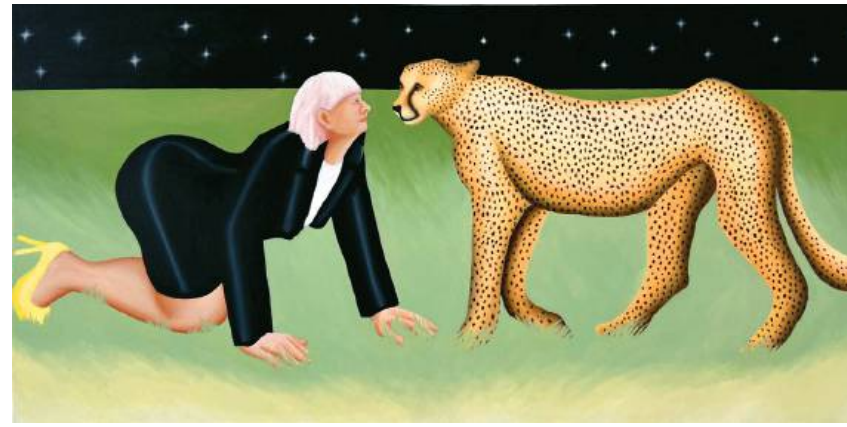
eprasa.pl 96af58f7bc

Anna Grzymała **Raport z Krainy Szczęśliwości**

Anna Grzymała, jedna z najbardziej wyrazistych i bezkompromisowych malarek młodego pokolenia, konsekwentnie podejmuje tematy społeczne i polityczne, nie unikając konfrontacji ani ryzyka. Jej prace znajdują się w ważnych kolekcjach publicznych i prywatnych. Wielokrotnie wywoływały żywe reakcje, a nawet gwałtowny sprzeciw, co tylko potwierdza ich siłę oddziaływania i aktualność problematyki. Prezentowany cykl ma charakter retrospektywny i prowadzi widza do utopijnego świata wolnego od przemocy, agresji i hejtu. Grzymała buduje spójną narrację o wspólnocie opartej na łagodności, empatii i tolerancji, posługując się humorem i subtelną przekorą.

Galeria Artinfo
Warszawa, ul. Dzielna 3
do 6 lutego

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Nawiązywanie przyjaźni



Piknik



Parlament



Ziarenka nienawiści

eprasa.pl 96af58f7bc

SEZON 2025/2026

REPERTUAR TCN

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM

MIODOWA 22/24
KASA TEATRU CZYNNA STACJONARNIE:
OD WT. DO PT. W GODZ. **15:00 – 19:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA
W SOBOTY W GODZ. **15:00 – 17:00**
LUB DO ROZPOCZĘCIA PRZEDSTAWIENIA

MOŻNA SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z NAMI RÓWNIEŻ
TELEFONICZNIE: **662 155 960**
MAILOWO: **KASA@E-AT.EDU.PL**
OD WT. DO PT. W GODZ. **11:00 – 19:00**
W WEEKENDY W GODZ. **13:00 – 17:00**
TCN.AT.EDU.PL

COLLEGIUM NOBILIUM TEATR

STYCZEŃ 2026

DON GIOVANNI
REŻ. CEZARY TOMASZEWSKI

07	08	09	10	
ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	PIĄTEK 19:00	SOBOTA 19:00	SCENA GŁÓWNA

SCHODY, SCHODY, SCHODY
REŻ. WOJCIECH FARUGA

13	14	15	
WTOREK 19:00	ŚRODA 19:00	CZWARTEK 19:00	SCENA GŁÓWNA

RÓZIA
REŻ. JACEK BRACIAK

16	17	
PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

SŁABI
REŻ. MARCIN HYCNAR

23	24	
PIĄTEK 19:30	SOBOTA 19:30	SALA IM. J. KRECZMARA

Fot. Zuzanna Mazurek

Akademia Teatralna Warszawa

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd, nami

Partnerzy Teatru: kicket

eprasa.pl 96af58f7bc

MEDECINS SANS FRONTIERES
LEKARZE BEZ GRANIC

ZAWIESZENIE BRONI W STREFIE GAZY NIE ZAKOŃCZYŁO CIERPIENIA LUDZI

PRZEKAŻ DAROWIZNĘ

W Strefie Gazy przymusowe przesiedlenia, połączone z ogromnymi zniszczeniami infrastruktury cywilnej i systemu opieki zdrowotnej przez siły izraelskie wciąż zagrażają życiu i zdrowiu ludzi. Zespoły Lekarzy bez Granic zapewniają pomoc medyczną na miejscu, jednak potrzeby są ogromne. Widzimy infekcje, niedożywienie, rozprzestrzenianie się chorób, którym można zapobiec. Dowiedz się więcej i wspieraj nasze działania.

eprasa.pl 96af58f7bc